

SEAWITCH

'Told with all
MacLean's famous gusto'
Evening News



ALISTAIR MACLEAN

THE MASTER OF ACTION

MACLEAN ALISTAIR

Wiedźma morska

ALISTAIR MACLEAN

Przełożył Jarosław Kotarski

Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo „INTERART” Warszawa 1993 Prolog
Mówiąc ogólnie istnieją tylko dwa rodzaje urządzeń stosowanych do wykrywania i wydobywania ropy naftowej spod dna mórz.

Pierwszym, najczęściej stosowanym do wykrywania złóż, są specjalnie do tego celu budowane statki. Wyglądają zupełnie tak jak normalne drobnicowce, mają jedynie dodany na rufie pokład wiertniczy. Ich zadaniem jest borowanie próbnych otworów tam, gdzie badania sejsmologiczne i geologiczne wskazują na istnienie złoża. Techniczna strona operacji jest nader złożona, mimo to uzyskują one godne podziwu sukcesy. Ich słabą stroną jest wrażliwość na pewne zjawiska morskie – mimo wyposażenia w najnowocześniejsze środki nawigacji i sterowania bardzo trudno jest im utrzymać stałą, niezmienną pozycję nad dnem, a w przypadku dużej fali oraz silnego wiatru muszą po prostu przerywać swą działalność.

Do właściwego wydobywania ropy używa się powszechnie stałych platform wiertniczych. Muszą one zostać zaholowane na miejsce i zakotwiczone przy pomocy specjalnych filarów. Składają się z platformy, na której umieszczone są: wieża, dźwigi, pokład śmigłowcowy i inne, niezbędne, do ich funkcjonowania urządzenia oraz kwatery załogi. W normalnych warunkach są one bardzo efektywne lecz, podobnie jak statki, mają swoje minusy. Nie są mobilne i przy złej pogodzie muszą przerywać pracę, a do tego mogą być używane jedynie na płytkich wodach – sięgające najgłębiej znajdują się na Morzu Pomocnym, gdzie mają długość czterystu stóp. Tam też wieże są używane najczęściej. Koszty przedłużania filarów są tak wysokie, że nie opłaca się tego robić – przewyższyłoby to zyski czerpane z eksploatacji takiej platformy. Co prawda Amerykanie planują budowę platformy o ośmiusetstopowych filarach, by użyć jej na wodach Kalifornii, lecz nadal niewiadomą pozostaje sprawa bezpieczeństwa. Duże powierzchnie poddane działaniu zmiennych sił mają tendencję do pękania; a nawet wtedy, gdy obliczenia osiągną szczyt dokładności, pozostanie jeszcze sprawa wytrzymałości materiałów.

Istnieje wszakże jeszcze jeden typ urządzeń z rodzaju, o którym była mowa. Swobodna platforma wiertnicza. W czasie, w którym rozgrywa się ta opowieść, istniała tylko jedna taka platforma na świecie. Miała wielkość boiska do piłki nożnej, o ile ktoś może sobie wyobrazić trójkątne boisko. Pokład wykonany był nie ze stali, lecz z żelazobetonu, specjalnie przygotowanego przez jedną z duńskich stoczní. Filary zaprojektowano i wykonano w Anglii – były to trzy potężne i niezwykle wytrzymałe wsporniki, po jednym na każdy narożnik, połączone kombinacją poziomych i pionowych cylindrów, co dawało w sumie całej konstrukcji wyporność wystarczającą, by nawet największe fale nie zalewały pokładu.

Od podstawy każdego ze wsporników biegly masywne stalowe liny, łączące je z dnem morskim za pomocą potężnych kotwic. Każda lina była sprzężona z silnikiem i kotwice mogły być opuszczane dwu- lub trzykrotnie głębiej niż było to możliwe do osiągnięcia przez nieruchome platformy, co pozwalało na operowanie daleko poza granicami szel-fu kontynentalnego.

Ten typ platformy miał jeszcze inne zalety – wielka wyporność powodowała napięcie kabli kotwicznych, które praktycznie eliminowały kołysania i podskoki samej platformy. Efekt był taki, że mogła ona operować w warunkach morskich, które wykluczały użycie innych platform. Była również prawie nieczuła na skutki podwodnych trzęsień ziemi.

Była także mobilna – wystarczyło podnieść kotwice i przeholować ją podobnie jak rzeczną barkę. W dodatku w porównaniu ze standardowymi platformami, koszt jej zakotwiczenia i uruchomienia był tak minimalny, że ledwie godny zaznaczenia.

Nazywała się „Seawitch” – „Wiedźma Morska”.

Rozdział pierwszy W pewnych miejscach i między pewnymi ludźmi nazwa „Seawitch” cieszyła się nader złą sławą. Jednak większość tej niechęci, i to przytłaczająca, skupiała się na osobie lorda Wortha: multimilionera, a niektórzy twierdzili, multimiliardera, przewodniczącego i jedyne go właściciela North Hudson Oil Company, a w dodatku, zupełnie zresztą przypadkowo, posiadacza „Seawitch”. Gdy wymieniano jego imię w dziesięcioosobowym gronie osób obecnych w domu nad brzegiem jeziora Tahoe, czyniono to nad wyraz niechętnie i z kompletnym brakiem poważania. Żadna informacja o tym spotkaniu nie była podana do wiadomości ani lokalnej, ani światowej prasy, a to z dwóch powodów: uczestnicy przybyli i oddalić się mieli pojedynczo bądź parami, co w heterogenicznej populacji Lakę Tahoe było normalną i nie zwracającą uwagi sytuacją; no i, co ważniejsze, wszyscy oni byli, ze zrozumiałych względów, jak najdalsi od chęci nadawania swojemu spotkaniu jakiegokolwiek rozgłosu. Działo się to w piątek, trzynastego, co nie wróżyło świetlanej przyszłości.

Obecnych było dziewięciu gości plus gospodarz. Naprawdę ważnych spośród nich było czterech – Corral, reprezentujący kopalnie i rafinerie Florydy, Benson, reprezentujący platformy południowej Kalifornii, Patinos z Wenezueli i Borosoff (a przynajmniej tu znano go pod tym nazwiskiem) ze Związku Sowieckiego, którego zainteresowanie dostawami ropy do Ameryki było minimalne. Uczestnicy spotkania zakładali, chyba słusznie, że głównie chce wywoływać zamieszanie. Wszyscy oni byli dostawcami ropy dla USA. Pomimo że dostarczali jej różne ilości, mieli wspólny interes – pilnować, aby cena tego surowca nie spadła. Ostatnią rzeczą, jakiej mogliby pragnąć, byłby jej spadek.

Benson, który był nominalnym gospodarzem spotkania, jako że odbywało się ono w

jego domku letniskowym, otworzył obrady:

–Panowie, czy któryś z was będzie miał jakiegokolwiek obiekcje, jeśli zaproszę trzecią stronę, czyli kogoś, kto nie reprezentuje ani nas, ani lorda Wortha?

–To zbyt niebezpieczne – zaprotestował Borosoff, patrząc podejrzliwie na pozostałych – i tak jest nas zbyt wielu.

–Nie przesadzaj Borosoff. Jesteś tu bardziej prawem kaduka niż z realnej potrzeby. Albo powiesz o kogo chodzi, albo milcz. Jeżeli nie mówisz, to temat uważam za skończony. Pamiętajcie, że tematem tego spotkania jest utrzymanie co najmniej obecnych cen ropy – dodał Ben-son, który stał się szefem kompanii wydobywczych nie dlatego, że ktoś zrobił mu prezent urodzinowy. – OPEC rozważa możliwość poważnego podniesienia obecnych cen. W Stanach nas to nie zaboli – po prostu ogłosimy podniesienie własnych.

–Worth jest równie bezwzględny i pozbawiony skrupułów, jak my wszyscy – oświadczył Patinos.

–Realizm to nie bezwzględność. Nikt z nas natomiast nie podniesie niczego, jak długo w interesie jest North Hudson. Oni właśnie obniżyli swoje ceny. Niewiele, ale odczuliśmy to. Jeśli podniesiemy teraz nasze, a ich pozostaną niezmienione, odczujemy to tym silniej. A jeśli będą mieli do dyspozycji więcej ruchomych platform, to zacznie nas to boleć. Zaboli to też i OPEC, ale nas przede wszystkim – spadnie zapotrzebowanie na nasze produkty. Wszyscy podpisaliśmy gentlemen's agreement, które zawarły wszystkie większe kompanie naftowe na temat nie-wydobywania ropy poza wodami terytorialnymi – to jest poza ich prawnie i międzynarodowo uznawanymi granicami. Bez takiego uzgodnienia możliwość prawnych, dyplomatycznych, politycznych utarczek na skalę międzynarodową, od sceny politycznej po konflikty zbrojne, byłaby nazbyt realna. Przypuśćmy, że państwo A zrobi to, co parę państw już zrobiło – ogłosi posiadanie praw do stumilowego pasa przybrzeżnego. Przypuśćmy następnie, że państwo B rozpocznie wiercenia trzydzieści mil poza tą granicą, i przypuśćmy, że państwo A podejmie niczym nie uzasadnioną decyzję powiększenia swych wód terytorialnych aż do stu pięćdziesięciu mil – a nie zapominajcie, że Peru już ogłosiło istnienie pasa dwustumilowego – konsekwencje takich poczynań są dla wszystkich oczywiste, toteż nie ma się co wdawać w dalsze rozważania. Jednakże nie wszyscy są dżentelmenami. Przewodniczący North Oil Company i cały pożałowania godny zarząd tej firmy gotowi są pierwsi zaprzeczyć tej sugestii – co jest powszechnie znanym i akceptowanym przez ich naftowych konkurentów faktem. Równie żywiołowo zaprzeczają, rzecz jasna, posądzeniu o to, że są bandą kryminalistów, co może być prawdą lub nie, ale nie jest jeszcze z pewnością faktem powszechnie uznanym. Mówiąc krótko, jak dotąd popełnili oni dwa niewybaczalne przestępstwa. Pierwsze jest nie do udowodnienia, a drugie, choć jest przestępstwem w normalnym znaczeniu

tego słowa, nie jest jeszcze, jak dotąd, bezprawiem. To pierwsze, które nazwałbym mniej groźnym, dotyczy budowy tej platformy wiertniczej, która powstała w Huston. Nie jest tajemnicą, że plany dotyczące tej wieży – konkretnie pokładu – zostały skradzione w Cherron Oilfield Re-aserch Company, a filary i kotwice z Mobil Oil Company. Ale, jak już powiedziałem, jest to nie do udowodnienia. Normalną bowiem rzeczą przy nowych wynalazkach czy udoskonaleniach jest to, że dochodzi się do nich w dwóch lub więcej miejscach równocześnie. Zawsze można twierdzić, że jeden zespół konstrukcyjny, pracujący w sekrecie, był szybszy od pozostałych.

Benson miał całkowitą rację. Przy projektowaniu „Seawitch” lord Worth użył metod, które ograniczony przepisami człowiek mógłby określić jako pozbawione skrupułów lub wręcz nielegalne. Podobnie jak wszystkie towarzystwa naftowe, lord Worth zatrudniał (jedynie dla obniżenia kosztów) zespół konstrukcyjny. Była to zbieranina półgłówków, których połączone zdolności nie wystarczyłyby do zaprojektowania szalupy. Fakt ten zresztą wcale nie martwił ich pracodawcy, który w ogóle nie potrzebował zespołu konstrukcyjnego. Był wystarczająco bogaty i dość miał wpływowych przyjaciół – żadnego z nich, o czym nie trzeba chyba wspominać, w towarzystwach naftowych – i był mistrzem szpiegostwa przemysłowego. Mając to wszystko do dyspozycji napotykał niewiele problemów przy uzyskiwaniu zestawów tajnych planów, które przysyłał następnie swoim wysokokwalifikowanym morskim konstruktorom. Ich bardzo wysokie wynagrodzenia odpowiadały dokładnie ich nadzwyczajnej dyskrecji. Konstruktorzy z kolei znajdowali niewiele problemów przy łączeniu różnych planów, dodając ilość modyfikacji wystarczającą, razem z udoskonaleniami, dla zniechęcenia stojących im na drodze do uzyskania praw patentowych złośliwców.

–Jednakże tym, co najbardziej niepokoi mnie i co powinno niepokoić was, panowie, jest niezłomne postanowienie lorda Wortha o nie-przystępowaniu do naszej umowy, aby nie wydobywać ropy na wodach międzynarodowych. Mówię poważnie, panowie, zdając sobie sprawę z wagi tego. Jego głupota i chciwość mogą doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. Oprócz ochrony naszych własnych interesów ciąży nad nami odpowiedzialność za dobro ludzkości – i nie

chodzi mi o osłanianie własnego postępowania czy usprawiedliwianie się wyższym celem. Jeśli nie zareagują rządy, będziemy musieli zareagować my. Ponieważ rządy nie przejawiają ochoty do jakiegokolwiek działania, zatem sprawa spoczywa na naszych, i wyłącznie na naszych, barkach. Ten szaleniec musi zostać powstrzymany i sądzę, że zgodzicie się ze mną co do tego, że jedynie my zdajemy sobie sprawę z tego wszystkiego i mamy techniczne doświadczenie konieczne do podjęcia działania.

Odpowiedzią były pełne aprobaty pomruki wszystkich. Uczciwa i bezinteresowna troska o dobro całej ludzkości jest o wiele słuszniejszym powodem do działania niż ochrona własnych interesów. Patinos z Wenezueli przyjrzał się Bensonowi z nieco cynicznym uśmiechem, który na dodatek niczego nie oznaczał. Patinos, będący głęboko wierzącym i zdeklarowanym katolikiem, miał ten sam wyraz twarzy, ilekroć przekraczał próg kościoła.

–Wygląda pan na przekonanego o słuszności swoich racji, Mr Benson.

–Sporo czasu strawiłem na rozmyślaniu o tym wszystkim.

–A jak pan proponuje zatrzymać tego szaleńca?

–Nie wiem.

–Pan nie wie? – jeden z obecnych podniósł brwi o cały milimetr. U niego wyrażało to szok. – To dlaczego ściągał pan nas tutaj?

–Nie ściągałem was. Poprosiłem panów o przybycie i proszę teraz o zaakceptowanie takiego rozwoju wypadków, jaki może się zdarzyć, cokolwiek miałyby to być.

–Ten rozwój wypadków, to...

–Tego, panowie, nie wiem.

Brwi powróciły na miejsce, zaś drgnienie ust wskazywało, że ich właściciel uśmiecha się ze zrozumieniem.

–Ta... trzecia strona?

–Tak.

–Ma jakieś nazwisko?

–Cronkite. John Cronkite.

Wśród zebranych zawrzało. Po chwili otwarty sprzeciw zmienił się w bierne oczekiwanie, z czego dość szybko wykluła się milcząca aprobata. Nikt, nie licząc Bersona, nie spotkał dotąd Cronkite'a, ale jego nazwisko znane było doskonale wszystkim obecnym. Wśród nafcjarzy był on od dawna legendą, złowrogą legendą. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że może kiedyś potrzebować usług tego niezastąpionego człowieka, mając przez cały czas nadzieję, że chwila ta nigdy nie na10 stąpi. Gdy w grę wchodziło zatkanie płonącego odwiertu, Cronkite był bezkonkurencyjny. Wszyscy po niego posyłali, nie próbując nawet innych środków. Dla postronnego obserwatora jego modus operandi był niczym innym, jak metodą drakońską, ale Cronkite nie cierpiał mieszania się w jego sprawy i bezwzględnie zwalczał wszystkie próby. Pomimo nadzwyczaj wysokich cen i tej niedogodności, że do jego przewożenia nie nadawało się nic mniejszego od czterosilnikowego odrzutowca, ściągano go błyskawicznie z jednego prostego powodu – wiedział wszystko, co można wiedzieć o nafcjarstwie i zawsze osiągał swój cel. Nikogo więc nie dziwiło, że był twardy i bezwzględny.

–Dlaczego człowiek z tak wysokimi kwalifikacjami i z tego co wiemy numer jeden w ratownictwie wiertniczym, zdecydował się wziąć udział w... no, przedsięwzięciu tego typu? – zapytał Henderson, reprezentujący interesy Hondurasu. – Sądząc po reputacji, z trudnością mogę go sobie wyobrazić jako kogoś, kto wzrusza się losem cierpiącej ludzkości...

–Nie wzrusza się. Powodem są pieniądze i to duże, nowa przygoda... – a jest on urodzonym awanturnikiem – a przede wszystkim, nienawidzi lorda Wortha.

–Niezbyt odosobnione uczucie, jak sądzę – mruknął Henderson.

–Dlaczego go nienawidzi?

–Lord Worth posłał po niego swego prywatnego boeinga, aby ugasił pożar na Bliskim Wschodzie, ale zanim Cronkite przybył, zrobili to ludzie lorda. Już samo to wystarczyłoby na śmiertelną obrazę, ale w dodatku popełnił on błąd, domagając się pełnej należności za swoje usługi. Lord Worth ma reputację człowieka o nieuleczalnie szkockich nawykach, co, będąc obrazą dla samych Szkotów, jest w jego przypadku bardziej niż uzasadnione. Odmówił, ofiarowując jedynie wynagrodzenie za stracony czas, a Cronkite pogłębił swój błąd, wnosząc sprawę do sądu... Biorąc pod uwagę, na jakich prawników stać Wortha, nie miał żadnych szans, choćby nawet i miał rację. I nie dość, że przegrał, to jeszcze musiał ponieść koszt.

–Które nie były niskie... – Średnio wysokie lub wygórowane. Nie wiem. Wiem natomiast o tym, że od tego czasu Cronkite wpada w lekki szał ilekroć usłyszy nazwisko lorda.

–Ktoś taki, rzecz jasna, nie musi przysięgać dochowania tajemnicy...

–Człowiek może złożyć setkę różnych przysięg i wszystkie złamać. Z uwagi na niesamowicie wysoką stawkę w banknotach, jego uczucia

do Wortha i fakt, że może być zmuszony do przekroczenia granic prawa, milczenie Cronkite'a jest pewne.

Nadeszła kolej na uniesienie brwi przez następnego z zebranych.

–Przekroczenie granic prawa? Nie możemy ryzykować powiązań...

–Powiedziałem możliwość, a poza tym dla nas element ryzyka po prostu nie istnieje.

–Czy wobec tego możemy go zobaczyć? Benson skinął głową i podszedł do drzwi.

Cronkite był Teksasńczykiem; jeśli brać pod uwagę wzrost, figurę i rysy twarzy podobny był uderzająco do Johna Wayne'a. W przeciwieństwie do aktora nigdy się jednak nie uśmiechał. Miał specyficzną, żółtawą cerę, typową dla osób, które przedawkowały środki przeciw-malaryczne, co zresztą zdarzyło mu się naprawdę. Mepacrina nie czyni aparycji kwitnącą, a Cronkite i tak nigdy takiej nie miał. Wrócił właśnie świeżo z Indonezji, gdzie podwyższył swe konto o kolejny, stuprocentowy i nieunikniony sukces...

–Mr Cronkite – odezwał się Benson. – Oto są...

–Nie chcę znać ich nazwisk – przerwał mu szorstko nowo przybyły.

Pomimo gwałtowności jego tonu, kilku obecnych omal się teraz nie uśmiechnęło – oto człowiek dyskretny i ostrożny, o naturze tak bliskiej ich własnym.

–Wszystko, co wiem od mister Bena, to tyle, że jestem zaangażowany w przedsięwzięcie związane z osobą lorda Wortha, a także z istnieniem „Seawitch”. Mr Benson wprowadził mnie w zagadnienie, teraz zaś chciałbym przede wszystkim usłyszeć propozycje. Co mają mi panowie do zasugerowania w tej kwestii?

Usiadł, zapalił coś, co okazało się być nader śmierdzącym cygarem i zamarł w oczekiwaniu. Milczał tak przez następne pół godziny dyskusji, w trakcie której śmietanka światowego biznesu dowiodła, że jest towarzystwem dość niskich lotów, by nie rzec, tępawym. Rozmowa przypominała poruszanie się ślepego w spiralnie zwężającym się kręgu, który musiał doprowadzić do łatwego do przewidzenia końca.

–Przede wszystkim nie można użyć przemocy – próbował podsumować Henderson.
– Co do tego jesteście zgodni?

Okazało się, że tak – każdy z nich był bastionem rzetelności i szacunku w swym własnym kręgu i nikt nie mógł sobie pozwolić na takie zbrukanie nieposzlakowanej

dotąd opinii. Cronkite nie drgnął nawet. Po uzgodnieniu stanowiska co do nieużywania przemocy, zebrani nie zgodzili się w żadnej innej kwestii.

–Dlaczego nie postawiliście, mam na myśli obecnych tu Amerykanów, w waszym Kongresie projektu nadzwyczajnej ustawy, zabraniającej wydobywania ropy na wodach eksterytorialnych? – usiłował dowiedzieć się Patinos.

–Obawiam się, że niedokładnie zna pan stosunki między takimi ludźmi jak my a Kongresem – Benson przyjrzał mu się, a w jego oczach pojawiło się coś zbliżonego do żalu. – Spotkaliśmy się tam parę razy. Chodziło, zdaje się, o zbyt duże zyski i zbyt niskie podatki i obawiam się, że potraktowaliśmy ich, że tak powiem, z kawalerską fantazją. Teraz nic nie sprawiłoby im przyjemności większej, niż odmówienie nam czegokolwiek, czego tylko byśmy pragnęli.

–A gdyby tak zwrócić się do specjalistów od prawa międzynarodowego w Hadze? – zaproponował dżentelmen, znany jako mister A. – Przecież, bądź co bądź, jest to problem międzynarodowy.

–Proszę o tym zapomnieć – potrząsnął głową Henderson. – Szybkość działania owego ciała prawnego jest tak legendarna, że wszyscy tu obecni zdążyliby odejść już na zasłużone emerytury, zanim wydano by jakąkolwiek decyzję. Istnieje zresztą duże prawdopodobieństwo, że byłaby ona negatywna.

–ONZ? – rzucił Mr A.

–To zbiorowisko przekupek? – Benson miał o tej szacownej skądinąd instytucji najwyraźniej złą opinię, którą dzielił zresztą z paroma innymi w pokoju. – Oni nie mają tyle siły, aby zmusić magistrat Nowego Jorku do zainstalowania nowych liczników na parkingu przed wejściem.

Następny rewolucyjny pomysł wpadł do głowy jednemu z Amerykanów.

–Dlaczego nie mielibyśmy, uzgodniwszy między sobą, obniżyć na jakiś czas naszych cen poniżej cen North Hudson? Wtedy nikt nie kupowałby ich ropy!

Propozycja ta wywołała niedowierzanie i wprawiła w osłupienie.

–Nie tylko doprowadziłoby to do ogromnych strat wśród towarzystw naftowych, ale także, w nieunikniony sposób, zmusiło lorda Wortha, i to błyskawicznie, do obniżenia swoich cen poniżej naszych. On ma wystarczający kapitał, aby przeżyć i sto lat deficytu, nawet w tym nieprawdopodobnym przypadku, gdyby węń wpadł.

Nastąpiła chwila ciszy. Długa chwila, w trakcie której Cronkite porzucił swój granitowy bezruch. Wyraz twarzy pozostał bez zmian, lecz palce nie trzymającej cygara dłoni zaczęły delikatnie bębnić po oparciu fotela. W jego przypadku

oznaczało to napad hysterii. Do tego czasu

wszystkie myśli o dobrobycie ludzkości, zasadach fair play i normach etycznych zdążyły wywietrzeć z głów zgromadzonych.

–Dlaczego nie możemy go wykupić? – spytał Mr A. Uczciwość nakazuje przyznać, że Mr A. nie zdawał sobie sprawy z tego, jak zamożny jest lord Worth i z tego, że choć i Mr A. uważany jest za zamożnego, to lord mógłby wykupić tak jego, jak i resztę zebranych, i to za jednym zamachem.

–Mam na myśli „Seawitch”... Dajmy na to, sto milionów dolarów... No, bądźmy wspaniałomyślni – dwieście. Dlaczego nie?

Corral wyglądał na załamane.

–Odpowiedź jest prosta: według ostatnich danych lord Worth jest w tej chwili jednym z najbogatszych ludzi na świecie i owe dwieście milionów nie jest sumą, którą zawracałby sobie głowę.

Teraz mister A. wyglądał na załamane.

–Oczywiście sprzedałby te prawa – wtrącił Benson. Mr A. wyraźnie pojaśniał.

–Choćby z dwóch powodów. Po pierwsze, miałby błyskawiczny i nieoczekiwany zysk, a po drugie – za mniej niż połowę tej sumy wybudowałby lekko zmodyfikowaną „Seawitch II” i zakotwiczył o parę mil od obecnej. Nie ma prawa, które zabraniałoby mu tego na wodach międzynarodowych. Zacząłby wydobywać i sprzedawać ropę po starych cenach.

Chwilowo uradowany Mr A. zapadł się w swoim fotelu.

–Zaproponujmy mu więc współudział – odezwał się Mr B. tonem, w którym dźwięczało krańcowe zdesperowanie.

–To nie wchodzi w grę – Henderson był bardzo pewny swego. – A to dlatego, że podobnie jak wszyscy bogaci ludzie, lord Worth jest urodzonym samotnikiem, Nie zostałby współnikiem nawet króla Arabii Saudyjskiej ani szacha Iranu, choćby nawet mu to sami zaproponowali i to za darmo.

Zapadła męcząca i przygnębiająca cisza, w której rozległ się głos milczącego dotąd Cronkite'a.

–Moja osobista płaca wynosi jeden milion dolarów – powiedział bez wstępów. – Dodatkowo dziesięć milionów na wydatki. Każdy cent z tej sumy będzie rozliczony, a

nadwyżka zwrócona. Domagam się całkowitej swobody w działaniu i braku jakiegokolwiek ingerencji ze strony tu obecnych. Jeśli napotkam na coś takiego, rozliczam się i wycofuję. Odmawiam ujawnienia moich planów, które mam lub będę miał, aż do nadejścia odpowiedniej chwili. Na zakończenie – nie chciałbym żadnych kontaktów z nikim z tego grona. Teraz i w przyszłości.

Pewność siebie i spokój tego człowieka były zaskakujące, a zgoda zgromadzonych natychmiastowa. Dziesięć milionów dolarów to drobiazg dla ludzi przyzwyczajonych do operowania podobnymi kwotami przy comiesięcznych przekupstwach. Suma ta miała zostać złożona w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, a najdalej w ciągu czterdziestu ośmiu, na kubańskim numerowym koncju w Miami – jedynym miejscu w całych Stanach, gdzie dozwolone są konta bankowe typu szwajcarskiego. Z uwagi na kwestie podatkowe, pieniądze te nie zostaną, rzecz jasna, przekazane przez żadnego z tu obecnych, czy też przez ich szacunku godne kraje, a pochodzić będą, jak na ironię, z ich pęczniejących morskich funduszy.

Rozdział drugi Lord Worth był mężczyzną szczupłym, wysokim i, mimo wieku, trzymającym się prosto. Opalony niczym playboy spędzający życie na słońcu, lord Worth rzadko pracował mniej niż szesnaście godzin dziennie. Jego nieskazitelnie uczesane włosy i wąsy były śnieżnobiałe, przyczyniając się wydatnie do uzyskania przezeń aparycji godnej biblijnego patriarchy, dobrze urodzonego senatora rzymskiego czy rycerskiego pirata gdzieś z siedemnastego wieku. Wyłączając oczywiście ten drobiazg, że żaden z wymienionych nie nosił ani przypadkiem, ani, rzecz jasna, z przyzwyczajenia, lekkiego ubrania z alpaki, barwy dokładnie takiej samej jak włosy. Wyglądał na arystokratę i był nim w każdym calu. W zupełnym przeciwieństwie do wielu Amerykanów, noszących imiona typu Duke czy Earl, lord Worth naprawdę był lordem, piętnastym z kolei dziedzicem dóbr szacownego rodu panów ze Szkocji. Fakt, że szacunek ów wyrobiony został głównie zabójstwami, nie kończącymi się waśniami rodowymi, kradzieżami kobiet i bydła oraz zdradami swych ziomeków, był bez większego znaczenia. Protoplasci współczesnych panów Szkocji nie darzyli zbyt dużą estymą bardziej kulturalnych zajęć, zaś błękit krwi płynącej w ich żyłach i w żyłach lorda Wortha, miał dokładnie ten sam odcień. Lord Worth był zresztą równie bezwzględny, apodyktyczny i odważny, jak każdy z jego antenatów, zaś do swoich interesów podchodził z takim sprytem, popartym techniką, że pozostawiał ich w tyle o parę lat świetlnych.

Zmienił zwyczaje Kanadyjczyków, przybywających swego czasu do Anglii po fortuny i ewentualne tytuły – on sam był już panem, i to wcale zamożnym, nim wyemigrował do Kanady. Przyznać należy, że emigracja owa – nader dyskretnie a błyskawicznie przeprowadzona – nie była całkowicie dobrowolna. Swoją początkową fortunę zawdzięczał machinacjom w handlu nieruchomościami w Londynie, zanim jeszcze urząd podatkowy stał się zawstydzająco ciekawski co do jego działalności. Na szczęście zarzuty, jakie mogły być postawione, z pewnością nie kwalifikowały go do ekstradycji. W Kanadzie inwestował swe miliony w North Hudson Oil Company przez kilkanaście lat i udowodnił, że jako nafcjarz jest o wiele lepszy niż jako pośrednik handlu nieruchomościami. Jego tankowce i rafinerie oplotły kulę ziemską, zanim on sam zdecydował, że klimat kanadyjski jest zbyt chłodny i przeniósł się na południe

Florydy. Wspaniała posiadłość, jaką tam miał, wzbudzała zazdrość i podziw wielu milionerów o ostatnich możliwościach finansowych, którzy rozpychali się łokciami w rejonie Fortu Lauderdale.

Jadalnia w tej posiadłości była czymś naprawdę godnym uwagi. Zakonnicy z samej natury swego powołania powinni mieć w pogardzie wszelakie dobra doczesne, ale żaden z nich, były bądź współcześnie żyjący, nie mógłby spojrzeć bez zblednięcia z zazdrością na ową lśniącą wspaniałość refektarzowego stołu ze starego dębu. Stojące wokół krzesła musiały być autentycznymi ludwikami czternastymi, zaś wspaniały, jedwabny dywan, w którego włosiu mógłby się schować tabun myszy, zostałby wyceniony przez eksperta na zawrotną sumę, tym bardziej że pochodził z Damaszku. Ciężkie zasłony i jedwabne tapety, pokrywające ściany, były w kolorze jasnoszarym, rozjaśnionym przez serię impresjonistycznych obrazów, pośród których były przynajmniej trzy Matissy i tyleż Renoirów. Lord Worth nie był dyletantem i robił najwyraźniej co mógł, by wyrównać niedociągnięcia przodków w dziedzinie kultury.

W tym tak przyjemnym otoczeniu, zażywał właśnie odpoczynku sam jego właściciel. Towarzyszyła mu, druga już tego dnia szklaneczka brandy i dwa stworzenia, które, po pieniądzach, kochał najbardziej na tym świecie – jego córki: Marina i Melinda. Nazwała je tak ich, rozwiedziona już z ojcem matka, czystej krwi Hiszpanka. Obie były młode, piękne i mogłyby uchodzić za bliźniaczki, którymi w istocie nie były. Rozróżnić je zaś dawało się po tym, że włosy Mariny były kruczoczarne, Melindy natomiast miały barwę czystego, tycjanowskiego brązu.

Przy stole było jeszcze dwóch innych gości. Wielu lokalnych milionerów oddałoby sporą część swoich, niekoniecznie legalnie zdobytych, zasobów za przywilej i zaszczyt zasiadania przy cennym stole lorda Wortha. Kilku dostało zaszczytu zaprosin. Siedzący tu w tej chwili młodzi ludzie byli biedni, i to dokładnie tak, jak myszy kościelne, a mimo to mieli ów rzadko spotykany przywilej przychodzenia i odchodzenia bez zaproszenia, kiedy tylko mieli ochotę, co zdarzało się dość często. Byli to Mitchell i Roomer, dwaj sympatyczni młodzieńcy lekko po trzydziestce, dla których lord Worth żywił wielki, choć starannie

!f ukrywany podziw i coś w rodzaju uznania, gdyż byli to jedyni całkowicie uczciwi ludzie, jakich kiedykolwiek spotkał. Nie dlatego, żeby sam znalazł się kiedyś zbyt daleko po niewłaściwej stronie prawa, choć stale wiedział dokładnie, co tam się dzieje; po prostu nie było w zwyczaju tego człowieka mieć do czynienia z uczciwymi ludźmi. Obaj byli wysoko kwalifikowanymi sierżantami policji, tyle tylko że stali się zbyt wykwalifikowani i aresztowali nader często oraz skutecznie niewłaściwych ludzi – jak skorumpowani politycy i zamożni biznesmeni, którzy wyrobili sobie złudne, jak się okazywało, odczucie, że wyrosli ponad obowiązujące prawo. Tym sposobem obaj zostali wyrzuceni ze służby – w praktyce za totalną nieprzekupność.

Michael Mitchell był wyższy, masywniejszy i mniej przystojny z tej pary. Z lekko niesymetryczną twarzą, falującymi czarnymi włosami i silnie zarysowanym podbródkiem nie miał żadnych szans na pozycję idola. John Roomer ze swymi kasztanowatymi włosami i takim samym, starannie przyczesanym wąsem, był na pewno przystojniejszy. Obaj byli sprytni, inteligentni i wysoce doświadczeni. Roomer był mózgiem, Mitchell operatorem. Obaj byli uroczy, spokojni i bardzo wytrzymali. Posiadali także jedną z niezbyt szeroko rozpowszechnionych umiejętności – obaj byli strzelcami zasługującymi na miano snajperów. Dwa lata wcześniej otworzyli własne prywatne biuro detektywistyczne i ustalili sobie od tego czasu reputację właściwych osób, do których należało zwrócić się będąc w kłopotach. I wielu to robiło, rezygnując ze zwracania się do policji, co nie przyczyniało się do poprawy stosunków młodych detektywów z tą instytucją. Mieszkali w pobliżu posiadłości lorda Wortha, w której byli częstymi i mile widzianymi gośćmi. Gospodarz doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie przychodzili tu dla wątpliwej przyjemności przebywania w jego towarzystwie i nie byli też w najmniejszym stopniu zainteresowani jego pieniędzmi – chociaż to ostatnie było dla niego ciężkim szokiem, jako że nie spotkał dotąd człowieka, który w jakiś sposób nie byłby zainteresowany tą kwestią. Tym, co interesowało głęboko ich obu, były Marina i Melinda.

Drzwi otworzyły się i służący lorda – Jenkins, Anglik rzecz jasna – wszedł na swój zwykły, bezgłośny sposób. Zbliżył się do stołu, i dyskretnie szepnął coś do ucha gospodarzowi, a ten skinął głową i wstał od stołu.

–Wybaczcie mi. Niespodziewany gość. Jestem pewien, że nie będziecie się beze mnie nudzić. – Z tymi słowami skierował się do swego gabinetu, cicho zamykając drzwi, których cechą charakterystyczną było to, że czyniły pomieszczenie całkowicie dźwiękoszczelnym.

Gabinet w pewien sposób – lord Worth nie był sybarytą, chociaż podobnie jak oczekujący go mężczyzna lubił określone wygody – przypominał jadalnię: dąb, skóra, w kącie zupełnie zbędny kominek z płonącymi bierwionami – słowem, wszystko jak w porządnej, angielskiej rezydencji. Ściany zastawione były regałami wypełnionymi tysiącami książek, z których lord Worth wiele faktycznie przeczytał. Musiało to z pewnością powodować ogromne oburzenie jego niepiśmiennych przodków, którzy ponad wszystko za godną pogardę uważali taką degenerację.

Na jego powitanie uniósł się z fotela wysoki, opalony mężczyzna o szpakowatych włosach.

–Corral, stary chłopie! – odezwał się lord Worth, serdecznie ściskając mu dłoń. – Miło cię znowu widzieć! Minęło już trochę czasu od naszego ostatniego spotkania.

–Cała przyjemność po mojej stronie. Nie wydarzyło się ostatnio nic, co mogłoby pana zainteresować.

–A teraz?

–Teraz to zupełnie co innego.

Corral, stojący przed lordem Worthem był w samej rzeczy tym samym Corralem, który reprezentował Florydę na zebraniu przy brzegach Lake Tahoe. Parę lat temu obaj doszli do korzystnego, dotrzymywanego przez obie strony, porozumienia. Sam Corral, określany wszem i wobec jako jeden z najbardziej zagorzałych wrogów lorda, a z pewnością będący jego zapalonym krytykiem, z wielką regularnością meldował mu o planach i projektach większości kompanii naftowych, co bynajmniej nie szkodziło lordowi. Corral otrzymywał zwrotnie dwieście tysięcy dolarów, wolnych od podatku, co szkodziło mu jeszcze mniej.

Lord Worth nacisnął guzik i w ciągu paru sekund pojawił się Jenkins ze srebrną tacą, na której stały dwie duże brandy. Nie była to telepatia, tylko lata doświadczeń i dawno ustalone zwyczaje pana domu.

Gdy służący wyszedł, obaj panowie usiedli.

–Jakie są zatem nowiny z Zachodu? – spytał gospodarz.

–Przykro mi to mówić, ale Cherokee zawzięło się na pana.

–To się niekiedy zdarza – westchnął lord. – Proszę opowiedzieć mi o wszystkim.

Corral opowiedział. Ponieważ miał prawie fotograficzną pamięć i dar zwięzłego relacjonowania istotnych faktów, zajęło mu to tylko pięć minut. Po tym czasie lord Worth wiedział wszystko, o czym warto było wiedzieć odnośnie spotkania nad Lake Tahoe. Lord Worth, znający

Cronkite'a lepiej niż ktokolwiek inny z powodu nieszczęśliwego nieporozumienia, które między nimi wynikło, zapytał po wysłuchaniu relacji:

–Czy Cronkite zgodził się nie używać przemocy?

–Nie.

–I tak niewiele by to zmieniło, gdyż temu człowiekowi pojęcie prawdy jest całkowicie obce, ale sam fakt też wiele mówi. Zatem dziesięć milionów dolarów na wydatki...

–Wygląda to nieciekawie...

–Czy wyobraża sobie pan zrealizowanie tego zadania bez stosowania przemocy w tej sytuacji?

–Nie.

–Czy sądzi pan, że pozostali nie zdają sobie z tego sprawy?

–Proszę pozwolić mi to ująć w inny sposób. Każda grupa ludzi, która jest w stanie dojść do porozumienia w przekonaniu, że dowolna akcja skierowana przeciw panu jest zbawieniem ludzkości, jest także gotowa uwierzyć, że słowo „Cronkite” jest synonimem pokoju na ziemi.

–Więc wszystko jasne. Jeśli Cronkite przeciągnie strunę i dojdzie, dajmy na to, do mojej śmierci i zniszczeń, zawsze mogą wtedy stwierdzić: „O Boże, nie sądziliśmy, że ten człowiek posunie się aż tak daleko!”. Zresztą, nie będą nawet musieli tego mówić – nikt nigdy nie ustali żadnego związku między nimi a tym szaleńcem. Co za banda zdegenerowanych hipokrytów! – przerwał na chwilę. Po czym spytał: – Przypuszczam, że odmówił ujawnienia swoich planów?

–Całkowicie. Tym niemniej tuż przed wyjściem zdarzyło się coś dziwnego... Otóż odwołał on na bok dwóch uczestników spotkania i przez chwilę z nimi rozmawiał. Ciekawe byłoby dowiedzieć się o czym...

–Jaka jest szansa?

–Nader nikła. Nie mogę obiecać, ale Benson powinien się dowiedzieć. W końcu to on nas tam zaprosił...

–Sądzi pan, że można przekonać Bensaona, aby to panu powiedział?

–Nikła szansa, nic więcej.

Lord Worth miał zrezygnowany wyraz twarzy.

–Zgoda. Ile?

–Nic. Pieniądze nie kupią Bensa – Corral potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Jest to nader rzadko spotykane w dzisiejszym przekupnym świecie, ale Benson nie jest najemnikiem. Jest mi winien uprzejmość, gdyż beze mnie nie zostałby przewodniczącym kompanii naftowej, ale mogę tylko na to liczyć. Zaskakuje mnie, że nie zapytał pan, kogo Cronkite wziął na stronę.

–Właśnie to robię.

–Borosoffa ze Związku Sowieckiego i Patinosa z Wenezueli... Mówi to coś panu?

Lord Worth wyprostował się.

–Tak. Jednostki marynarki sowieckiej odbywają „przyjacielską wizytę” na Karaibach. Tak się to chyba nazywa. Naturalnie bazują na Kubie. Tylko oni mogą, nie ucząc rzecz jasna Stanów, podjąć szybką i skuteczną akcję przeciw „Seawitch”. Chytre, diabelnie chytre...

–To samo i ja sędzę. Nie mam pewności, ale postaram się to sprawdzić tak szybko, jak tylko się da i wtedy się znowu odezwę.

–Ja zaś podejmę niezwłocznie należyte przygotowania. Obaj panowie wstali, a lord Worth dodał:

–Corral, powinniśmy poważnie rozważyć kwestię podwyższenia pańskiego zasiłku emerytalnego.

–Staram się być pomocny, sir.

Wnętrze prywatnej radiostacji lorda Wortha bardziej przypominało kabinę jego prywatnego boeinga 707. Pokręta i skale występowały w pełnym, zaskakującym bogactwem, wyborze. Lord Worth jednak zdawał się być w jak najlepszej z nimi komitywie, sądząc z szybkości, z jaką umiał się wśród nich zorientować i skłonić całą aparaturę do nawiązywania kolejnych połączeń. Najpierw rozmawiał z pilotami swoich helikopterów, polecając, aby dwa największe – Worth był człowiekiem, który nigdy niczego nie robił połowicznie i właścicielem aż sześciu maszyn – były gotowe do lotu na prywatnym lotnisku na krótko przed świtem. Potem łączył się z ludźmi, o istnieniu których jego rada nadzorcza nie miała pojęcia. Pierwsza rozmowa – Kuba, druga – Wenezuela. Polecenia były proste: stała obserwacja baz marynarki i meldowanie o wypłynięciu jakiegokolwiek jednostki. Następnym rozmówcą był żyjący w niedalekim sąsiedztwie niejaki Giuseppe Palermo, którego nazwisko sugerowało przynależność do mafii, co z całą pewnością nie było prawdą. W opinii Mr Palermo mafia stała się organizacją godną pogardy z powodu stosowania tak niewiarygodnie łagodnych metod perswazji, że zagrażało to w najbliższym okresie przekształceniem się jej w ogólnie szanowaną instytucję. Ostatnia rozmowa prowadzona była z Baton Rouge w Luizjanie, gdzie żył człowiek nazywający siebie „Con-de”, znany z tego, że od drugiej wojny światowej był najwyższym rangą oficerem marynarki, skazanym przez sąd wojskowy na degradację i usunięcie z szeregów sił zbrojnych. Podobnie jak pozostali i on otrzymał dokładne i zwięzłe instrukcje. Lord Worth był nie tylko wspaniałym

organizatorem, słyszał także z tego, że jego oszczędność była równa szybkości działania.

Szlachetny lord, który zupełnie słusznie by się oburzył, gdyby ktoś go oskarżył – jak dotąd, nikt nie odważył się tego zrobić – że jest kryminalistą, był na najlepszej drodze, by się nim stać. Takie stwierdzenie także spotkałoby się z ostrym sprzeciwem, a to z dwóch powodów – konstytucja zapewnia każdemu obywatelowi prawo do noszenia broni i prawo do samoobrony własnej lub też swojego stanu posiadania przed przestępczymi atakami i za pomocą wszystkiego, co znajduje się pod ręką.

Po chwili lord Worth wykonał ostatnie już połączenie, tym razem dłuższe, ponieważ naświetlał sytuację swojemu wypróbowanemu i zaufanemu adiutantowi, którego nazywano Komendantem Łarsenem.

Komendant Larsen był kapitanem „Seawitch”. Łarsen – nikt nie wiedział, dlaczego nazwał siebie Komendantem, a nie był kimś, kogo można by pytać o takie rzeczy – był raczej odmiennym typem niż jego chlebodawca. Nie licząc sali sądowej i bliskości przedstawicieli prawa, czyli sytuacji niepożądanych, przyznawał się radośnie każdemu, że jest kryminalistą, a nie dżentelmenem. Z całą pewnością nie był podobny do żadnego arystokraty – ani żywego, ani zmarłego. Pomiedzy nim a lordem Worthem istniało jednak prawdziwe zrozumienie i niewymuszony szacunek, nie licząc bowiem wyglądu i pochodzenia byli posiadaczami bliźniaczych charakterów. Jako kryminalista i niearystokrata nie przejmujący się przeciętnymi ludźmi, którym mogło się to nie podobać, Larsen wyglądem pasował do tego, co mówił o sobie. Miał budowę i wygląd brutalnego z natury boksera wagi ciężkiej, głęboko osadzone oczy patrzące spod dość ciężkich, obfitych i potarganych brwi, równie obfitą i zmierzwioną brodę, zakrzywiony nos i twarz, która sugerowała nieustanne kontakty jej właściciela z ciężkimi przedmiotami. Nikt, wyjąwszy chyba tylko lorda Wortha, nie wiedział, kim jest i skąd pochodzi to indywiduum. Tylko głos był w całej postaci przyjemnym zaskoczeniem – w postaci neandertalczyka ukrywał się bowiem umysł i głos wykształconego, kulturalnego człowieka. Nie powinno to być zresztą takim szokiem, albowiem pod powłoką kulturalnych i wykształconych ludzi kryją się nierzadko umysły ociężałych czwartoklasistów.

W tej chwili Larsen przebywał w kabinie radiowej, słuchając uważnie i potakując od czasu do czasu. W końcu przełączył rozmowę na głośnik.

–Wszystko jasne, sir. Poczynimy odpowiednie przygotowania. Ale czy nie zapomniał pan o czymś, sir?

–Zapomniałem? – głos lorda Wortha, mimo technicznych zakłóceń, brzmiał pewnością kogoś, kto nie mógł o niczym zapomnieć.

–Sugeruje pan, że może być przeciw nam użyty okręt wojenny. Jeśli oni są w stanie posunąć się aż tak daleko, to czy nie jest w takim razie możliwe, że posuną się jeszcze dalej?

–Przejdź do rzeczy.

–Sprawa polega na tym, że dość łatwo jest wziąć pod obserwację parę baz marynarki wojennej, ale wydaje mi się, że trochę trudniej jest zrobić to z tuzinem lub dwoma lotnisk...

–Wielki Boże... – nastąpiła dość długa przerwa, podczas której niemal słychać było, jak obracają się kółka zębate w umyśle lorda. – Pan naprawdę myśli...

–Tak na dobrą sprawę, to jest mi to obojętne, czy pójdę na dno razem z „Seawitch” za sprawą pocisków artyleryjskich czy bomb lotniczych, ale samolot może ulotnić się z miejsca przestępstwa o wiele szybciej niż okręt... Samoloty zdążą zniknąć, zanim US Navy czy US Air Force będą miały szansę je przechwycić, czego nie da się powiedzieć o okręcie. Jeszcze jedno – okręt może zatrzymać się dobre sto mil od nas, a nie jest to odległość godna wspomnienia dla zdalnie sterowanej rakiety. Mają one maksymalny zasięg, jak mi się wydaje, około czterystu tysięcy mil. Kiedy taka rakietka zbliży się do nas na odległość, powiedzmy, dwudziestu mil, mogą ją po prostu przełączyć na samona-prowadzanie na źródło ciepła. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy jedynym takim źródłem w promieniu stu mil.

Znów nastąpiła długa przerwa, zakłócona w końcu pytaniem:

–Czy jeszcze jakieś podnoszące na duchu pomysły przychodzą panu do głowy?

–Tak, sir. Jeszcze jeden... Gdybym był naszym przeciwnikiem, użyłbym okrętu podwodnego. One nie muszą się nawet wynurzać, aby odpalić raketę. Puuuuf! Nie ma „Seawitch”, nie ma śladu napastnika... Z powodzeniem można by wtedy stwierdzić, że była to potężna eksplozja przy wydobywaniu ropy. To wcale nie jest takie nieprawdopodobne!

–Za chwilę powie mi pan, że użyją pocisku atomowego! – Żeby tuzin stacji sejsmologicznych zarejestrował wybuch? Nie sądzę, żeby po to sięgnęli, lecz mogą to być pobożne życzenia. Ja osobiście nie mam ochoty wyparować...

–Zobaczymy się rano – głośnik umilkł.

Larsen odwiesił słuchawkę i uśmiechnął się szeroko. Można by oczekiwać, że takie zachowanie odsłoni garnitur żółtych kłów i faktycznie

pojawiły się lecz śnieżnobiałe zęby. Odwrócił się i spojrzał na Scoffiel-da, szefa odwiertu i swoją prawą rękę.

Scoffield był potężnym, kanciastym i wiecznie uśmiechniętym mężczyzną, wyglądającym dzięki temu jak pełne uzewnętrznienie przyjemnych cech ludzkiej natury. Tak naprawdę to sprawy miały się trochę inaczej, o czym mógł gorliwie i bluźnierczo zaświadczyć każdy członek załogi wiertniczej. W rzeczywistości był okazem nader brutalnego osobnika, zaś wyraz jego twarzy nie był wynikiem hipokryzji, lecz stałym skurczem mięśni spowodowanym czterema długimi szramami, rozmieszczonymi parami na policzkach. Oczywiście było, że, podobnie jak Lar-sen, jest on zdecydowanym przeciwnikiem chirurgii plastycznej. Spojrzał teraz na Larsena ze zrozumiałą ciekawością.

–Co tu się właściwie dzieje?

–Zbliża się dzień sądu, przygotujcie się na spotkanie swojego przeznaczenia. A dokładniej, jego lordowska mość zaczął być tępiony przez konkurencję – w kilku zdaniach streścił uzyskane informacje, po czym dodał: – Wysłała nam wczesnym rankiem coś podobnego do batalionu zawodowców, odpowiednio zresztą wyposażonych. Po południu powinniśmy oczekiwać dostawy z cięższym uzbrojeniem, która przybędzie drogą morską.

–Zastanawia mnie, skąd on weźmie tylu ludzi i broń ciężką?

–Zastanawiaj się, ale nie zadawaj głupich pytań.

–Cała ta gadanina – twoje gadanie raczej – o bombowcach i raketach... Wierzysz w to?

–Nie, tylko trudno zignorować okazję do podszczypnięcia arystokratycznej dumy... To znaczy, mam nadzieję, że w to nie wierzę. Dalej, idziemy obejrzeć naszą obronę.

–Ty masz pistolet, ja mam pistolet... To się nazywa obrona.

–Cóż... Idziemy zobaczyć, gdzie zamontujemy naszą obronę, gdy nadejdzie transport. Wydaje mi się, że będą to uniwersalne armaty średniego kalibru.

–Jeśli nadejdą...

–Oddaj diabłu co jego. Lord Worth je dostarczy.

–Z prywatnej zbrojowni, jak sądzę...

–Nie zaskoczyłoby mnie to.

–A co ty tak naprawdę o tym wszystkim myślisz?

–Nie wiem. Wszystko, co wiem, to tyle, że jeśli nasz pracodawca choć w połowie ma rację, to życie tutaj w ciągu kilku najbliższych dni może być trochę mniej monotonne.

Obaj mężczyźni wyszli na pokład platformy wiertniczej, zakotwiczonej na głębokości trzystu metrów, znacznie poniżej wytrzymałości kabli kotwicznych i dokładnie nad najbogatszymi pokładami ropy na dnie Zatoki Meksykańskiej. Zatrzymali się przy wieży wiertniczej, gdzie pracujące pod maksymalnym wychyleniem wiertło usiłowało zbadać głębokość złoża. Załoga spoglądała na ten duet bez specjalnej miłości, ale także bez szczególnej nienawiści. Powody braku ciepła w ich spojrzeniu były w pełni uzasadnione.

Lord Worth chciał wysuszyć tę gigantyczną beczułkę ropy, zanim nie zostaną ustanowione przepisy, zabraniające tego rodzaju działalności. Spieszył się nie dlatego, że się tym zbyt przejmował. Agencje rządowe znane są z powolności działania, ale zawsze istniała jednak szansa, że tym razem szybko podejmą decyzję. Tymczasem zapasy ropy mogą się okazać bogatsze, niż wykazywały szacunkowe obliczenia. Dlatego też próbowano ustalić jej granice. Stąd też brał się ów brak ciepła ze strony pracowników, to też było powodem, dla którego Scoffield i Lar-sen – wysoce uzdolnieni nadzorcy niewolników, którzy urodzili się o parę stuleci za późno – popędzali pracowników dzień i noc. Ludzie tego nie lubią, lecz nie na tyle, by się zbuntować. Byli dobrze opłacani, wygodnie zakwaterowani i jeszcze lepiej karmieni... Nie był to, rzecz jasna, czas wina, śpiewu i kobiet, ale po wyczerpującej, dwunastego-dzinnej zmianie te frywolne rozrywki przegrywały zdecydowanie z porządnym posiłkiem i solidnym, długim snem. Co ważniejsze i niezbyt często spotykane wszyscy otrzymywali premie za każdy tysiąc wydobytych baryłek ropy.

Larsen i Scoffield podeszli tymczasem do zachodniego skraju platformy i wpatrzyli się w milczeniu w masywny kadłub zbiornika, którego pokład usiany był światłami ostrzegawczymi. Stali tak przez chwilę, po czym zawrócili ku kwaterom mieszkalnym.

–Zdecydowałeś się już, gdzie umieścić armaty? Jeśli będą jakieś...

–Będą – Larsen był pewny. – Ale w tym kwadracie nie będziemy ich potrzebować.

–Dlaczego?

–Sam pomyśl. A co do reszty, to nie jestem pewien, ale sądzę, że może oświeci mnie we śnie. Moja zmiana jest dziś w nocy. Do zobaczenia o czwartej.

Ropa nie była przechowywana na pokładzie – było to zakazane jednostronnie przepisami. To samo zresztą podpowiadał zdrowy rozsądek

i przynajmniej podstawowa znajomość chemii organicznej. Lord Worth, posługując się instrukcjami Larsena, które zgodnie z zasadami dyplomacji miały formę sugestii, zbudował potężny, pływający zbiornik, zakotwiczony, podobnie jak „Seawitch”, o jakieś trzysta metrów od platformy. Oczyszczona i wstępnie przerobiona ropa była tam przepompowywana po wydobyciu spod morskiego dna, a dokładniej spod masywnej rafy zbudowanej przez małutkie żyjątka na dnie oceanu pół miliona lat temu. Raz lub dwa razy dziennie zatrzymywał się tu tankowiec o pojemności pięćdziesięciu tysięcy ton i opróżniał zbiornik. Trzy takie tankowce przemierzały wody u południowych wybrzeży USA, dostarczając tam świeżo wydobytą ropę. North Oil Company miała co prawda supertankowce, ale wykorzystywanie ich do takich zadań kłóciło się z poczuciem ekonomii Wortha. Cała zawartość zbiornika nie zapewniała nawet jednej czwartej ładunku dla żadnego z nich, a możliwość, by któraś z owych jednostek miała mieć niepełny ładunek, była źródłem koszmarów sennych prezesa North Hudson. Co ważniejsze, mniejsze porty, do których dostarczano część ładunku, nie były przystosowane do przyjmowania jednostek o zanurzeniu większym niż te właśnie pięćdziesięciotysięczniki. Należy wyjaśnić, że wybór małych portów nie był spowodowany zachcianką lorda Wortha. Pomiędzy stronami gentlemen's agreement o niewydobywaniu ropy poza wodami terytorialnymi były i takie, które pomstując na bezbożne praktyki North Hudson były jednocześnie najlepszymi klientami tej firmy. Były to małe towarzystwa, zadowolające się mniejszymi zyskami, cierpiały bowiem na zupełny brak funduszy na poszukiwania i wydobywanie ropy. Miały je i wykorzystywały wielkie towarzystwa, inwestujące potężne sumy w takie instalacje i, ku nieustającej wściekłości Urzędu Podatkowego oraz niezliczonych komisji kongresowych, domagały się jeszcze poważniejszych ulg podatkowych z racji tezy o popieraniu tych badań przez rząd.

Dla małych towarzystw zapotrzebowanie na ropę było jedynym wyjściem, a jej kupowanie jedyną formą podtrzymania egzystencji. „Seawitch” zaś wydobywała jej tyle, ile wszystkie inwestycje rządowe razem wzięte. Byli najlepszym źródłem w okolicy, przynajmniej dopóki nie wda się w to rząd, co mogło, lecz nie musiało, nastąpić w następnej dekadzie. Wielkie towarzystwa naftowe pokazały już, co można zrobić z komisjami senackimi, a dopóki energetyczny kryzys nie zamierzał osłabnąć, nikt nie chciał nawet zwracać sobie głowy drobnym pytaniem, skąd pochodzi ropa, byle tylko jej dostawy były regularne. W dodatku małe towarzystwa były przekonane, że jeśli OPEC może

bawić się w kotka i myszkę z cenami ropy, gdy tylko przyjdzie im na to ochota, to dlaczego i one nie miałyby tego robić?

Mniej niż dwie mile od posiadłości lorda Wortha znajdowały się połączone domy i biuro spółki Michael Mitchell and Johnny Roomer. Tym, który pierwszy zareagował na dzwonek, był Mikę.

Gość był średniego wzrostu i średniej tuszy, nosił okulary w metalowej oprawie i trzymał w ręku dość porządny kapelusz. Miał również wystarczająco kulturalną wymowę, by nie narażać się na niewpuszczenie.

–Mogę wejść?

–Jasne – odparł Mikę, wprowadzając go do środka. – Normalnie nie przyjmujemy o tak późnej porze.

–Dziękuję. Przyszedłem w niezwyklej sprawie – lekki ruch ręki i pojawił się w niej kartonik. – James Bentley z FBI.

–Można to kupić w co drugim sklepie z zabawkami – Mitchell w ogóle nie spojrzał na legitymację. – Skąd?

–Miami.

–Telefon?

Bentley odwrócił kartonik, który Mitchell podał Roomerowi.

–Moja pamięć zaoszczędza nam wydatków na papier. Roomer również nie zaszczyił kartonika spojrzeniem.

–On jest w porządku, Mikę, spotkałem go kiedyś. Jest pan tam szefem, o ile się nie mylę? – Po potwierdzającym skinięciu dodał: – Proszę usiąść.

–Wyjaśnijmy sobie najpierw jedno – odezwał się Mitchell. – To my jesteście pod lupą?

–Pośrednio. Departament Stanu prosił nas, abyśmy was poprosili o pomoc dla nich.

–Stajemy się ważni – mruknął Mitchell. – Możemy to zrobić, ale pozostaje drobiazg... Departament Stanu nawet nie wie, że my istniejemy.

–Ja wiem – dyskusja została zakończona. – Rozumiem, że jesteście panowie dość...

że tak powiem, zaprzyjaźnieni z lordem Worthem...

–Znamy go trochę – odezwał się ostrożnie Roomer. – Akurat tak, jak pan nas.

–Ja wiem o was całkiem sporo, zaczynając od tego, że jesteście parą eks-gliniarzy, którzy nigdy nie nauczyli się spoglądać we właściwą stronę w odpowiednim momencie. Chciałbym, abyście się zajęli małą sprawą odnośnie lorda Wortha. 27- Ma pan pecha – stwierdził Mitchell. – Znamy go nieco lepiej niż trochę.

–Wysłuchaj go najpierw, Mikę – odezwał się Roomer, ale i jego twarz straciła uprzejmy wyraz, jaki się tam jeszcze przed chwilą błakał.

–Lord Worth narobił wrzawy przez telefon w Departamencie Stanu. Wydaje się, że cierpi na manię prześladowczą. Zainteresowało to Departament, jako że bardziej widzą go w roli prześladowcy niż prześladowanego.

–Ma pan na myśli, że tak go widzi FBI – przerwał mu Roomer. – Macie jego akta od lat. Lord zawsze sprawiał wrażenie osoby, która potrafi zadbać o siebie.

–Właśnie to samo intryguje Departament Stanu.

–Co to była za wrzawa? – zapytał Mitchell.

–Dość nonsensowna. Wiecie, on ma platformę wiertniczą w Zatoce Meksykańskiej. – „Seawitch”? Wiemy.

–Wygląda, jakby był pod wrażeniem, że jest ona w śmiertelnym niebezpieczeństwie i domaga się dla niej ochrony. Jak na multimilione-ra jest dość skromny – jedna albo dwie fregaty rakietowe w pobliżu, ot tak, na wszelki wypadek.

–Jaki wypadek?

–To właśnie jest problem – odmówił podania powodów. Po prostu stwierdził, że ma tajne informacje, co zresztą wcale mnie nie dziwi. Tacy jak on wszędzie mają swoich prywatnych agentów.

–Byłoby lepiej, gdyby poziom naszych informacji był bardziej wyrównany – zasugerował Mitchell.

–Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Reszta to tylko przypuszczenia... Zawiadomienie Departamentu Stanu oznacza, że są w to zamieszane inne państwa. W obecnej chwili na Karaibach są rosyjskie okręty wojenne – obawiamy się międzynarodowego incydentu lub czegoś gorszego...

–A czego konkretnie chcecie od nas?

–Niewiele... Tylko tego, żebyście dowiedzieli się, co on ma zamiar robić i gdzie zamierza być w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

–Jeśli odmówimy to co? – spytał Mitchell. – Nasze licencje zostaną cofnięte?

–Nie jestem skorumpowanym gliniarzem. Jeśli odmówicie, to możecie po prostu zapomnieć, że kiedykolwiek mnie widzieliście. Sądzę jednak, że wam samym może na tyle na nim zależeć, że po prostu musicie ochotę chronić go przed nim samym lub przed konsekwencjami jakichkolwiek nieprzemyślanych działań, jakie może sam podjąć. Myślę, że może wam, w razie czego, nawet bardziej zależeć na reakcji jego córek, gdyby cokolwiek stało się ich ojcu.

–Drzwi! – Mitchell był już na nogach, wskazując palcem kierunek.

–Nie cierpię natrętów, którzy za dużo wiedzą!

–Siadaj i nie bądź głupcem – w głosie gościa pojawił się lód. – Dużo wiedzieć to mój obowiązek... Sądziłem poza tym, że może poza lordem Worthem i jego córkami choć trochę obchodzi was dobro naszego kraju.

–Czy nie za wysoko sięgamy? – zainteresował się Roomer.

–Może, ale zadaniem Departamentu Stanu i Sprawiedliwości oraz FBI jest ograniczanie ryzyka.

–Stawia nas pan w cholernie głupiej sytuacji – poinformował z uśmiechem Roomer.

–Proszę nie sądzić, że o tym nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że was wystawiam i przykro mi z tego powodu, ale obawiam się, że ten dylemat musicie rozwiązać sami.

–Dzięki za uprzejmość, byliśmy właśnie przygnębieni z uwagi na groźbę bezrobocia – mruknął Mitchell. – Czego pan oczekuje? Że pójdziemy do lorda Wortha i zapytamy go, dlaczego zwracał dupę Departamentowi Stanu, o co mu chodzi i co zamierza z tym zrobić?

–Nic tak brutalnego – uśmiechnął się Bentley. – Macie reputację – poza policją, rzecz jasna – dobrych fachowców. To, jak go skłonicie do mówienia, zależy od was. Tu macie moją wizytówkę i dajcie mi znać pod obojętnie który numer, gdy tylko będziecie coś wiedzieć. Jak sądzicie, ile czasu wam to zajmie?

–Parę godzin – odparł niedbale Roomer.

–Parę godzin? – Bentley wydawał się być zaskoczony. – Nie potrzebujecie zaproszenia, aby zjawić się z wizytą?

–Nie.

–Milionerzy potrzebują.

–Nie jesteśmy nawet tysięcznikami.

–Spora różnica... No cóż, dziękuję, panowie... Dobranoc.

Po jego odejściu obaj mężczyźni siedzieli parę minut w kompletnej ciszy, którą wreszcie przerwał Mitchell.

–Gramy w obie strony?

–Gramy w każdą stronę – Roomer wziął telefon, wykręcił numer i poprosił o połączenie z lordem.

Musiał się zidentyfikować, zanim połączono go dalej. Lord Worth był człowiekiem szanującym swoją prywatność.

–Lord Worth? – zapytał nareszcie. – Tu Roomer. Mitchell i ja chcieliśmy przedyskutować z panem coś, co może być lub nie sprawą nagłą i ważną. Wolelibyśmy nie robić tego przez telefon...

Przerwał, słuchał przez kilka minut, mruknął coś i odłożył słuchawkę.

–Czeka na nas. Powiedział, żebyśmy zaparkowali z tyłu i weszli do gabinetu. Mówi, że dziewczyny są na górze.

–Myślisz, że nasz przyjaciel Bentley zdążył już założyć podsłuch na nasz telefon?

–Nie byłby wart swojej pensji, gdyby tego nie zrobił.

Pięć minut później przechodzili między drzewami, kierując się ku tylnemu wejściu. Obserwowała ich z zaciekawieniem Marina, stojąca przy oknie swej sypialni położonej na piętrze. Przyglądała się przez dłuższą chwilę, następnie bez pośpiechu wyszła z pokoju.

Lord Worth powitał ich w gabinecie i starannie zamknął wyciszane drzwi, po czym otworzył drzwi barku i nalał trzy brandy. Jest czas, kiedy dzwoni się po Jenkinsa, i taki, kiedy się tego nie robi.

–Zdrowie. Za niespodziewaną przyjemność – uniósł szklaneczkę.

–Dla nas nie jest to przyjemne – ponuro odparł Roomer.

–Więc nie przybyliście prosić mnie o ręce moich córek?

–Nie, sir. John lepiej to wszystko wyjaśni – odparł równie ponuro Mitchell.

–Jakie wszystko?

–Właśnie mieliśmy wizytę okręgowego szefa FBI – Roomer podał mu wizytówkę Bentleya. – Z tyłu jest numer, pod który mamy do niego dzwonić, gdy wyciągniemy od pana określone informacje.

–Ciekawe... – nastąpiła przerwa, podczas której lord Worth spojrzał kolejno na nich obu. – Jakie informacje?

–Według słów Bentleya narobił pan wrzawy w Departamencie, że ma pan podstawy

sądzić, iż „Seawitch” znajduje się w niebezpieczeństwie. Oni chcą wiedzieć, skąd ma pan te informacje i jakie ma pan plany na najbliższy okres.

–Dlaczego FBI nie przyszło wprost do mnie?

–Dlatego, że nie powiedziałby im pan więcej niż Departamentowi Stanu, o ile w ogóle wpuściłby ich pan za próg, że się tak wyrażę. Oni zaś wiedzą – Bentley nam to powiedział – że przychodzimy tu od

czasu do czasu, więc doszli do wniosku, że z nami nie będzie się pan miał na baczności...

–Mówiąc krótko, Bentley wymyślił sobie, że będziecie w stanie wyciągnąć coś ze mnie i to tak, że nie będę zdawał sobie z tego sprawy?

–Coś w tym stylu.

–Czy to was nie stawia w niezręcznej sytuacji?

–Niezupełnie.

–Powinniście, zdaje się, przestrzegać prawa?

–Tak – w głosie Mitchella można było doszukać się paru sprzecznych uczuć. – Ale nie prawa zorganizowanego. Zapomniał pan, że jesteśmy parą eks-gliniarzy dlatego, że nie mogliśmy pogodzić się właśnie z tym zorganizowanym prawem? Teraz nasza odpowiedzialność ogranicza się wyłącznie do naszych klientów.

–Nie jestem waszym klientem...

–Nie.

–Chcielibyście, abym nim był?

–Po co, na miłość boską? – zdumiał się Roomer.

–Nigdy, za nic na tym świecie, John. Przysługi muszą być wynagradzane.

–Kłapa na całej linii! – Mitchell był już na nogach. – Miło z pańskiej strony, że zechciał się pan z nami zobaczyć, lordzie Worth.

–Przepraszam – lord wyglądał na naprawdę poruszonego. – Obawiam się, że zachowałem się niewłaściwie...

Zamilkł na chwilę, po czym uśmiechnął się.

–Właśnie starałem się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio kogoś przeproszałem... Wygląda na to, że mam sklerozę, co jest niewątpliwie błogosławieństwem dla moich ukochanych córeczek. A wracając do naszych przyjaciół z FBI to po pierwsze informacje pochodzą z paru anonimowych grózb – telefony grożące życiu moich córek, jeśli nie zaprzestaną wydobywania ropy. Jak słusznie powiedziano, nie mogę ich tu wiecznie trzymać, a poza tym nikt jeszcze nie wymyślił lekarstwa na kulę

snajpera. Jeśli zaś zacznę komplikować, to po prostu mają zamiar wysadzić „Seawitch” w powietrze. Po drugie co do moich planów, to jutro po południu lecę na platformę i pozostanę tam przez najbliższe dwadzieścia cztery, a możliwe że i czterdzieści osiem godzin.

–W obu tych oświadczeniach jest zapewne ziarenko prawdy? – Roomer wyraził uprzejme zainteresowanie.

–Niech pan nie przesadza, oczywiście że tak! Tyle że odlatuję przed świtem. Nie mam ochoty na to, żeby ci wylupiastooocy bandyci obserwowali mnie spomiędzy krzaków mojego własnego lądowiska.

–Ma pan na myśli FBI, sir?

–A kogo?... Czy to chwilowo wystarczy?

–Idealnie.

Wrócili do samochodu w milczeniu. Roomer siadł za kierownicą, Mitchell zaś usadowił się obok.

–No, no, no! – oświadczył Roomer.

–Tak jak powiedziałeś: no, no, no... Cwany, stary diabeł... Nagle z tyłu rozległ się głos Mariny:

–Cwany może być, ale... – przerwała z westchnieniem, kiedy Mitchell odwrócił się na siedzeniu, zaś Roomer włączył wewnętrzne oświetlenie samochodu.

Lufa trzydziestki ósemki Mitchella wymierzona była dokładnie pomiędzy jej oczy, w tym momencie szeroko otwarte z zaskoczenia i strachu.

–Nie rób tego nigdy więcej. Następnym razem może być za późno – powiedział łagodnie Mitchell.

Oblizwała wargi w milczeniu. Normalnie była równie niezależna i samodzielna jak piękna, ale spoglądanie w lufę pistoletu po raz pierwszy w życiu jest czynnikiem dość skutecznie pozbawiającym pewności siebie.

–Chciałam właśnie powiedzieć, że może być cwany, ale na pewno nie jest jeszcze starym diabeł. Czy mógłbyś łaskawie zabrać ten pistolet? Nie powinno się celować w tych, których się kocha...

Broń Mitchella zniknęła, a on sam zabrał głos:

–Nie powinienem się zakochiwać w zwariowanych, młodych osobkach...

–Albo szpiegach – dodał Roomer, spoglądając na Melindę. – Co wy tutaj robicie?

Melinda była bardziej pewna siebie; bądź co bądź nie spoglądała przed chwilą w lufę pistoletu.

–Johnie Roomer jesteś cwany, młodym diabeł – oznajmiła.

–Po prostu zyskujesz na czasie! Było to całkowicie zgodne z prawdą.

-Co to niby ma znaczyć?

-To znaczy, że gorączkowo myślisz nad odpowiedzią na pytanie, które zamierzamy właśnie zadać: co wy dwaj tu robicie?

-To nie jest wasz interes – miękki głos Roomera był celowo nienaturalnie twardy.

Na tylnym siedzeniu zapanowała cisza, gdy dziewczyny zrozumiały, że w obu mężczyznach istnieje o wiele większa przepaść między życiem towarzyskim a zawodowym, niż im się do tej pory wydawało.

–Dobra, John – westchnął Mitchell. – Niewdzięczne dziecko może być gorsze od grzechotnika...

–Jezu! – Roomer potrząsnął głową. – Mógłbyś to powtórzyć? Nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi Mitchell, ale musiało mu chodzić o coś konkretnego.

–Dlaczego nie pójdziecie do tatusia i nie zapytacie go o to? – zaproponował uprzejmie Mitchell. – Jestem pewien, że wam powie, a zarazem zrobi największą awanturę, jaką kiedykolwiek przeżyłyście, za wtrącanie się w jego sprawy.

Wsiadł, otworzył drzwi, poczekał, aż wysiądą i powiedział: – Dobranoc.

Wsiadł z powrotem do samochodu, pozostawiając niezbyt pewne siebie dziewczyny na skraju drogi.

–Bardzo fachowo, ale nie podobałem się sobie za grosz – samo-krytycznie stwierdził Roomer ruszając. W każdym razie zrobiliśmy sobie doskonałe opinie na przyszłość.

–Będą jeszcze lepsze, gdy znajdziemy się przy telefonie za tym rogiem tak szybko, jak tylko zdołamy.

Znaleźli się tam po piętnastu sekundach, zaś minutę później Mitchell wracał już z budki.

–Co tu się dzieje? – Roomer uprzejmie zapytał współnika, gdy ten znalazł się już z powrotem w fotelu.

–Przykro mi, ale to prywatna sprawa – Mitchell wręczył mu kawałek papieru.

Roomer włączył światło. Na kawałku kartki jego kolega nabazgrał: „Samochód ma podsłuch!” – Nie mam pytań – Roomer mruknął z powątpiewaniem w głosie. Do domu powrócili w grobowym milczeniu.

–Skąd przyszło ci do głowy, że samochód jest na podsłuchu? Pytanie to Roomer zadał dopiero wtedy, gdy już wyszli z garażu.

–Nie wiem. A jak dalece ufasz Bentleyowi?

–Wiesz doskonale jak, ale on... albo któryś z jego chłopców nie mieli czasu...

–Pięć sekund to nie wieczność, a tyle czasu zabiera przyłożenie magnesu do metalu.

Wrócili do garażu i przeszukali najpierw wóz, którym jeździli, potem maszynę Mitchella – obie były czyste. 3 – Wiedźma Monka 33- Twój telefon? – zapytał Roomer, gdy już znaleźli się w swojej kuchni.

–Staruszek, rzecz jasna. Dostałem go pierwszy, one nie zdążyły jeszcze wrócić do domu. Powiedziałem mu, co się stało i zasugerowałem, aby uraczył je historyjką o groźbach przeciw ich życiu i o tym, że wie, kto za tym stoi, nie ufa tutejszej policji i posłał po nas, aby zakończyć tę sprawę. Załapał od razu... Aha, i żeby je jeszcze objechał za mieszanie się...

–Powinien je przekonać...

–A ciebie przekonał?

–Nie. Myśli szybko, łże jeszcze szybciej, ale nie dał rady... Chciał wiedzieć, jak poważnie zostałyby potraktowany w wypadku prawdziwego niebezpieczeństwa. Teraz ma dowody, że potraktowano by go poważnie. To twoje zadanie, ale sądzę, że Bentleyowi podamy oficjalną wersję?

–A niby co innego?

–Wierzysz w to, co nam powiedział? – Że ma swoją prywatną służbę wywiadowczą? Nie wątpię w to ani przez chwilę. Że odlatuje na „Seawitch”? W to także wierzę, choć nie jestem przekonany, czy będzie to na pewno wtedy, kiedy sądzimy. Powiedział nam, że nastąpi to o świcie, zaś Bentley ma wiedzieć, że po południu. Jeśli może nałgać jemu, to może i nam... Nie wiem, dlaczego mógłbym uznać to za stosowne, ale to może być jego druga natura. Wydaje mi się, że ma zamiar lecieć tam znacznie wcześniej...

–Obawiam się, że masz rację. Jeśli miałbym zamiar wstać przed świtem, to teraz byłbym już w łóżku albo na najlepszej drodze do tego. Natomiast po naszym gospodarzu nie było widać żadnych oznak, które mogłyby potwierdzać ten fakt. A więc podwójna obserwacja?...

–Sądzę, że i domu, i lotniska. Ty na lotnisku, a ja mam robić za ogon?

–A jak to sobie inaczej wyobrażasz?

Mitchell był posiadaczem fenomenalnego kociego wzroku. Poza wyjątkowymi, najczarniejszymi nocami mógł prowadzić wóz nie używając w ogóle świateł.

–Jak się zapatrujesz na napompowanie nowinami Bentleya, gdy ja będę przygotowywał kawę i kanapki?

–Niezbyt miło – odparł Roomer sięgając posłusznie po aparat telefoniczny. – Słuchaj, po co my to w ogóle robimy? Nie jesteśmy nic winni FBI, nie mamy od nikogo żadnego upoważnienia. Sam niedawno

stwierdziłeś, że zorganizowane prawo i my chodzimy różnymi drogami. Nie czuję się ani powołany, ani zobowiązany do ratowania kraju przed nie istniejącym zagrożeniem... Nie mamy klienta, nie mamy sprawy, nie mamy perspektywy zarobku, dlaczego zatem mielibyśmy się przejmować tym, że lord Worth wkłada głowę między drzwi?

Mitchell przerwał smarowanie chleba masłem i przyjrzał się uważnie wspornikowi.

–Co do twojego pytania, a szczególnie jego ostatniej części, to dlaczego nie zadzwonisz do Melindy i jej o to nie zapytasz?

Roomer spojrział na niego podejrzliwie, westchnął i wykręcił numer widniejący na odwrocie wizytówki Bentleya.

Rozdział trzeci Scoffield mylił się w swych przypuszczeniach: lord Worth nie posiadał prywatnego arsenału. Natomiast siły zbrojne Stanów Zjednoczonych posiadały składy broni i to liczone w tuzinach.

Dwa napady zostały przeprowadzone z zawodową wprawą, wynikającą z długiej i bardzo bogatej praktyki, wykluczającej jakąkolwiek możliwość pomyłki. W obu wypadkach celem były arsenały rządowe – jeden Armii, drugi Marynarki. Naturalnie były one pilnowane przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez uzbrojonych strażników, z których żaden nie został ranny czy zabity i skończyło się tylko na kilku ogłuszeniach workami z piaskiem. Lord Worth był nader zainteresowany w minimalnym użyciu przemocy.

Giuseppe Palermo, wyglądający i ubrany jak dobrze prosperujący urzędnik z Wall Street, zajął się trudniejszym z zadań. I choć był człowiekiem, który mafię ma w głębokiej pogardzie, uważał to zadanie za prawdziwą dziecinadę. Mając ze sobą dziewięciu dżentelmenów wyglądających niemal równie szacownie jak on sam – przy czym trzech z nich nosiło uniformy majorów US Army, zjawił się w arsenale florydzkim kwadrans przed północą. Sześciu młodych wartowników, z których żaden jak dotąd nie słyszał prawdziwego wystrzału i nie widział jego skutków, było ciężko zaspanych i oczekiwali tylko i wyłącznie na zmienników. Na nogach było jedynie dwóch – reszta po prostu smacznie spała, a i ci dwaj, odpowiadając na kategoryczne dobijanie się do bramy, byli wyraźnie zaniepokojeni, ale nie przerażeni pojawieniem się trzech wyższych stopniem oficerów, którzy poinformowali ich o niespodziewanej inspekcji służby wartowniczej i instalacji alarmowej. Pięć minut później cała szóstka była związana i zakneblowana – dwóch z nich było dodatkowo nieprzytomnych i miało obudzić się z bolącymi głowami z uwagi na źle pojęte poczucie obowiązku i próbę oporu – i bezpiecznie zamknięta w jednym z tak zwanych pomieszczeń

zapasowych.

Podczas trwania tego incydentu oraz w trakcie następnych dwudziestu minut jeden z ludzi Palermo, elektronik nazwiskiem Jamieson, przeprowadzał staranne poszukiwania systemów alarmowych, łączących arsenał tak z policją, jak i z najbliższą jednostką wojskową. Odszukał je i ominął bądź porozłączał.

W tym czasie przybyła zmiana warty, prawie równie śpiąca jak i ci, których mieli zmienić. Byli zaskoczeni, kiedy natknęli się na lufy trzech karabinów maszynowych. W ciągu paru minut zostali związani, ale nie zakneblowani, i dołączyli do poprzedniej zmiany, której również usunięto już kneble. Mogli sobie teraz wrzeszczeć do sądnego dnia, gdyż najbliższe zamieszkałe budynki znajdowały się w odległości dobrej mili. To czasowe uniemożliwienie wydawania głosu pierwszej szóstki wartowników miało na celu jedynie zapobieżenie ostrzeżeniu zmienników.

Palermo miał teraz osiem godzin, zanim ktokolwiek w ogóle mógłby odkryć jego działalność. Jednego z ludzi, Watkinsa, posłał po ukryty niedaleko minibus, którym tu przyjechali. Wszyscy, oprócz Watkinsa, przebrali się w kombinezony robocze, co spowodowało godną uwagi zmianę w ich wyglądzie i zachowaniu. Watkins sprawdził garaże arsenału, wybrał zaskakująco nie rzucającą się w oczy dwutonową ciężarówkę, rozbił stacyjkę – kluczyków oczywiście w niej nie było – i podjechał do już otwartych głównych drzwi magazynu. Palermo przyprowadził ze sobą jegomościa nazwiskiem Jacobson, który pomiędzy notorycznymi pobytami w różnorodnych zakładach penitencjarnych, rozwinął w zadziwiającym stopniu umiejętność otwierania różnego rodzaju zamków i zabezpieczeń. Na szczęście jego usługi stały się zbędne, bowiem, co dziwne, nie zadano sobie trudu, by ukryć pęk kluczy, wiszący na gwoździu w głównym biurze. W czasie krótszym niż pół godziny ukończyli ładowanie ciężarówki dość dziwną mieszanką broni – zaczynając od bazook, a na pistoletach maszynowych kończąc – z uwzględnieniem ilości amunicji, wystarczającej na ostre strzelanie batalionu piechoty oraz podobnej ilości materiałów wybuchowych. Zamknęli drzwi do magazynu i bramę do arsenału, zabrali klucze – gdy przybędzie następna zmiana, straci trochę czasu na wejście i znacznie więcej na stwierdzenie, co zginęło. Zadowoleni z dobrze wykonanej pracy, odjechali bez pośpiechu.

Watkins odprowadził minibus z ładunkiem odzieży do miejsca, skąd wyruszyli, po czym wrócił i usiadł za kierownicą ciężarówki. Pozostała dziewiątka siedziała lub leżała w niewygodnych pozach pomiędzy ładunkiem. Mieli szczęście, że do prywatnego, odosobnionego i pustego lotniska lorda Wortha było zaledwie dwadzieścia minut jazdy. Lotnisko

było puste oprócz, rzecz jasna, dwóch helikopterów, ich pilotów i nawigatorów. Ciężarówka bez świateł przejechała bramę i zaparkowała przy burcie jednej z maszyn. Przenośne światła załadunkowe dawały jedynie słabą poświatę. Zupełnie wystarczały jednak człowiekowi oddalonemu o osiemdziesiąt metrów i wyposażonemu w nocne szkła. A Roomer, wyciągnięty na brzuchu wśród porastającej okolicę trawy, z lornetką przy oczach, znajdował się właśnie w mniej więcej takiej odległości. Nikt nie starał się nawet o maskowanie ładunku, który po dwudziestu minutach był już wewnątrz helikoptera, umieszczony tam pod czujnym okiem pilota, który nie darzył zbytnim szacunkiem ograniczeń wagowych maszyny. Palermo i jego ludzie, z wyjątkiem Watkin-sa, wsiedli zaraz do drugiego helikoptera, czekając na obiecane uzupełnienie, a pilot zwyczajowo podał plan lotu najbliższej kontroli ruchu, zgodnie z prawdą wymieniając „Seawitch” jako punkt docelowy. Inne postępowanie byłoby od początku do końca głupotą – system kontroli radarowej wzdłuż Zatoki Meksykańskiej jest jednym z najefektywniejszych na świecie, zaś jakiegokolwiek zmiany oficjalnie podanego celu lotu oznaczałyby w nader krótkim czasie towarzystwo dwóch wysoce podejrzanych pilotów myśliwców odrzutowych, lecących opodal i zadających masę bardzo nieprzyjemnych pytań.

Watkins tymczasem podjechał do garażu, wyłączył zapłon, zamknął drzwi i odjechał minibusem. Jeszcze przed świtem rzeczy kolegów znalazły się w ich apartamentach, zaś ukradziony minibus na swoim parkingu.

Roomer zaczynał się już nudzić i czuł łokcie, na których się opierał. Od odjazdu minibusu, więc blisko od pół godziny, leżał bez ruchu wśród traw, prawie nie odrywając od oczu lornetki. Kanapki, podobnie jak kawa, należały już do przeszłości, a w dodatku bardzo chciało mu się palić. Zdecydował jednak, że nie byłoby to zbyt mądre. Oba helikoptery najwyraźniej na coś czekały, a mógł to być jedynie przyjazd lorda Wortha.

Usłyszał hałas silnika i zobaczył następny pojazd, mijający bramę bez świateł. Następny minibus. Ktokolwiek nim jechał, na pewno nie był tym, na kogo czekali – lord Worth zazwyczaj nie używał takiego środka lokomocji. Pojazd zatrzymał się tuż przy helikopterach, wypuszczając pasażerów, którzy podążyli ku maszynie zajętej przez Palermo i jego ludzi. Roomer naliczył ich dwunastu. Ostatni właśnie zniknął we wnętrzu helikoptera, gdy zbliżył się jeszcze jeden pojazd. Samochód miał

jedynie światła postojowe, ale i tak bez trudu można go było rozpoznać: rolls-royce i to z pewnością lorda Wortha. Jakby dla poparcia jego spostrzegawczości usłyszał cichy chrzęst opon na trawie. Odwrócił się – z tyłu, obok jego wozu zatrzymał się samochód z wygaszonymi światłami i silnikiem.

–Tutaj! – zawołał cicho.

Mitchell bez słowa dołączył do niego i obaj patrzyli, jak biała postać lorda opuszcza rolls-royce'a i wsiada do helikoptera.

–Przypuszczam, że to ostatnia część całonocnego ładunku – cicho mruknął Roomer.

–A tym ładunkiem jest...?

–Dwudziestu jeden innych pasażerów. Nie jestem pewien, ale to nie są uczeni, kochający prawo obywatele. Mówią, że każdy multimilioner ma prywatną armię. Sądzę, że widziałem jeden z plutonów lorda Wortha.

–Druga maszyna nie jest używana?

–Jak cholera... To gwiazda dzisiejszej nocy, aż po dach wyładowana bronią.

–Samo w sobie to nie przestępstwo, może to być część prywatnej kolekcji lorda, ma jedną z największych w tym kraju...

–Obywatele tego kraju nie dostają pozwoleń na posiadanie bazook, kaemów i przemysłowych ilości materiałów wybuchowych w swoich kolekcjach.

–Myślisz, że je pożyczył?

–Tak, bez zapłaty czy zastawu...

–Najbliższy arsenał rządowy?

–Tak właśnie sądzę.

–Ciągłe czekają, może do podanego czasu odlotu. W każdym razie to jeszcze może potrwać. Chodźmy do wozu i dajmy znać stróżom prawa.

–Najbliższa jednostka jest siedem mil stąd.

–Prawda.

Wstali, ale zdążyli zrobić tylko dwa kroki, gdy prawie równocześnie silniki obu helikopterów zaskoczyły ze swym zwykłym, ogłuszającym rykiem. Wnet obie maszyny były w powietrzu.

–Cóż, to był niezły pomysł – zauważył Mitchell.

–To właściwe określenie. Spójrz tylko na nich – uczciwi obywatele, lecący ze wszystkimi przewidzianymi światłami pozycyjnymi.

–To na wypadek, gdyby ich ktoś zobaczył. Możemy zawiadomić po prostu najbliższe lotnisko i zmuszą ich do wylądowania.

–Na jakiej podstawie?

–Kradzież własności rządowej.

–Brak dowodów. To tylko nasze słowa, a na pokładzie znajdują lorda Wortha i jak sądzisz, kto uwierzy parze wyrzuconych gliniarzy, a nie jemu?

–Nikt. To dość przygnębiające...

–Czuję się cholernie bezradny. Dobra, teraz zbierajmy się i poszukajmy dowodów. Gdzie jest najbliższy arsenał?

–Mniej więcej o milę od jednostki... Wiem gdzie.

–Dlaczego nie trzymają swoich przeklętych zapasów w jednostkach?

–Dlatego że amunicja niekiedy wybucha. Jak byś się czuł siedząc w zatłoczonym baraku, gdy skład amunicji wylatuje przez sąsiednie drzwi?

Roomer wyprostował się i spokojnie schował spory zestaw kluczy, za posiadanie którego każdy złośliwy policjant mógłby go zamknąć. Manipulował nimi przed chwilą w dziurce od klucza głównej bramy arsenału.

–Myślałem, że otworzę tym każdy zamek. Mogę ci podsunąć pomysł, co do aktualnego położenia kluczy od tych drzwi.

–Spadają z helikoptera do zatoki?

–Właśnie. Drzwi załadunkowe mają taki sam zamek... Poza nimi nic prócz zakratowanych okien. Miałem, nie masz przypadkiem piłki do metalu?

–Wezmę następnym razem – latarka Mitchella oświetliła okno, ale jedyne, co dostrzegł, to swoje własne odbicie. Złapał pistolet za lufę i kolbą uderzył parokrotnie w szybę – bez jakiegokolwiek zauważalnego efektu. Nie było to zaskakujące, biorąc pod uwagę fakt, że okno znajdowało się kilkadziesiąt centymetrów za kratami, a siła ciosów była znikoma.

–Co ty chcesz zrobić? – zainteresował się Roomer.

–Wybić szybę – Mitchell był cierpliwy.

–Wybicie szyby nie pomoże ci dostać się do środka.

–Pomoże mi lepiej widzieć, a być może i słyszeć. Zastanawiam się, czy szyba jest normalna, czy pancerna...

–Skąd mam wiedzieć?

–Pozostaje się przekonać. Jeżeli jest pancerna, to kula zrykoszetuje. Na dół!

Obaj przykucnęli i Mitchell wypalił. Kula nie zrykoszetowała. Przeszła przez szybę, zostawiając nieregularną dziurę z rozchodzącymi się promieniście pęknięciami. Mitchell zabrał się do powiększania jej kolbą, lecz widząc Roomera, zbliżającego się z łyżką do opon, zaprzestał daremnej pracy. Parę potężnych ciosów i dziura miała przeszło trzydzieści centymetrów średnicy. Mitchell oświetlił wnętrze latarką – biuro z rzędami skrzynek katalogowych wzdłuż ścian i otwarte drzwi w tylnej ścianie. Przysunął ucho jak mógł najbliżej do otworu i prawie natychmiast usłyszał oddalony, nie dający się z niczym pomylić odgłos metalu uderzającego o metal i krzyki zachrypniętych głosów. Cofnął głowę, pozwalając posłuchać Roomerowi.

–Tam jest sporo sfrustrowanych ludzi – mruknął Roomer cofając się.

Jakąś milę od bramy zatrzymali się przy budce telefonicznej i Mitchell zadzwonił do jednostki informując, że stan obronności ich arsenału wymaga sprawdzenia i że dużą przezornością byłoby zabranie duplikatów kluczy od głównych drzwi. Gdy usłyszał natrętne pytania, kto i skąd dzwoni, przerwał połączenie i wrócił do samochodu Roomera.

–Przypuszczam, że jest już zbyt późno, aby dzwonić do lotnictwa?

–Za późno. Są już poza wodami terytorialnymi, a jak na razie nie mamy jeszcze wojny – westchnął Roomer. – Dlaczego, do diabła, nie zabrałem ze sobą kamery na podczerwień?

Zadanie Conde w Missisipi – włamanie do arsenału marynarki – okazało się zadziwiająco łatwe. Miał on ze sobą sześciu ludzi i szesnastu czekających na pokładzie studwudziestostopowego kutra „Roamer”, przycumowanego o trzydzieści stóp od arsenału. Tych sześciu wystarczyło mu aż nadto do unieszkodliwienia trzech uzbrojonych wartowników, którzy nocą patrolowali teren doków.

Sam arsenał pilnowany był przez dwóch emerytowanych podoficerów marynarki, uważających swą posadę za połączenie marzenia ze szczytem nonsensu – kto o zdrowych zmysłach chciałby kraść bomby głębinowe i armaty pokładowe? Niezmiennym ich zwyczajem było przygotowanie się do snu natychmiast po przybyciu. Toteż gdy Conde i jego ludzie weszli przez nie zamknięte drzwi, zastali obu smacznie śpiących.

Użyli dwu krytych ciężarówek, aby przewieźć na nabrzeże bomby lekkie i głębinowe, uniwersalne działa z odpowiednim zapasem amunicji, po czym skorzystali z licznych tu dźwigów, aby opuścić owe

precjoza na pokład kutra. Formalności celne rzeczywiście były tylko formalnościami. Celnicy widzieli wpływającego i wypływającego „Ro-amera” już tyle razy, że dawno stracili rachubę; a w dodatku nikt nie zamierzał kontrolować oceanicznej własności jednego z najbogatszych ludzi świata. „Roamer” był seismologicznym okrętem badawczym lorda Wortha.

W bazie na wybrzeżu Ameryki Południowej niewielki, konwencjonalny okręt podwodny oddał cumy i cicho ruszył w stronę otwartego morza. Załoga została poinformowana, że jest na rejsie treningowym w celu sprawdzenia czujności morskiej swojej własnej floty. Nikt na pokładzie nie wierzył w ani jedno słowo tej informacji.

Tymczasem Cronkite spędzał czas równie pracowicie. W przeciwieństwie do innych nie musiał się nigdzie włamywać, aby zdobyć materiały wybuchowe. Wystarczyło, że użył jednego ze swych kluczy. Jako czołowy specjalista na świecie od wybuchających i płonących szybów miał dostęp do dowolnej ilości i pełnego asortymentu tego towaru. Wybrał, co uważał za potrzebne, i zawiózł cały ładunek z Huston, gdzie mieszkał, do Galveston. Poza faktem, że Huston jest centrum naftowym Południa, w interesie Cronkite'a najważniejsza była mała odległość od lotniska, z którego startowały samoloty na trasach międzynarodowych.

Gdy ciężarówka z materiałami wybuchowymi była już w drodze do Gahreston, zbliżył się następny okręt seismologiczny, będący przerobionym kutrem straży przybrzeżnej. Cronkite załatwił go, nie tłumacząc powodów, przez biuro Duranta, reprezentującego towarzystwa z okolic Gahreston na spotkaniu nad Lakę Tahoe.

Kuter o nazwie „Tiburon” mógł łatwo zabrać cały ładunek, ale chodziło również o tankowiec „Crusader”, rozładowywany w Galveston. Tankowiec ten był jednym z trzech, pływających pomiędzy „Seawitch” a portami Południa. „Tiburon” i Cronkite przybyli nieco po północy prawie równocześnie. Mulhooney, kapitan „Tiburona”, zakotwiczył go najbliżej tankowca, jak to było możliwe bez wzbudzania podejrzeń. Mulhooney nie był stałym kapitanem „Tiburona”. Właściwy kapitan został tak zafascynowany widokiem dwóch tysięcy dolarów w gotówce, że rzuciło mu się to na zdrowie, które wymagało natychmiastowej kilkudniowej kuracji, a Cronkite poleciał na jego miejsce swego przyjaciela – właśnie Mulhooneya. Gdy wszyscy byli już na miejscu, Cronkite pogawędził najpierw z inspektorem, który miał nocną służbę i bez zmrużenia oka obserwował załadunek na kuter czegoś, co, bez dwóch

zdań, było dużą ilością materiałów wybuchowych. Obaj znali się od lat i poza stwierdzeniem, że znów ktoś w Zatoce bawił się zapalnikami, urzędnik nie miał więcej uwag. Odpowiadając zaś na niewinne pytania Cronkite'a, powiedział mu, że „Crusader” zakończy wyładunek i odpłynie mniej więcej za godzinę.

Cronkite wszedł na pokład „Tiburona”, przywitał się z kapitanem Mulhooneyem i ruszył prosto do mesy załogi. Pomiędzy zgromadzonymi tutaj było trzech płetwonurków w kombinezonach. Wydał im krótkie instrukcje i cała trójka wyszła na pokład, gdzie pod osłoną nadbudówek założyli akwalungi i po sznurowej drabince zeszli do wody. Z pokładu opuszczono im ze sześć min magnetycznych z radiowymi zapalnikami, tak skonstruowanymi, by miały ujemną wyporność, co ułatwiało holowanie ich pod wodą.

W poprzedzających świt ciemnościach cienie rzucane przez kadłuby statków, oświetlone silnymi światłami nadbrzeżnymi były tak gęste, że mogli spokojnie płynąć po powierzchni. Cronkite był jednak człowiekiem, który niczego nie pozostawia żadnemu przypadkowi – zespół zanurzył się i miny zostały założone wzdłuż sekcji rufowej „Crusade-ra”, w dziewięciometrowych odległościach na głębokości jakichś trzech metrów. Pięć minut później płetwonurkowie wrócili na pokład, zaś po następnych pięciu „Tiburon” wyszedł w morze.

Pomimo swej bezpardonowości Cronkite nie stracił całkowicie ludzkich uczuć – co prawda stwierdzenie, że pokora i miłość bliźniego przepelniały go całkowicie, byłoby mijaniem się z prawdą o całe mile, ponieważ był bezkompromisowym realistą, ale realistą bez morderczych instynktów. Jak by nie było, w tej chwili istniały dwie rzeczy, które sprawiłyby mu sporą przyjemność.

Pierwszą z nich było uczucie, że wolałby mieć „Crusadera” już w morzu przed naciśnięciem guzika. Nie chciałby ofiar wśród niewinnej ludności Galveston, jednakże nie mógł ryzykować. Miny limpetowe, jak to udowodnili włoscy płetwonurkowie w Aleksandrii podczas drugiej wojny światowej (ku wielkiemu rozdrażnieniu Royal Navy), były zabójczo skuteczne przeciwko zakotwiczonym okrętom. Co natomiast mogłoby się z nimi stać, gdy okręty wyruszą w morze, było sprawą niemożliwą do przewidzenia, jako że nikt nigdy nie próbował tego robić. Było całkiem prawdopodobne, że ciśnienie wody na kadłub pływającego statku mogło okazać się silniejsze niż zaczepy magnetyczne, wskutek czego statek pozbyłby się swego dodatkowego obciążenia.

Drugą pokusą była chęć lotu pokładowym helikopterem; „Tiburon” miał go po to, żeby zrzucić ładunki wybuchowe na dno morza – co

później rejestrował komputer sejsmologiczny – i obejrzyć to, co będzie się dzieć po wybuchu. Obie te pokusy odrzucił jednak jako wywodzące się z czystego egoizmu.

Osiem mil po wyjściu z portu odkręcił osłonę radiozapalarki i wdusił przycisk. Brak natychmiastowego efektu wzmógł obawy, że wyszli już poza zasięg odbiorników w zapalarkach min.

W samym Galveston nikt nie miał żadnych wątpliwości. Sześć ogłuszających eksplozji złało się w jedną. W ciągu dwudziestu sekund „Crusader” z rufą rozdartą na pół, zanurzał się coraz głębiej, w miarę jak tysiące ton wody wlewało się do wnętrza. Po następnych dwudziestu sekundach odległe echo wybuchu dotarło do uszu Cronkite'a i Mul-hooneya, stojących na mostku automatycznie pilotowanego kutra. Obaj spojrzeli na siebie z satysfakcją, a Mulhooney, z prawdziwie irlandzkim wyczuciem sytuacji, zaprezentował otwartą butelkę szampana i dwa kieliszki. Cronkite, normalnie nie zwracający na alkohole uwagi, wychylił swój ze zrozumiałym zadowoleniem i wyrzucił go do morza. Stało się to w chwili, gdy „Crusader” zapalił się. Zbiorniki tankowca były puste, ale zbiorniki paliwa silnikowego prawie pełne. W normalnych warunkach paliwo diesli nie wybucha, lecz pali się równomiernie i zaskakująco intensywnie. W ciągu kilku sekund gęsty dym i liczne języki ognia osiągnęły bez mała sześćdziesiąt metrów i z każdą chwilą wznosiły się coraz wyżej, dopóki całe miasto nie skryło się w szkarłatnej poświacie. Był to fenomen, jakiego mieszkańcy Galveston nie widzieli nigdy dotąd i jakiego na pewno nigdy nie zobaczą. Ogień znikł prawie równie nagle jak się pojawił, gdy „Crusader” przewrócił się na burtę, a wody portu zalały płomienie wśród obłoków syczącej pary. Kilka plam płonącej ropy pływało po powierzchni wody, ale to było wszystko, co zostało do obejrzenia.

Bez wątplenia, lord Worth będzie potrzebował nowego tankowca, a to stanowiło spory problem. W tym rejonie, w ogóle przepelnionym tankowcami, jakkolwiek supertankowiec mógł być na usługi każdego, kto miał wystarczającą ilość pieniędzy i komu po prostu chciało się wyciągnąć rękę po słuchawkę telefoniczną. Inaczej przedstawiała się sprawa z pięćdziesięciotysięcznikami, ponieważ większe stocznie na całym świecie zaprzestały już ich produkcji. Powracały teraz, co prawda, do ich budowy, ale zanim ukończy się budowę, mija trochę czasu, zaś te, które już zbudowano, były przeznaczone dla konkretnych odbiorców. Powód był prosty: supertankowce na trasie Zatoka Arabska – Europa musiały robić koszmarnie długą pętlę wokół Przylądka Dobrej Nadziei, bowiem ponownie otwarty Kanał Sueski nie mógł ich przyjąć z uwagi na zanurzenie. Przy mniejszych jednostkach ten problem nie istniał. Mówiono, i zapewne było w tym sporo prawdy, że notorycznie pazerni greccy właściciele statków przejęli w całości ten fragment rynku. Zaczęło świtać.

Dokładnie w tym samym momencie na pokładzie „Seawitch” i wokół niej działo się wiele ciekawych rzeczy. Pływający pod banderą Panamy „Torbello” zakończył właśnie opróżnianie pływającego zbiornika. Zza horyzontu wynurzyły się dwa helikoptery. Były to potężne maszyny Siko-rsky'ego, zakupione przez lorda Wortha nie dlatego, że były doskonałe, ale dlatego, że po Wietnamie siły zbrojne były aż nadto chętne do pozbycia się ich. A że zapotrzebowanie cywilne na helikoptery szturmowo-desantowe nie było zbyt duże, toteż niosło to za sobą znaczną obniżkę cen. Z pierwszego wysiadło dwudziestu dwóch ludzi, prowadzonych przez lorda Wortha i Giuseppe Palermo. Pozostali, których aparycja nie wskazywała na zbytnią troskę o wdowy i sieroty, mieli ze sobą genialnie „prawdziwe” dokumenty różnorodnych ekspertów naftowych. Poza wszelkimi wątpliwościami było również i to, że żaden z nich nie odróżniłby benzyny od ropy, nawet gdyby w nią wpadł. Byli to specjaliści od nurkowania, podwodnych wybuchów, materiałów wybuchowych i precyzyjnej obsługi sporego asortymentu nieprzyjemnych urządzeń strzelających.

Ledwie pierwsza uniosła się w powietrze, wylądowała druga maszyna. Poza pilotem i nawigatorem nikogo nie było na jej pokładzie. To, co przenosiła, było wysoce zaczepną kombinacją zawartości florydzkiego arsenału, którego strata nie została jeszcze odnotowana w gazetach.

Załoga platformy przyglądała się temu wszystkiemu z dziwnie obojętnym zaciekawieniem. Byli to ludzie, dla których nieznanie było normalne – po prostu zwykła część zwykłego dnia. Załogi platform wiertniczych to osobna rasa, a ludzie lorda Wortha tworzyli swoiste środowisko w tej rasie.

Lord Worth zebrał wszystkich i poinformował o zagrożeniu oraz o posunięciach obronnych, które przedsięwziął. Spotkał się z aprobatą załogi, troszczącej się o własne skóry tak samo, jak reszta ludzkości. Zakończył stwierdzeniem, iż wie, że nie ma potrzeby zaprzysięgać ich co do dotrzymania tajemnicy. W tej kwestii szlachetny lord miał całkowitą rację. Cała załoga była doświadczona oraz przyzwyczajona do twardego życia, a ponadto każdy z nich wszedł kiedyś w taką czy inną kolizję z prawem. Byli wśród nich eks-skazańcy, uciekinierzy z więzień, byli i tacy, z którymi wymiar sprawiedliwości chciałby niewątpliwie

porozmawiać, najchętniej szczerze i wyczerpująco. Byli też wypuszczeni na słowo honoru, którzy to słowo złamali. Dla takich ludzi nie było bezpieczniejszego miejsca niż „Seawitch” i prywatny motel lorda, w którym spędzali czas wolny. Żaden zdrowy na umyśle policjant nie zamierzał kwestionować szandarowej przyzwoitości jednego z najbogatszych magnatów naftowych świata, co automatycznie rozciągało się i na tych, którzy u niego pracowali. Inaczej mówiąc, lord Worth za pośrednictwem Komendanta Larsena dobierał sobie ludzi nadzwyczaj uważnie.

Kwatery dla nowo przybyłych oraz magazyn dla broni nie stanowiły większego problemu. Podobnie jak wszystkie większe jednostki pływające, „Seawitch” miała dwa odrębne bloki mieszkalne wraz z mesami – jedną dla Europejczyków, drugą dla mieszkańców Orientu. W tej chwili na pokładzie nie było ani jednego wyznawcy Proroka.

Lord Worth, Palermo i Larsen przeprowadzili naradę wojenną w luksusowym apartamencie, jaki lord posiadał do prywatnego użytku. Osiągnęli godną uwagi zgodność poglądów. Jednomyślni byli przede wszystkim co do tego, że skierowana przeciwko nim kampania Cronkite'a będzie nacechowana całkowitym brakiem subtelności – czysta przemoc była jedyną rzeczą, jaka mu pozostała. Kiedy ropa będzie wyladowana po transporcie, nie będzie już mógł na to nic poradzić. Nie spróbuje także zaatakować bądź zatopić pełnego tankowca, podobnie wygląda sprawa z pływającym zbiornikiem. Każda z użytych metod mogłaby spowodować potężny wyciek ropy, porównujemy do tego, jaki miał miejsce przy katastrofie „Torrey Canyon” u południowych wybrzeży Anglii kilka lat temu. Wrzask, jaki coś takiego wywołałoby na świecie, z pewnością odkryłby co nieco prawdy, a jeśli Cronkite znalazłby się w poważnych tarapatach, to w krótkim czasie to samo czekałoby większe towarzystwa naftowe, co z pewnością by się im nie spodobało. Tego, że byłoby potężne śledztwo, nikt nawet nie próbował kwestionować – ekologia i zatrucie środowiska naturalnego były nadal w centrum uwagi światowej opinii publicznej.

Cronkite mógł zaatakować rurociąg łączący platformę i pływający zbiornik, ale zebrani zgodzili się, że można temu zapobiec. Po przybyciu Conde'a i „Roamera”, a właściwie po rozładowaniu statku, można było podjąć nim całodobowe patrolowanie rurociągu. „Seawitch” była dobrze wyposażona w urządzenia wykrywające, nie licząc zabezpieczeń mierzących stopień naprężenia kabli kotwicznych. Radar pracował bez przerwy na szczycie wieży wiertniczej, a sonary były przymocowane do każdego z trzech wsporników sześć metrów pod powierzchnią

wody. Pierwszy był w stanie zaopiekować się przybyszami z powietrza i z morza przy współpracy z artylerią, która za kilka już godzin miała zostać zainstalowana na pokładzie, a w wypadku wysoce nieprawdopodobnego ataku podwodnego istniał inny atut – bomby głębinowe tak z platformy, jak i z pokładu „Roamera”. Lord Worth był oczywiście zupełnie nieświadomy faktu, że w tym czasie jeszcze inna jednostka szła całą naprzód na spotkanie „Tiburona”. Był to standardowy i dobrze wyekwipowany pojazd wodny, poruszany wodą, wciągana przez otwór na dziobie i wypychana pod wielkim ciśnieniem przez otwór na rufie. Nie posiadał śruby, a skonstruowano go głównie do prac na terenie moczarów, gdzie jednostki napędzane śrubą były nieustannie narażone na oplatanie jej przez różne pływające śmieci. Jediną różnicą pomiędzy tą konkretną jednostką o nazwie „Starlight” a pozostałymi tej klasy był fakt, że posiadała ona na pokładzie potężną baterię akumulatorów i mogła być napędzana silnikiem elektrycznym. Sonar wykrywał i lokalizował silniki okrętowe i drgania śrub – wobec „Starlighta” był całkowicie bezradny.

Sam atak na „Seawitch” został dokładnie rozważony, ale z uwagi na jej podział na przedziały wodoszczelne oraz potężną wyporność dodatnią nic mniejszego od bomby atomowej nie było w stanie zniszczyć obiektu wielkości boiska piłkarskiego. Z całą pewnością nie mogła tego dokonać broń konwencjonalna. Oczywistym celem była wieża wiertnicza, choć nikt z zebranych nie mógł wymyślić sposobu niezauważalnego zbliżenia się do niej. Lord Worth był jednak pewny swego: kiedy atak nastąpi, będzie na pewno wymierzony w platformę. Najbliższe pół godziny miało dwukrotnie dowieść, jak dalece się mylił.

Pierwszy zwiastun katastrofy pojawił się podczas obserwowania, jak załadowany do pełna „Torbello” znika za pomocnym horyzontem. „Cru-sader” powinien pojawić się po południu. Larsen z twarzą zakrzepłą w furii wręczył w milczeniu lordowi depezę radiową. To, co lord Worth powiedział w ciągu kilkunastu sekund po jej przeczytaniu, przyniosłoby fortunę dziennikowi, który opublikowałby ten tekst, a samego lorda pozbawiło raz na zawsze fotela w Izbie Lordów. Wiadomość donosiła w urzędowym tonie o widowiskowym końcu „Crusadera” w Galveston.

Obaj mężczyźni pognali do kabiny radiowej, gdzie Larsen od razu skontaktował się z „Jupiterem”, ich trzecim tankowcem, rozładowywanym obecnie w obskurnym porcie Luizjany, i przekazał jego kapitanowi wieść o nieszczęśliwym końcu „Crusadera” oraz ostrzegł o konieczności stałej obserwacji i wzmożeniu uwagi aż do wypłynięcia z portu.

Lord Worth osobiście rozmawiał z szefem policji w Galveston, domagając się wszystkich wiadomych szczegółów zatonięcia „Crusadera”.

Po ich otrzymaniu nie stał się nawet odrobinę szczęśliwszy, a w przebiegu geniuszu zapytał, czy nie było przypadkiem niedawno w porcie człowieka o nazwisku Cronkite bądź statku do niego należącego. Powiedziano mu, by chwilę poczekał – sprawdzą u celników. Dwie minuty później poinformowano z radością, że niejaki John Cronkite odплыnął na pokładzie statku „Tiburon”, który był zakotwiczony tuż za „Crusa-derem”. Tego, czy Cronkite był jego właścicielem, czy nie, władze nie zdążyły jeszcze sprawdzić. Sam „Tiburon” odплыnął jakieś pół godziny przed wybuchem tankowca.

Lord Worth zupełnie bez opamiętania zażądał zawrócenia „Tiburo-na” i aresztowania Cronkite'a. Otrzeźwiał, gdy szef policji przypomniał mu, że prawo międzynarodowe zabrania takiego postępowania na wodach eksterytorialnych poza okresem wojny, zaś co do samego Cronkite'a nie istnieje nawet cień dowodu, łączący go z zatonięciem „Crusa-dera”. Poproszony o odszukanie właściciela „Tiburona” obiecał pomoc, ostrzegając jednakże, że zajmie mu to trochę czasu – istnieje sporo rejestrów w tym kraju, a trzeba będzie sprawdzić wszystkie.

W tym czasie kubański okręt podwodny płynął pełną szybkością na powierzchni i był na wysokości Key West kierując się ku „Seawitch”. Prawie równocześnie sowiecka fregata rakietowa oddała cumy w Hawanie i udała się w tym samym kierunku. Krótco potem z portu w Wenezueli wypłynął niszczyciel. „Roamer” pod dowództwem Conde'a był już w połowie drogi do „Seawitch”. „Starlight” pod komendą Eastona oddalał się właśnie od „Tiburona”, który bezwładnie kołysał się na fali. Załoga zdążyła już zamalować nazwę i port macierzysty, wypisując przy pomocy szablonów nową nazwę: „Georgia”. Cronkite nie życzył sobie, by jakikolwiek napotkany statek mógł coś powiedzieć o losach zaginionego w nie wyjaśnionych okolicznościach „Tiburona”. Z pokładu rufowego dobiegł odgłos silnika helikoptera, mającego wystartować do lotu w kierunku południowo-wscho-drtim, by zlokalizować „Torbello” i podać jego pozycję. W ciągu kilku minut kuter był znów w drodze, kierując się w tę stronę, co i helikopter.

Teraz nie pozostało nic innego, jak tylko czekać na wiadomości.

Rozdział czwarty Lord Worth, w towarzystwie Larsena i Palermo, rozkoszował się poranną herbatą w swoim salonie, gdy, po uprzednim zapukaniu, do pokoju wszedł radiotelegrafista z kartką w dłoni.

–Do pana, sir – oznajmił, wręczając mu ją. – Ale to jakiś szyfr. Czy ma pan książkę szyfrów, sir?

–Nie ma potrzeby – lord Worth uśmiechnął się z zadowoleniem po raz pierwszy od

kilku godzin. – Sam wymyśliłem ten szyfr, a moja książka kodów jest tu – dodał pukając się w czoło.

Radiooperator wyszedł, zaś pozostała dwójka patrzyła z zaciekawieniem, jak lord zabiera się do odszyfrowywania wiadomości. Zaciekawienie zmieniło się w zaskoczenie, gdy uśmiech zniknął z jego twarzy, to zaś przeobraziło się w zaniepokojenie w chwili, gdy na policzkach czytającego pojawiły się purpurowe plamy wielkości je-dnopensówek. Lord Worth odłożył depeszę, po czym powtórzył swoje wczorajsze wystąpienie, choć tym razem dało się po prostu wyczuć, że jest głębiej zaangażowany uczuciowo w to, co mówi. Przerwał swój wywód nie z powodu braku nowych przekleństw, lecz z uwagi na brak tchu.

Larsen był zdecydowanie bardziej rozumny, niż wynosiła średnia społeczna, nie zadał więc głupiego pytania w stylu „Co się stało?”, lecz spytał spokojnie:

–Może powiedziałby pan i nam, sir?

Lord Worth uspokoił się niemalym wysiłkiem woli.

–Wygląda na to, że Cro... – przerwał, klnąc w duchu; jedną z jego żelaznych zasad była ta, że prawa ręka nie może wiedzieć, co robi lewa. – Zostałem poinformowany, i to nader przewidująco, jak teraz widać, że mogą przeciw nam wystąpić pewne kraje. Jeden z nich najwyraźniej wystąpił... Wenezuelski okręt podwodny płynie w naszą stronę.

–Nie odważą się! – Palermo był wstrząśnięty.

4 – Wiedźma Monika

–Gdy ma się do czynienia z ludźmi opętanymi żądzą władzy i zysków, nie należy zakładać takich rzeczy – najwyraźniej Jego Lordowska Mość nigdy nie skojarzył, że ten opis doskonale określa i jego osobę.

–Nie podoba mi się to – Larsen był zupełnie spokojny.

–Sądzę, że dobrze będzie porozmawiać z Waszyngtonem – lord Worth wrócił już do psychicznej równowagi.

Telefon zadzwonił, zanim zdążył go dotknąć. Podniósł słuchawkę, przełączając jednocześnie rozmowę na głośnik.

–Worth.

–Wie pan, kim jestem? – głos był bezosobowy i odległy, dobrze jednak znany lordowi. To był Corral.

–Tak.

–Sprawdziłem mój kontakt, sir. Obawiam się, że nasze przypuszczenia były aż nazbyt słuszne. Fregata rakietowa przed chwilą wypłynęła.

–Dziękuję. Gzy były wiadomości o powietrzu?

–Nie słyszałem, sir, ale nie muszę panu mówić, że ta możliwość nie jest wykluczona.

–Proszę dać mi znać, jeśli będzie więcej dobrych nowin.

–Oczywiście. Do zobaczenia, sir.

Lord Worth odłożył słuchawkę, po czym podniósł ją ponownie, wciskając jeden z guzików na stojącej przed nim konsoli łączności.

–Chambers? – był to szef pilotów.

–Sir?

–Maszyna gotowa?

–Kiedy tylko pan zechce, sir.

–Odlatujemy za chwilę. Proszę być na pokładzie.

–Nie będzie telefonu? – domyślnie spytał Larsen.

–Są rzeczy, które można załatwić tylko osobiście, a nie da się z nimi nic zrobić przez telefon.

–Czy ma pan jakieś polecenia na czas swojej nieobecności, sir?

–Na pokładzie „Roamera” przyplyną uniwersalne działa. Zainstalujcie je na pokładzie platformy.

–Na północy, wschodzie i południu, ale nie na zachodzie?

–Nie zamierzamy chyba dziurawić własnego zbiornika? Bomby głębinowe ułożyć w połowie odległości pomiędzy wspornikami...

–Czy podwodne eksplozje nie uszkodzą wsporników?

–Nie sądzę. I tak zresztą nie ma teraz możliwości sprawdzenia tego. Proszę utrzymywać kontakt z „Torbello” i „Jupiterem” co pół godziny; stała czujność obsługi radaru i sonaru. Do diabła, ja chyba nie muszę

panu mówić, co trzeba zrobić, Komendancie – pisał coś na kartce i podał mu ją. – Proszę zadzwonić pod ten numer i powiedzieć im, że będę za jakieś pięć godzin.

–Departament Stanu?

–Tak. Proszę im powiedzieć, żeby był na miejscu co najmniej jeden podsekretarz stanu. Potem proszę złapać Dawsona i przekazać mu, że będę zaraz i żeby przygotował maszynę do lotu na Waszyngton.

–Wygląda na to, że ma pan rację... – mruknął Larsen. – Wizyta w departamencie jest wysoce wskazana. Niewiele możemy poradzić sami przeciwko kierowanym rakietom.

–Również tak sędzę. Uważajcie na gospodarstwo. Będę wieczorem. Jeśli coś wyniknie, to wicie, gdzie mnie łapać...

Lord Worth miał przed sobą cztery podróże – z platformy na lotnisko helikopterem, stamtąd prywatnym boeingiem do Waszyngtonu, po czym, w odwrotnej kolejności to samo. Podczas każdej z nich miało stać się coś niemiłego, dokładniej – niemiłego dla lorda. Na szczęście dla siebie nie był obdarzony tradycyjnym szkockim szóstym zmysłem, czyli możliwością przewidywania przyszłości.

Pierwsza z tych nieprzyjemności miała miejsce w chwili, gdy dolatywał do brzegu. Spora półciężarówka podjechała do głównego wejścia posiadłości lorda Wortha, wioząc pięciu potężnie zbudowanych mężczyzn, których trudno będzie później zidentyfikować, gdyż wszyscy mieli na twarzach wełniane maski. Jeden z nich trzymał coś, co wyglądało jak spory zwój lin, a drugi rolkę plastra. Wszyscy, bez wyjątku, mieli broń.

Mac Pherson, starszy ogrodnik, odbywał właśnie swój obchód, sprawdzając, jakie szkody w jego florze wyrządziła ostatniej nocy okoliczna fauna, gdy nieoczekiwani goście wysiedli z wozu. Pomijając fakt, że szok sparaliżował mu struny głosowe, i tak nie miał żadnych szans – w mniej niż minutę został związany i zaklejono mu usta plastrem, po czym bezceremonialnie wrzucono go w krzaki.

Przywódcą napastników, nazwiskiem Durand, zadzwonił do drzwi wejściowych. Durand miał wielką słabość do banków, która trzykrotnie już zaprowadziła go na ławę oskarżonych i wyrobiła mu swoistą reputację potwierdzaną przez fakt, że był bliskim i długoletnim współpracownikiem Cronkite'a. Po pół minucie ciszy zadzwonił ponownie. Drzwi

otworzyły się, ukazując zawiniętego w szlafrok Jenkinsa z potarganymi włosami i zaspanymi oczami, gdyż pora była nader wczesna, jak na odwiedzinach. Jego oczy przestały mrugać i otworzyły się szeroko na widok pistoletu w dłoni Duranda, który dotknął znacząco cylindra, przykręconego do lufy. Jako zagorzały telewidz Jenkins rozpoznał tłumik, gdy tylko to ujrzał.

–Wiesz, co to jest?

Zupełnie już rozbudzony służący przytaknął bez słowa.

–Nie chcemy skrzywdzić nikogo z domowników. Na pewno nic się nikomu nie stanie, jeśli zrobisz co każemy. Dotyczy to przede wszystkim mówienia prawdy... Zrozumiałeś?

Ponowne skiniecie głową.

–De osób służby jest w domu?

–Cóż, jestem ja... – a głosie Jenkinsa wyraźnie coś drżało.

–Ciebie widzimy – Durand był cierpliwy.

–Dwóch lokajów, szofer, radiooperator, sekretarz, kucharz i dwie pokojówki... Jest jeszcze sprzątaczką, ale ona przychodzi o ósmej...

–Zaklejcie go! – polecił przywódca i usta Jenkinsa zniknęły pod pasmem przylepca.
–Przepraszam, ale ludzie bywają czasem zupełnie nieodpowiedzialni... Zaprowadź nas do sypialni służby.

Jenkins zaprowadził. Dziesięć minut później cała służba była już dokładnie związana i zakneblowana.

–Teraz zaprowadź nas do obu młodych dam.

Jenkins wskazał drogę. Durand wybrał trzech ludzi i polecił im cicho:

–Teraz on was zaprowadzi do drugiej dziewczyny. Sprawdźcie to, co spakuje, szczególnie torebkę.

Durand, a w ślad za nim pozostali, weszli do sypialni, po uprzednim ukryciu broni, by nie wywołać zbytniego alarmu. To, że łóżko było zajęte, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, choć wszystko co ze śpiącej było widoczne to burza czarnych, rozsypanych na poduszce włosów.

–Wydaje mi się, że powinna pani wstać – odezwał się grzecznie Durand.

Nie słynął z uprzejmości, ale nie miał ochoty na przypadek krzykliwej hysterii. Nic takiego rzeczywiście nie nastąpiło. Marina odwróciła się na łóżku i spojrzała na niego sennie. Nie trwało to długo – jej oczy rozwarły się szeroko, po czym wróciły do normy. Sięgnęła po szlafrok, ułożyła go starannie na łóżku w pozycji strategicznej, po czym usiadła, owijając się nim.

–Kim jesteście? Czego chcecie? – jej głos nie był dokładnie tak spokojny, jakby tego chciała, lecz nie dało się w nim uchwycić trwogi.

–Patrzcie państwo! – mruknął z uznaniem Durand. – Pomyślałby kto, że jest od kołyski przyzwyczajona do porannych porwań!

–To jest porwanie?

–Obawiam się, że tak... – zapytany rzeczywiście wyglądał tak, jakby było mu naprawdę przykro.

–Dokąd mnie zabieracie?

–Na wakacje. Mała wyspa skąpana w słońcu – uśmiechnął się Durand. – Ale kostium kąpielowy nie będzie pani potrzebny. A teraz proszę wstać i ubrać się.

–A jeśli odmówię?

–Pomożemy pani.

–Nie będę się ubierać, jeśli będziecie się na mnie gapić!

–Mój przyjaciel poczeka na korytarzu – zgodził się Durand. – Ja wejdę do łazienki i uchylę drzwi... Nie chcę pani podglądać, ale wolę mieć na panią oko. Nigdy nie wiadomo, co komu przyjdzie do głowy... Proszę zawołać, gdy będzie pani już gotowa. I proszę się pospieszyć...

Pospieszyła się – zawołała go mniej więcej już po trzech minutach. Błękitna bluzka, błękitne spodnie, uczesane włosy... Durand skinął aprobująco głową.

–Proszę przygotować rzeczy na parę dni.

Obserwował ją podczas pakowania. Zapięła torbę i wzięła torebkę.

–Jestem gotowa.

Zabrał jej torebkę, otworzył i wysypał zawartość na łóżko. Ze sterty najrozmaitszych gratów wyjął liliputa z rękojeścią z masy perłowej i schował do kieszeni.

–Spakujmy to jeszcze raz, dobrze?

Marina ponownie spakowała torebkę, rumieniąc się ze wściekłości.

Podobna scena miała miejsce w sypialni Melindy.

Dwadzieścia pięć minut minęło od przyjazdu ekipy Duranda do jej odjazdu z

dziewczynami. Nikt nie został zraniony, jeśli nie liczyć uczuć własnych, napastnicy zaś byli na tyle uprzejmi, że przywiązali Jenkinsa do jednego z foteli w holu. Mimo to służący wcale nie czuł do nich wdzięczności.

Jakieś dziesięć minut potem śmigłowiec lorda Wortha wylądował obok jego prywatnego boeinga na lotnisku cywilnym. Nie było żadnych celników ani żadnych formalności. Już parę lat temu milioner powiedział jasno, że nie interesują go takie rzeczy, a gdy on mówił o czymś wyraźnie, to z reguły działa się tak, jak sobie życzył.

W trakcie tej podróży spotkała go druga przykrość i ponownie lord Worth pogrążony był przez długi czas w słodkiej nieświadomości tego faktu. Śmigłowiec „Tiburona” (aktualnie „Georgii”) odnalazł „Torbello”. Pilot zameldował, że widział go dwie minuty temu i podał długość i szerokość geograficzną statku tak dokładnie, jak tylko mógł. Co więcej, podał kurs tankowca, oceniając go na trzysta piętnaście stopni, co było prawie dokładnie kursem kolizyjnym w stosunku do „Georgii”. Obie jednostki dzieliło jeszcze około czterdziestu pięciu mil. Cronkite pogratulował mu i polecił wrócić na pokład.

Na mostku Cronkite i Mulhooney spojrzeli na siebie z zadowoleniem. Pomiędzy planem a wykonaniem zawsze istnieje trudna do przewidzenia różnica, w tym jednak przypadku trudno było ją dostrzec.

–Myślę, że czas ubrać się już w coś bardziej reprezentacyjnego – oznajmił Cronkite Mulhooneyowi. – I nie zapomnij się upudrować.

Kapitan opuścił mostek z uśmiechem, Cronkite zaś podał ostatnie instrukcje sternikowi i poszedł za nim.

Po niecałej godzinie „Torbello” był już wyraźnie widoczny. „Georgia” szła wprost na niego. W odległości jakichś pięciu mil skręciła o trzydzieści stopni w prawo i zbliżyła się do jego burty z lewej strony – nadbudówki na tankowcach umieszczone są przeważnie na rufie, i to lekko przesunięte ku lewej ćwiartce. Cronkite wyszedł na skrzydło pomostu i podniósł tubę.

–Straż Przybrzeżna, proszę się zatrzymać! To jest prośba, a nie rozkaz! Mamy podstawy, by sądzić, że pański statek jest w niebezpieczeństwie. Proszę o pozwolenie wejścia na pokład grupy poszukiwaczy. Dla bezpieczeństwa pańskiego statku i załogi proszę w żadnym wypadku nie przerywać ciszy radiowej!

Kapitan Thompson, uczciwy marynarz bez jakiegokolwiek kryminalnej przeszłości, uniósł własną tubę.

–Co się dzieje? Dlaczego niezbędne jest wejście na pokład?

–To nie tak. Proszę, dla pańskiego dobra! Proszę wierzyć, że dobrowolnie nie zbliżyłbym się do pańskiego statku na odległość mniejszą niż pięć mil! To jest konieczne! Wolałbym wejść na pokład z porucznikiem i porozmawiać. Proszę nie zapominać, co się stało ubiegłej nocy z bliźniaczą jednostką „Crusader” w Galveston!

Kapitan Thompson oczywiście nie zapomniał, ale rzecz jasna był zupełnie nieświadom faktu, że to właśnie Cronkite jest odpowiedzialny za to, co się stało, a najlepszym dowodem, że pamiętał był brzęk telegrafu maszynowego. Pięć minut później „Torbello” zatrzymał się, a „Georgia” podpłynęła bliżej, aż jej śródkręcie zrównało się z nadbudówką tankowca i stało się możliwe przejście z kutra wprost na pokład głęboko zanurzonego tankowca, co Cronkite i Mulhooney niezwłocznie uczynili. Zatrzymali się na chwilę, by przypilnować cumowania obu jednostek, po czym wspięli się szeregiem drabinek i schodków na mostek. Obaj byli dość trudni do rozpoznania... Cronkite miał wspaniałą, czarną brodę, krótko przycięty wąs i czarne okulary, co wraz z doskonale skrojonym mundurem i stosownie dobraną czapką stwarzało wzorowy wręcz wizerunek kapitana Straży Przybrzeżnej. Mulhooney wyglądał dość podobnie. Na mostku był jedynie kapitan Thompson i nieświadomy niczego sternik.

–Dzień dobry! Przepraszam, że przeszkadzam w pracy, ale sądzę, że będzie nam pan wdzięczny za wizytę. Ale najpierw, gdzie jest kabina radiowa?

Kapitan wskazał dłonią tył mostka.

–Chciałbym, aby porucznik sprawdził zachowanie ciszy radiowej. W tej chwili jest to najważniejsze.

Kapitan Thompson ponownie skinął głową, mając niejasne wrażenie, że coś tu nie jest w porządku.

–Dixon, sprawdźcie to! – polecił Cronkite Mulhooneyowi.

Ten wszedł do wskazanego pomieszczenia i zamknął drzwi za sobą. Operator spojrzął na niego znad odbiornika z lekkim zaskoczeniem.

–Przepraszam, że przeszkadzam – głos Mulhooneya zabrzmiał prawie autentycznie, co było znacznym osiągnięciem dla tego człowieka, który nie uznawał czegoś takiego, jak „prawda”. – Jestem z kutra Straży Przybrzeżnej. Kapitan polecił utrzymanie ciszy radiowej?

–Właśnie przed chwilą.

–Czy były jakieś sygnały od chwili opuszczenia „Seawitch”?

–Rutynowy sygnał co pół godziny „Na kursie, w czasie”.

–Potwierdzili? Mam ważne powody, by pytać! – Mulhooney nie był na tyle uprzejmy,

by podać te powody.

–Tylko standardowe „Roger”.

–Jaka jest częstotliwość połączenia?

–Obecna – wskazał nadajnik.

Mulhooney skinął głową i podszedł bliżej, stając za plecami operatora. Zabezpieczając się przed przerwaniem ciszy radiowej, rąbnął go

nad prawym uchem kolbą pistoletu, po czym powrócił na mostek, gdzie znalazł Cronkite'a i kapitana w trakcie ważnej rozmowy.

–To, co pan mówi, to, ujmując rzecz w skrócie, teza że „Torbello” jest pływającą bombą zegarową – stwierdził kapitan po trosze w szoku, po trosze w niedowierzającym oburzeniu. – Że bombą, to pewne, niekoniecznie jedną, parunastoma raczej zamiast jednej. To jest nie tylko prawdopodobne... Nasze informacje, przepraszam, ale nie mogę podać źródła tych wiadomości, są niemal na pewno dokładne.

–Na Boga, człowieku, kto byłby na tyle zwariowany, aby powodować tak potężny wyciek ropy w zatoce?!

–To pana założenie, że mamy do czynienia ze zdrowym na umyśle człowiekiem, nie moje – wtrącił Cronkite. – Kto, jeśli nie szaleniec, mógł wysadzić waszą siostrzaną jednostkę w Galveston?

Kapitan zamilkł, przeżuując ostatnie pytanie ze zmarszczonym czołem.

–Jakkolwiek by było – ciągnął dalej Cronkite – moim zamiarem jest, za pańskim przyzwoleniem, rzecz jasna, przeszukać kwatery załogi maszynowej i wszystkie maszyny statku. Z ludźmi, których mam do dyspozycji, zajmie to nie więcej niż pół godziny.

–Jaka to jest bomba według pana?

–Nie sądzę, aby była zegarowa. Myślę, że detonator lub detonatory są urządzeniami uruchamianymi zdalnie sygnałem radiowym. Nadajnik może być wszędzie – na pobliskim statku, samolocie lub śmigłowcu. Nie wydaje mi się jednak, by nastąpiło to przed zbliżeniem się statku do wybrzeży USA.

–Dlaczego?

–Aby nastąpiło maksymalne zatrucie brzegów. Podniósłby się wówczas ogólnonarodowy krzyk przeciwko lordowi Worthowi i standardom bezpieczeństwa, panującym na jednostkach. Nie jest wykluczone i to, że skończyłoby się zamknięciem platformy albo zakazem wplywania jego jednostek na wody terytorialne Stanów. – Do swoich rozlicznych talentów Cronkite zaliczał i ten, że był nader utalentowanym kłamcą. – Czy mogę zawołać ludzi?

Kapitan skinął głową z zauważalnym brakiem entuzjazmu. Cronkite podniósł do ust tubę i zarządził wejście na pokład zespołu poszukiwawczego. Weszli niezwłocznie –

cała czternastka, zamaskowana i z pistoletami maszynowymi w dłoniach. Kapitan Thompson wpatrywał się w nich ze zdumieniem, po czym odwrócił głowę i z nie mniejszym zaskoczeniem otworzył usta, spoglądając na Cronkite'a i Mulhooneya

–obaj trzymali wymierzone w niego pistolety. Cronkite mógł wyglądać na zadowolonego czy nawet triumfującego, ale doskonałość jego sztucznej brody była tak wielka, że nie sposób było to stwierdzić.

–Co tu się dzieje, do cholery? – wykrztusił kapitan z osłupieniem, przechodzącym z wolna w furję.

–Sam pan widzi – porwanie. Dość popularna sprawa w dzisiejszych czasach. Zgadza się, nikt dotąd nie porwał tankowca, ale czas na debiut i w tej dziedzinie. Zresztą, nie ma w tym właściwie nic nowego – dawniej nazywano to piractwem i zdarzało się już grubo ponad tysiąc lat temu. Proszę nie próbować bohaterских sztuczek, i jeśli pan tego robić nie będzie, nikomu nie stanie się nic złego. Zresztą, co może pan próbować zrobić, mając wycelowane w brzuch czternaście pistoletów maszynowych?

W przeciągu pięciu minut cała załoga wraz z oficerami – łącznie z odzyskującym już przytomność radiooperatorem – została zamknięta w mesie. Nikt nie zdążył nawet pomyśleć o oporze. Wyjątkiem był tylko dość nieszczęśliwie wyglądający pierwszy mechanik, który pozostał w maszynowni. Niewielu jest zresztą ludzi, którzy nie wyglądaliby nieszczęśliwie, spoglądając w lufę schmeissera z odległości półtora metra.

Na mostku Cronkite dawał Mulhooneyowi ostatnie instrukcje.

–Przez cały czas wysyłaj na „Seawitch” rutynowe transmisje. Za dwie lub trzy godziny zamelduj o niewielkiej awarii – pęknięty przewód czy coś takiego – coś, co mogłoby zatrzymać „Torbello” w bezruchu przez parę godzin, ale nie wzbudzało paniki. Powinieneś być w Galveston dziś w nocy, a ja potrzebuję czasu do manewru. Po zmroku wygaś światła nawigacyjne – a lepiej wszystkie światła na całym statku. Nie należy lekceważyć lorda Wortha – Cronkite mówił z rzadko u niego spotykaną goryczą, widocznie przypomniał sobie chwilę, w której stanął w sądzie przeciw magnatowi naftowemu. – To bardzo wpływowy człowiek. Jest oczywiste, że rozpęta burzę w poszukiwaniu zaginionego tankowca.

Cronkite wrócił na „Georgię”, oddał cumy i odplynął. Mulhooney także ruszył w drogę, zmieniając kurs o dziewięćdziesiąt stopni, tak że kierował się teraz na południowy zachód, a nie północny wschód. Po dwudziestu minutach wysłał uspokajającą depezę na „Seawitch”: „W czasie, na kursie”. „Georgia” poczekała, aż dołączy do niej „Starlight”, po czym obie jednostki ruszyły na południowy wschód, aż znalazły się w odległości trzydziestu pięciu mil od „Seawitch”, bezpieczne poza horyzontem oraz zasięgiem radaru i sonarów platformy. Wyłączono silniki i statki

pogrzały się w oczekiwaniu.

Boeing zdążył pokonać już połowę odległości pomiędzy Waszyngtonem a Florydą. Lord Worth odrabiał stracony ostatniej nocy sen, nieświadom szczęśliwie ciosów, które sypały się na niego ze wszystkich stron.

Mitchell, co było raczej niespotykane, zasnął. Umył się, ogolił, podczas gdy kawa cicho bulgotała w ekspresie i przez cały ten czas zdawał sobie sprawę z nienaturalnego uczucia zagrożenia. Spacerował nerwowo po kuchni, pijąc kawę, aż w końcu zdecydował się gwałtownie na położenie kresu tym głupim uczuciom. Wziął telefon i wykręcił numer lorda Wortha. Nikt się nie zgłosił. Spróbował ponownie, osiągając ten sam rezultat. Dopił kawę, poszedł do sąsiedniego domu, zajmowanego przez wspólnika, otworzył drzwi zapasowym kluczem. W sypialni story były dokładnie zasunięte, a Roomer spał smacznie. Wyrwał go bezlitośnie ze snu. Obudzony spojrzał nań z odrazą.

–Co takiego się dzieje, że budzisz człowieka w środku nocy?

–To nie jest środek nocy – Mitchell odsłonił okno i pokój zalany został słońcem letniego poranka. – Jest południe, co zauważysz, jeśli otworzysz oczy.

–Twój dom się pali czy coś takiego?

–Chciałbym, żeby to było coś tak trywialnego. Boję się, po prostu boję się, John... Obudziłem się, bo coś mnie gryzło, a to uczucie nasila się coraz bardziej. Pięć minut temu zadzwoniłem do domu lorda Wortha i nikt nie podniósł słuchawki. O tej porze jest tam zwykle z dziesięć osób...

–I co ci się znowu kojarzy?

–Podobno to ty jesteś od myślenia. Zbieraj się, ja zaparzę kawę...

Roomer wszedł do kuchni na długo przedtem, zanim kawa była gotowa. Faktycznie był już tam po dziewięćdziesięciu sekundach. Nie ogolony i nie umyty oczywiście, zdążył się jednak uczesać. Wyraz jego twarzy odpowiadał dokładnie uczuciom Mitchella.

–Nie trać czasu na bzdury – mruknął. – Jedziemy. Wzięli wóz Roomer a – był bliżej.

–Boże, jesteśmy naprawdę genialni! Dać nam czasem po łbie, to może, tylko może, ale jest nadzieja, że zaczniemy widzieć to, co jest oczywiste – Mitchell trzymał się fotela, gdy Roomer, nie zwracając zbytnej uwagi na drobiazgi, brał zakręty bez zmniejszania szybkości. – Spokojnie, za późno bronić stajni, jeśli nie ma już konia.

Roomer zwolnił z wyczuwalnym wysiłkiem.

–Lord Worth użył zagrożenia dziewczyn jako wymówki dla swoich poczynań, a ty sam radziłeś mu użycie tego pretekstu jako powodu naszej wczorajszej wizyty. I jakoś nigdy nie zaświtało naszym kulawym wyobrażeniom, że ich poczynania są tak logiczne, jak i nieuniknione. Worth nie przesadził – on faktycznie ma wrogów, którzy chcą go dostać. Dwa asy – i to jakie asy! Teraz go mają – odda pół majątku, aby je dostać z powrotem. Ale to będzie połowa – drugą zużyje na odnalezienie i zniszczenie tych drani. Pieniądze pozwalają uzyskać każdy rodzaj współpracy, jaki istnieje na świecie, a staruszek je ma.

Mitchell wyglądał na zrelaksowanego, spokojnego, a nawet zadowolonego.

–Ale my dostaniemy ich pierwsi, prawda John? Roomer drgnął, gdy skręcili na podjazd do posiadłości.

–Czuję dokładnie to samo co ty, ale nie podoba mi się sposób, w jaki o tym mówisz.

–Staram się wyrazić zamiar, albo przynajmniej nadzieję – uśmiechnął się Mitchell. – Zobaczymy.

Roomer zatrzymał wóz w sposób nie wróżący nic dobrego starannie utrzymanej nawierzchni. Pierwszą rzeczą, jaka od razu zwróciła uwagę Mitchella po wyjściu z samochodu, było dziwne poruszenie w pobliskich krzakach. Ruszył ku nim z rewolwerem w rękę, po czym schował broń do kieszeni, wyjął nóż i zajął się więzami Mac Phersona. Starszy ogrodnik, pomimo czterdziestu lat spędzonych na Florydzie, nigdy nie stracił szkockiego akcentu, mającego tendencję wzrostową w miarę rosnącego zdenerwowania. W tym przypadku, ledwie został uwolniony od plastra, jego język stał się dokładnie niezrozumiały, co było zbawieniem dla słuchaczy, biorąc pod uwagę treść, jaką niemal na pewno chciał wyrazić.

Weszli przez frontowe drzwi, natykając się niemal tuż za progiem na Jenkinsa, zażywającego odpoczynku w fotelu. Powitał ich zbolalym spojrzeniem. W takim też był nastroju, choć nie powodował tego ich widok, lecz niezbyt łagodny sposób, w jaki Mitchell pozbawił go plastra. Jenkins wziął głęboki oddech, aby przygotować się do wygłoszenia protestu, ale Mitchell był szybszy.

–Gdzie śpi Jim? – chodziło o radiooperatora.

Służący wpatrzył się w niego z osłupieniem. To miało być powitanie człowieka, który przeżył piekło, został wyciągnięty z gardła śmierci? Gdzie sympatia, współczucie, zaintrygowane pytania? Mitchell pochwycił go za ramiona i gwałtownie nim potrząsnął.

–Ogłuchłeś? Pokój Jima?

Jenkins przyjrzał się zaciętej twarzy, widniejącej tuż przed jego własną i zdecydował się poniechać protestów.

–Z tyłu, pierwsze piętro, pierwsze drzwi na lewo.

Mitchella już nie było, podobnie zresztą jak Roomera, a ich plecy mignęły w wejściu.

–Nie zostawi mnie pan tak, Mr Roomer! – rozpaczliwie zawołał Jenkins.

–Idę do kuchni po coś ostrego – odparł cierpliwie wezwany. – Mitchell zabrał ze sobą nasz jedyny scyzoryk.

Jim Robertson był młodym, w miarę przystojnym inżynierem-elekt-rykiem prosto po college'u, któremu nie spieszyło się do pracy w wyuczonym zawodzie. Siedział teraz na łóżku, masując zawzięcie zdrętwiałe od sznura ręce i krzywiąc się z bólu w miarę powracania krążenia. Pomocnik Duranda, który go wiązał, musiał być entuzjastą tego zajęcia.

–Jak się czujesz? – zapytał Mitchell.

–Wściekle!

–Nie dziwię się. Możesz obsługiwać nadajnik?

–Mogę wszystko, jeśli oznacza to złapanie tych drani.

–O to, w gruncie rzeczy, chodzi. Przyjrzałeś się porywaczom?

–Ogólnie rzecz biorąc, tak – powiedział, przyglądając się Mitchel-lowi. – Porywaczom?

–Wygląda na to, że córki lorda Wortha zniknęły.

–Jezus Maria! – przyswojenie sobie tej nowiny zajęło mu trochę czasu. – Niezły rachunek do uregulowania...

–Doliczymy im procent. Wiesz, gdzie są sypialnie Mariny i Me-lindy?

–Pokażę drogę.

Sypialnie nosiły wszelkie ślady klasycznego, szybkiego i niespodziewanego

opuszczenia. Pootwierane szuflady i szafy, rzeczy rozrzucone po podłodze, nie zasłane łóżko. Mitchell nie był tym ani przez chwilę zaskoczony i jeszcze mniej zainteresowany. Przerzucił jak huragan szuflady i znalazł to, co miał nadzieję znaleźć – jej paszport. Otworzył go i odetchnął z ulgą – był kompletny. Zanotował w pamięci, że skłamała mu co do swojego wieku – była dwa lata starsza niż oświadczyła. Wsunął paszport do szuflady i ruszył za Robertsonem do pokoju łączności. Ten spojrzał na niego pytająco.

–Szef okręgowej policji nazywa się McGarity. Nie chcę nikogo innego. Powiedz, że dzwonisz od lorda Wortha, to powinno czynić cuda. Potem daj mi go.

Roomer wszedł, gdy Robertson nawiązał kontakt.

–Siedem sztuk służby, wszyscy fachowo unieruchomieni. To razem dziewięć. Zostawiłem Jenkinsa, żeby ich uwolnił. Ręce mu się trzęsą, że pewnie przetnie parę arterii, ale uwalnianie starych kucharek czy młodych pokojówek i tak leży poza moim poczuciem obowiązku.

–Musieli przynieść chyba z kilometr sznura – stwierdził obojętnie Mitchell, zastanawiając się, jak wiele powiedzieć policji.

–Kogo on usiłuje łapać? – zainteresował się Roomer.

–McGarity'ego.

–Tego tłustego hipokrytę?

–Większość ludzi uznałaby to za urzekający rysopis. On może się przydać.

–Na linii Mr Mitchell – odezwał się Robertson. – Ten aparat... Chciał dyskretnie odłożyć słuchawkę, ale Mitchell wyłuskał mu ją z dłoni i przez chwilę jedynie nasłuchiwał.

–Stef McGarity?

–Przy telefonie.

–Proszę posłuchać bardzo uważnie. Jest to niezwykle istotne i pilne. Jest to najważniejsza rzecz, jaka wydarzyła się w tym okręgu od wybuchu wojny. Jest pan sam?

–Tak, jestem sam – ton mówiącego był dość dziwną mieszanką podejrzliwości i zainteresowania.

–Nikt nie słucha i nic się nie nagrywa?

–Nie, do cholery! Proszę przejść do rzeczy!

–Dzwonimy z domu lorda Wortha. Zna go pan?

–Niech pan nie będzie idiotą! Kto „my”?

–Nazywam się Mitchell. Michael Mitchell, moim współpracownikiem jest John Roomer. Jesteśmy zarejestrowanymi prywatnymi detektywami.

–Słyszałem o was. Sprawiacie dużo kłopotów lokalnym władzom.

–Ująłbym to nieco inaczej, ale nie o to teraz chodzi. Rzecz w tym, że obie córki lorda Wortha zostały porwane.

–Dobry Boże w niebiesiech! – po drugiej stronie linii nastąpiło coś, co można było nazwać jedynie osłupiałym milczeniem.

Roomer uśmiechnął się sardonicznie i zakrył mikrofon.

–Czy widzisz grubasa trzymającego się fotela z wybałuszonymi oczami i neonem AWANS błyszczącym przed nosem?

–Porwane, mówi pan – głos McGarity'ego stał się nagle chrapliwy.

–Porwane lub uprowadzone, jak pan woli.

–Jest pan tego pewien?

–Jak tylko to możliwe. Pokoje dziewcząt noszą wszelkie możliwe znamiona nagłego i nie zaplanowanego opuszczenia. Dziewięć osób służby zostało związanych i zakneblowanych. Co by pan z tego wywnioskował?

–Porwanie... – McGarity powiedział to tak, jakby to odkrycie było jego wyłączną zasługą.

–Może pan zablokować drogi? Nie wzięły paszportów, więc międzynarodowe loty nie wchodzi w grę. Nie mogę sobie zresztą wyobrazić, jak porywacze mieliby przeprowadzić je przez jakikolwiek dworzec lotniczy unikając ich rozpoznania. Należałoby natomiast zablokować oraz pilnować wszystkie prywatne lotniska, lądowiska helikopterów i innych takich w południowej części stanu, a także wszystkie w tym rejonie porty i przystanie.

–Na to trzeba setek policjantów! – jęknął zaskoczony i oszołomiony McGarity.

Ton niedowierzania w tym proteście był zupełnie wyraźny. Mitchell westchnął, zakrywając mikrofon, po czym mruknął:

–Zgubił się ze szczętem... Chyba będę musiał mu pomóc – i zaczął mówić do mikrofonu: – Niech pan posłucha. Wystarczy, aby pan podniósł słuchawkę, a dostanie pan tysiąc policjantów. Pan chyba nie zdaje sobie sprawy, na czym siedzi. Przecież mówimy o córkach lorda Wortha. Może pan zawiadomić Gwardię Narodową, jeśli pan chce – założę się, że lord z pewnością pokryje każdy cent wydatków. Dobry Boże, człowieku! Nic podobnego nie zdarzyło się od porwania dziecka Lin-dbergha!

–Otóż to! Otóż to! – Nie było trudno domyślić się, że McGarity oblizuje nerwowo usta. – Rysopis porywaczy?

–Niewiele. Wszyscy byli zamaskowani, przywódca nosił rękawiczki, co może, ale nie musi, wskazywać na kryminalną przeszłość. Wszyscy byli dość wysocy, dobrze zbudowani i nosili ciemne garnitury. Przypuszczam, że nie muszę podawać rysopisów dziewcząt?

–Mariny i Melindy? – McGarity był klasycznym snobem, z chorobliwą ciekawością śledzącym nowiny z tak zwanych wyższych sfer. – Do diabła, nie! Są chyba

najbardziej obfotografowaną parą w całym stanie.

–Mam nadzieję, że jak długo się da, będzie pan to trzymał w tajemnicy?

–Będę, oczywiście, że będę! – McGarity miał swoją wymarzoną sprawę i nikt, ale to zupełnie nikt, nie był w stanie mu jej wydrzeć.

–Lord Worth musi, rzecz jasna, wszystko wiedzieć – ciągnął dalej Mitchell. – Zreferuję mu sprawę i opowiem o panu.

–Nie poinformował go pan jeszcze? – McGarity ledwie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

–Nie.

–Proszę mu powiedzieć, aby się nie denerwował. Proszę mu także powiedzieć, że przejmuję bez reszty kierownictwo w śledztwie.

–Zrobię to.

Roomer mrugnął do Mitchella i zamknął oczy.

–Teraz lokalne władze! – w szefa policji wstąpił nowy duch.

–Myślę, że trzeba będzie ich dopuścić. Nie jestem zbyt szczęśliwy z tego powodu, ale cóż... Co będzie, jeśli nie zechcą zachować dyskrecji?

–W takim przypadku – McGarity był już pewien siebie – proszę takiego skierować do mnie. Czy ktoś jeszcze wie o tym?

–Oczywiście, że nie. Jest pan jedyną osobą, która może nakazać blokadę dróg ucieczki, toteż w pierwszej kolejności skontaktowałem się z panem.

–I zrobiliście to, co można było najlepszego – głos w słuchawce był ciepły i serdeczny, czemu nie należało się dziwić, bowiem za kwartał nadchodził koniec kadencji i uznanie opinii publicznej było wszystkim, czego McGarity potrzebował w tej chwili, jeśli chciał pozostać na następną. – Zaraz to wszystko rozkręcę. Będziemy w kontakcie.

–Oczywiście – Mitchell przerwał połączenie. Roomer spojrzał na niego z uznaniem.

–Jesteś hipokrytą większym nawet niż on.

–Praktyka. Liczy się to, że mamy, co chcieliśmy – twarz Mitchella była poważna. – Przyszło ci do głowy, że ptaszki mogą odlecieć?

–Aha – Roomer również spoważniał. – Ale najpierw to, co jest nie mniej ważne. Lord

Worth?

Jego wspólnik skinął głową.

–Lepiej ty to załatw. Powiadają, że sprowokowany ujawnia zasoby języka angielskiego, które nie odpowiadają zbytnio językowi stosowanemu przez arystokrację. Ja przesłucham służbę. Myślę, że porządny napitek powinien pomóc im wyjść z szoku po przeżyciach tego ranka i trochę rozwiąże języki. Zobaczymy, co uzyskam, ale nie sądzę, żeby było tego dużo. Mogę pytać jedynie o rysopisy, głosy, czego dotykali – może będą gdzieś odciski palców, co i tak niewiele nam da, jeśli nie będzie ich w kartotece.

–Uwaga o drinku brzmi z tego wszystkiego najlepiej. Poproś Jen-kinsa, aby przyniósł tu jedną brandy – spojrzał na Robertsona z uwagą i dodał. – Nie, niech przyniesie dwie duże...

–Wiesz, co dawniej działo się z posłańcami, którzy przynosili złe wieści? – zapytał Mitchell niemal od drzwi.

–Wiem. Tracili głowy.

–Zgadza się. Prawdopodobnie będzie uważał, że nie dopilnowaliśmy wszystkiego i nie przewidzieliśmy nieuniknionego. I będzie miał rację, choć winien jest w takim samym stopniu co my...

–Połącz mnie z lordem Worthem, Jim.

–Mogę, jeśli będę wiedział, gdzie jest. Gdy, kończyłem wczoraj w nocy, był w domu.

–Jest na „Seawitch”.

Robertson uniósł brwi, opuścił je i bez słowa zajął się nadajnikiem. Połączył się z platformą w piętnaście sekund. Roomer ujął mikrofon.

–Z lordem Worthem proszę.

–Proszę czekać.

Po chwili z głośnika usłyszał inny, szorstki i zgoła wrogi głos:

–Czego pan chce?

–Lorda Wortha.

–Skąd pan wie, że jest tutaj.

–Skąd ja... Co to ma do rzeczy? Czy mogę z nim nareszcie mówić, czy nie?

–Słuchaj pan, jestem tu, żeby chronić jego spokój. Mamy zbyt wiele głupich telefonów od głupawych facetów. Skąd pan wie, że lord jest tutaj?

–Powiedział mi.

–Kiedy?

–Zeszłej nocy, około dwunastej.

–Jak się pan nazywa?

–Roomer. John Roomer.

–Roomer... – ton głosu uległ ociepleniu i to wyraźnemu. – To dlaczego nie powiedział pan tego od razu?

–Bo nie przewidywałem, że będę poddany przesłuchaniu trzeciego stopnia. Pan musi być Komendantem Łarsenem.

–Jestem.

–Nie jest pan nastawiony zbyt przyjacielsko do świata...

–Mam robotę do wykonania.

–Lord Worth?

–Nie ma go tutaj.

–Nie okłamałby mnie – Roomer nie sądził, aby politycznie było dodawać, że widział odlot obu helikopterów na platformę.

–Nie kłamał. Był tutaj, ale parę godzin temu odleciał do Waszyngtonu.

–Jest jakiś numer, pod którym można go znaleźć?

–Jest. Dlaczego?

–Nie pytam, po co tam poleciał. To pilna, ważna oraz osobista sprawa. Z tego, co słyszałem o panu od niego samego, a sporo tego było, wiem, że reagujecie w taki sam dokładnie sposób... Proszę podać mi ten numer. Jeśli tylko lord pozwoli, to zadzwonię do pana i powiem, w czym rzecz.

–Słowo?

Roomer obiecał, a Larsen podał mu żądany numer. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Robertsona:

–Lord Worth poleciał do Waszyngtonu. Nie pytałem, ale zdziwiłbym się, gdyby nie zrobił tego swoim boeingiem. Można złapać go w locie?

–Kiedy opuścił „Seawitch”? – Robertson nie wyglądał zbyt pewnie.

–Larsen powiedział, że parę godzin temu. Nie pytałem dokładnie... Robertson wyglądał jeszcze mniej pewnie.

–Nie miałbym zbyt dużych nadziei na sukces. Tą aparaturą mogę łapać połączenia na parę tysięcy mil, ale to, co jest w maszynie, to zestaw krótkiego zasięgu – mniej niż pięćset mil. Sądzę, że są już dawno poza zasięgiem odbiornika samolotu...

–Sprzyjające warunki atmosferyczne?

–Wątpliwa sprawa...

–Mimo to spróbuj, Jim.

Spróbował i ponawiał próby przez następne pięć minut, w trakcie których coraz wyraźniej było widać, że lord Worth ma jeszcze trochę czasu, zanim wezwie swego lekarza. Po owych pięciu minutach Robertson wzruszył ramionami i spojrzał na Roomera.

–Dziękuję za próbę, Jim – podał mu kartkę z numerem telefonu. – Waszyngton. Uda

się go dostać?

–Za to mogę ręczyć.

–Spróbuj za pół godziny. Poproś lorda Wortha i podkreśl ważność sprawy. Jeśli go nie będzie, próbuj co dwadzieścia minut. Masz bezpośrednie połączenie z gabinetem?

–Tak.

–Będę tam. Muszę powitać przedstawicieli prawa.

S – Wiedźma Morska

Rozdział piąty Lord Worth ze szklaneczką szkockiej w jednej, a kubańskim cygarem z przemytu w drugiej dłoni, siedział wygodnie w głębokim fotelu okazałe wyglądającego biura podsekretarza stanu. Powinien być zadowolony i zrelaksowany, a był, prawdę mówiąc, wysoce niezadowolony i zmęczony. Stawał się wściekły w sposób ciągły na świat w ogóle, a na cztery obecne w pokoju osoby w szczególności.

Tymi czterema osobami byli: Howell, podsekretarz stanu, wysoki mężczyzna będący profesorem w Yale; jego sekretarz, którego nazwiska lord Worth nawet nie próbował zapamiętać, anonimowy, szary urzędnik; generał-porucznik Zweicher, o którym można było jedynie powiedzieć, że w każdym calu wyglądał na generała oraz stenografistka w średnim wieku, starająca się robić notatki z dyskusji w chwilach, gdy miała na to ochotę, co nie zdarzało się zbyt często. Bardziej prawdopodobne jest, że długoletnia praktyka nauczyła ją, że większość z tego, co mówi się na takich konferencjach i tak nie jest warta notowania.

–Jestem zmęczonym człowiekiem, który dopiero co przyleciał z Zatoki Meksykańskiej – odezwał się lord. – Spędziłem tu dwadzieścia pięć minut i wyglądam na to, że tracę czas... Cóż, panowie, nie zamierzam tracić go jeszcze więcej. Mój czas jest równie cenny jak wasz, a w tej chwili jest dla mnie cholernie cenny. To nazywa się, jak mi się zdaje „spławienie gościa”!

–Jak pan może w ogóle mówić o jakimkolwiek „spławieniu”! – oburzył się Howell. – Siedzi pan w moim biurze razem z generałem Zweicherem. Ilu obywateli ma takie przywileje?

–Im ładniej to wygląda, tym lepsze jest spławienie. Nie jestem przyzwyczajony do obcowania z pośrednikami. Jestem przyzwyczajony do rozmów z tymi, którzy decydują, czego tutaj na razie, nie osiągnąłem... Zimne, dyplomatyczne traktowanie w moim przypadku nie skutkuje. Nie lubię wywoływać zamieszania, ale pójdę na wszystko, aby uzyskać sprawiedliwość... Nie wmiecie mnie pan pod swój dyplomaty66 czny dywanik, Howell. Powiedziałem ostatnio, że istnieje międzynarodowe zagrożenie mojej platformy wiertniczej, a pan zdecydował się ignorować mnie lub nie wierzyć moim słowom. Przybyłem teraz z dowodami, że jestem poważnie zagrożony – trzy okręty wojenne zbliżają się do „Seawitch”, a pan nadal decyduje się nic nie robić. Chciałbym tak na marginesie zauważyć, że jeśli do tej pory nie ma pan jeszcze wiarygodnych informacji o ruchach tych okrętów, to lepiej niech się pan zabierze za zorganizowanie nowego wywiadu...

–Wiemy o tych okrętach – wtrącił się generał Zweicher. – Mimo to jednak nie ma na razie żadnych podstaw, aby wszczynać jakąkolwiek akcję. Nie ma żadnych dowodów

na to, co pan mówi. Podejrzenia tak, ale nie dowody. Czy naprawdę oczekuje pan, że na podstawie tego, co może być nieprawdziwymi podejrzeniami obywatela, postawimy w stan gotowości flotę i lotnictwo?

–O to właśnie chodzi! – dodał Howell. – A chciałbym dodać, że nie jest pan nawet obywatelem amerykańskim, lordzie Worth.

–Nawet nie jestem amerykańskim obywatelem! – lord zwrócił się do stenotypistki. – Ufam, że zanotowała to pani...

Uniósł dłoń, gdy Howell chciał jeszcze coś dodać.

–Za późno, Howell. Za późno na naprawienie błędu. Nie jestem obywatelem amerykańskim! Chciałbym przypomnieć, że w zeszłym roku wpłaciłem więcej podatków niż wszystkie inne wasze towarzystwa naftowe razem wzięte, o ciągłych dostawach ropy do Stanów nie wspominając. Jeśli poziom kompetencji Departamentu Stanu jest typowy dla sposobu, w jaki rządzi się w tym kraju, to mogę jedynie być zadowolony, że ciągle jeszcze posiadam paszport brytyjski. Jedno prawo dla Amerykanów, a zupełnie inne dla całej reszty. Nawet nieamerykański obywatel! To powinno mieć szczególny wydźwięk na konferencji prasowej, którą zamierzam zorganizować, jak tylko opuszczę ten pokój.

–Konferencja prasowa?! – Howell wykazywał raczej niezwykle objawy podniecenia.

–Oczywiście – ton Wortha był równie grobowy, jak wyraz jego twarzy. – Jeśli wy nie chcecie mnie chronić, to, na Boga, zrobię to sam!

Howell spojrzał na generała, po czym znów skierował wzrok na lorda Wortha.

–Chciałbym panu przypomnieć, że wszelkie rozmowy, jakie się tutaj odbywają, są ściśle poufne – oznajmił oficjalnie nieuprzejmym tonem.

–Zawsze jest rzeczą przykrą obserwować człowieka, który minął się z powołaniem – zauważył zimno Worth. – Powinien pan być

komediantem, Howell, a nie jednym z członków tego rządu! Poufne... Dobrze sobie... Jak może pan przypominać mi teraz o czymś, czego nigdy pan nie powiedział? Gdyby nie było tu kobiety, powiedziałbym panu, co naprawdę myślę o tej głupiej uwadze! Boże, to będzie coś! Takie oświadczenie pochodzące z ust drugiego w rządzie człowieka do spraw międzynarodowych, z departamentu tak słynnego z przecieku tajemnic państwowych do wężących dziennikarzy, bez wątpienia na odpowiednich warunkach. Nie cierpię hipokryzji, a to spowoduje następny oddźwięk na konferencji prasowej. Departament Stanu chce mnie zakneblować! Pięknie, Howell!

Podsekretarz milczał i wyglądał tak, jakby poważnie rozważał możliwość wytarcia rąk.

–Zamierzam poinformować dziennikarzy o bezwładzie, oporze, braku działań, niekompetencji i planowym ustawianiu obywateli w wykonaniu Departamentu Stanu, który będzie odpowiedzialny za stratę platformy wiertniczej wartości stu milionów dolarów; o zatrzymaniu dostaw ropy naftowej dla USA, o największym w historii wycieku ropy i o możliwości, nie – o prawdopodobieństwie wybuchu trzeciej wojny światowej. Będę musiał tu i ówdzie kupić czas antenowy, aby wyjaśnić całą sytuację oraz to, że zostałem zmuszony do tego, co robię, przez odmowę i nieudolność Departamentu Stanu – lord Worth przerwał na chwilę. – Co byłoby głupotą z mojej strony... Mam przecież własną sieć telewizyjną i nadajnik radiowy. To będzie coś takiego, że trzy główne stacje telewizyjne wkroczą w sprawę przy pierwszej okazji i nie będzie mnie to kosztowało ani centa. Po dzisiejszej nocy imię Departamentu Stanu, a szczególnie nazwiska pana i pańskiego szefa, jeśli nie będą zupełnie czarne, to w każdym razie będą porządnie za-szargane na terenie całego kraju, którego nawet nie jestem obywatelem. Jestem doprowadzony do ostateczności, panowie, więc jestem gotów do użycia desperackich metod!

Przerwał, obserwując ich reakcje – były dokładnie takie, o jakie mu chodziło. Wszyscy zgromadzeni zdawali sobie sprawę, że zamierza zrealizować to wszystko, o czym mówił. Skutki czegoś takiego byłyby zbyt straszne, aby można je było spokojnie rozważać. Jednakże nikt nie odezwał się nawet słowem, więc lord Worth ponownie podjął trud prowadzenia rozmowy.

–Swoją beczynność opieracie, panowie, na fakcie, że nie posiadam dowodów na to, o czym mówię. Jednakże posiadam je, i to stuprocentowe, a nie przedstawiam ich wam, bowiem jest oczywiste, że niczego tu nie osiągnę. Wymagam po prostu kogoś, kto umie podej68 mować decyzje, a sekretarz ma właśnie taką reputację. Proponowałbym, aby pan go tu sprowadził.

–Przyprowadzić sekretarza? – Howell najwyraźniej nie wierzył własnym uszom. – Nikt nie przyprowadza sekretarza. Ludzie umawiają się z nim na wiele dni, a nawet tygodni naprzód. Poza tym jest teraz na bardzo ważnej konferencji...

Lord Worth pozostał nieporuszony.

–Niech go pan przyprowadzi. Konferencja, którą ma teraz odbyć ze mną, będzie najważniejsza w jego życiu. Jeśli nie zdecyduje się przyjść tutaj, to prawdopodobnie odbywa ostatnią naradę w swojej karierze politycznej. Wiem, że jest nie dalej niż dwadzieścia metrów stąd. Proszę go przyprowadzić!

–Ja... Doprawdy, nie sędzę... Lord Worth wstał.

–Mam nadzieję, że pański natychmiastowy następca, natychmiastowy to naprawdę właściwe określenie, będzie, dla dobra tego kraju, okazywał więcej zdrowego rozsądku i znajomości rzeczy niż pan. Proszę powiedzieć człowiekowi, który dzięki pańskiej ignorancji i tchórz-liwości, odmowie spojrzenia na fakty i będzie odpowiedzialny za wybuch następnej wojny światowej, aby obejrzał dziś w nocy telewizję. Miał pan swoją szansę – co wykazuje notes obecnej tu pani – i odrzucił ją pan... – Worth z żalem potrząsnął głową. – Nie ma większych ślepców aniżeli ci, co nie widzą łuczywa płonącego koło beczki z prochem. Życzę wam, panowie, udanego dnia.

–Nie! Nie! – Howell był podniecony, co w jego sytuacji było raczej zrozumiałe. – Proszę usiąść! – Zobaczę, co się da zrobić!

Stwierdzenie, że wybiegł z pokoju, było znacznie bliższe prawdy niż jakiegokolwiek inne.

Podczas jego nieoczekiwanej nieobecności – nie było go dokładnie trzynaście minut – rozmowa w gabinecie ograniczona była do minimum.

–Pan poważnie planuje zrobić to, o czym pan mówił? – zapytał Zweicher.

–Wątpi pan w to, generale?

–Nie. Zamierza pan spełnić te groźby?

–Myślę, że słowo, które wolałby pan usłyszeć, brzmiałoby raczej „obietnice”.

Po tym efektownym zdaniu wszyscy zamilkli. Jedynie lord Worth nie wyglądał na pogrążonego w ponurych rozważaniach. Był, lub też robił takie wrażenie, spokojny i odprężony, co było zupełną bzdurą, ponieważ doskonale wiedział, że pojawienie się lub nieobecność sekretarza oznacza dla niego zwycięstwo albo klęskę.

Wygrał – John Benton, sekretarz stanu, wchodząc w drzwi nerwowo otwarte przez Howella, nie wyglądał zgoła na swoją reputację – twardego, błyskotliwego negocjatora, obdarzonego doskonałym wyczuciem sytuacji i fenomenalną intuicją, niezbyt często konsultującego się z kolegami gabinetu, przed podjęciem decyzji. Wyglądał jak dobrze prosperujący farmer, roztaczający wokół atmosferę ciepła i przyjaźni. W rzeczy samej był to ktoś diametralnie różny od Howella, podobny raczej do powstającego na jego widok lorda Wortha.

–Lord Worth! – Benton serdecznie uściśnął jego rękę. – Rzadki to przywilej mieć, jeśli mogę się tak wyrazić, u siebie jednego z czołowych przedstawicieli nacji Ameryki...

–Chciałbym, aby nastąpiło to w szczęśliwszych okolicznościach niż obecnie – Worth nie ustępował Bentonowi w roztaczaniu aury ciepła i przyjaźni w stosunku do określonych osób. – Cała przyjemność po mojej stronie, Mr Benton! Poświęcenie mi cennego czasu jest bardzo uprzejme z pańskiej strony. Obiecuję, że nie zajmę więcej jak pięć minut.

–Proszę zajmować go tyle, na ile ma pan ochotę – uprzejmie uśmiechnął się sekretarz. – Ma pan opinię człowieka nie marnującego czasu na puste gadanie, a ja również nie jestem zwolennikiem takiego postępowania.

–Dziękuję – Worth przyjrzał się Howellowi. – Trzyście minut na przebycie czterdziestu metrów... Jak sądzę, Mr Howell wprowadził pana w zagadnienie...

–Zostałem dość dokładnie zapoznany z problemem. Czego pan oczekuje od nas?

Lord Worth z trudem powstrzymał uśmiech – to było w jego stylu. John Benton kontynuował:

–Rzecz jasna, możemy zwrócić się do ambasadorów Związku Sowieckiego i Wenezueli, ale będzie to czysta strata czasu. Wszystko, co będą mogli zrobić, to zameldować swoim rządom o naszych podejrzeniach i zawołanych groźbach. Dziś ambasadorzy są bezsilni, nie to, co dziesięć lat temu, gdy mogli negocjować i podejmować decyzje. Teraz, nie z własnej zresztą winy, są bezpłciowym uosobieniem swoich rządów, nie mających nic do powiedzenia. Ich szoferzy, którzy są wyszkolonymi szpiegami, mają większe znaczenie. Możemy także zwrócić się bezpośrednio do tych rządów, ale do tego musimy mieć dowody. Pańskie słowo nie ulega wątpliwości, ale to nie wystarczy.

–Taki dowód mogę panu dostarczyć natychmiast, zaś ogólnie powiem, o co chodzi – odparł lord Worth. – Jestem przeciwny podawaniu nazwiska, gdyż oznacza to koniec kariery zawodowej przyjaciela, lecz jeśli będę musiał, uczynię to. Czy ujawnię je panu, czy też opinii publicznej, zależy wyłącznie od reakcji departamentu. Jeśli nie otrzymam obietnicy podjęcia określonych decyzji, nie będę miał innego wyboru, jak tylko poinformowanie opinii publicznej o pewnych faktach. Proszę nie traktować tego jako szantażu. Jestem w matni i jedynym rozwiązaniem dla mnie jest wywalczenie wyjścia z pułapki. Jeśli, jak sądzę, pańska reakcja będzie taka, jakiej oczekuję, dam panu oczywiście listę nazwisk, która, mam nadzieję, nie zostanie opublikowana. Rzecz jasna, nie ustrzegę jej przed FBI, ledwie tylko znajdę się poza tym budynkiem, ale to już zupełnie inna kwestia.

Na początku tego tygodnia nad brzegami jednego z jezior na Zachodzie miało miejsce sekretne spotkanie. Wzięło w nim udział dziesięć osób, wszystkie ze szczytów przemysłu naftowego: czterej Amerykanie, reprezentujący największe amerykańskie towarzystwa naftowe, po jednym z Hondurasu, Wenezueli i Nigerii oraz dwóch szejków z Zatoki Perskiej. Ostatni z uczestników pochodzi ze Związku Sowieckiego. Jako że był jedynym, którego nie obchodzą dostawy ropy do USA można założyć, że był tam po to, aby wywołać jak najwięcej zamieszania – lord Worth rozejrzał się po swym audytorium; fakt, że całkowicie skupiał ich uwagę, był bezsporny. – Spotkanie to miało tylko jeden cel: zatrzymanie mnie, i to zatrzymanie za wszelką cenę. Dokładniej rzecz biorąc, chodzi o zaprzestanie wydobywania ropy na „Seawitch”, to nazwa mojej platformy wiertniczej, ponieważ poważnie obniżam cenę tego surowca, stwarzając tym samym zrozumiałe problemy finansowe innym towarzystwom. Jeśli w nafciarstwie istnieją jakieś reguły czy etyka, to przyznaję, że jak dotąd nie zetknąłem się z nimi. Jestem pewien, że wasze komisje senackie, zajmujące się tą tematyką, zgodzą się ze mną całkowicie. Zupełnie na marginesie: North Hudson – to nazwa mojej kampanii – nigdy nie była przedmiotem ich zainteresowań. W połowie tego zebrania wezwany został zawodowy awanturnik, którego znam dość dobrze i przyznaję, że jego działanie jest bardzo skuteczne. Z powodów, których nie muszę wyjaśniać, chyba że będą gwarancją pomocy, żywi on do mnie głęboką i serdeczną urazę. Jest także, oczywiście zupełnie przypadkowo, jednym z czołowych na świecie ekspertów od materiałów wybuchowych. Po spotkaniu wziął na stronę Rosjanina i Wenezuelczyka i poprosił o pomoc ich marynarek wojennych. Została mu zagwarantowana...

Obrzucił zebranych niezbyt serdecznym spojrzeniem, po czym kontynuował:

–Może w to nie uwierzycie, ale dodam, że człowiek ten zrobiłby to, czego się podjął, za darmo, z uwagi na uczucia, jakie do mnie żywi. Zażądał jednak – i otrzymał – wynagrodzenia w wysokości miliona dolarów i dziesięciu milionów na wydatki. Co dla panów znaczy dziesięć milionów dolarów, jeśli niczym nie ograniczoną przemoc?

–Niesamowite! – sekretarz potrząsnął głową. – To musi być prawda! Jest pan najwyraźniej dobrze poinformowany. Wygląda na to, że ma pan służbę wywiadowczą równie dobrą jak nasza!

–Lepszą, więcej im płacę. Nafta to dżungla, a informacje są podstawą przetrwania.

–Szpiegostwo przemysłowe?

–Raczej nie. – Możliwe, że Worth aktualnie w to wierzył.

–Ten przyjaciel, który zbliża się do końca swej...

–Tak.

–Proszę podać mi szczegóły wraz z listą nazwisk, a przy nazwisku przyjaciela proszę postawić krzyżyk. Dopilnuję, aby nikt poza mną nie miał wglądu w tę listę, a jeśli się uda, aby jego nazwisko nie było w to wmieszane.

–Jest pan bardzo uprzejmy, Mr Benton.

–Skonsultuję się z Pentagonem, a osobiście gwarantuję wystarczającą ochronę powietrzną i morską przeciwko jakimkolwiek jednostkom obcej floty czy lotnictwa.

Lord Worth ani przez chwilę nie wątpił w zapewnienia sekretarza, bowiem Benton miał opinię człowieka bezwzględnie dotrzymującego obietnic. Mimo wszystko zdecydował nie okazywać zbyt wielkiej ulgi.

–Trudno mi jest uwierzyć, jak głęboko jestem wdzięczny – spojrzął na stenotypistkę. – Jeśli mógłbym skorzystać z usług tej pani...

–Oczywiście.

–Więc zechce pani notować: miejsce – Lakę Tahoe, Kalifornia, adres...

Zadzwonił telefon. Sekretarka posłała Worthowi przepaszający uśmiech i podniosła słuchawkę.

–Cholera, wydałem ściśle instrukcje... – powiedział Howell.

–To do lorda Wortha – spojrzała na Bentona. – Mr Roomer, Floryda, nadzwyczaj pilne.

Sekretarz skinął głową, więc podała słuchawkę.

–Roomer? Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Tak, słucham...

Słuchał nie przerywając, a w miarę słuchania, ku zrozumiałej konsternacji obecnych, krew odpływała mu z twarzy, pozostawiając jego oblicze w dość nietypowym odcieniu trupiej bladości. Benton wstał, nalał kieliszek koniaku i podał go rozmawiającemu Worthowi. Ten odruchowo wziął go do ręki i wypił jednym łykiem. Sekretarz zabrał kieliszek i ruszył po nową porcję. Lord przyjął kieliszek, ale pozostawił go nietknięty. Zasłaniając lewą ręką zamknięte oczy, podał Bentonowi słuchawkę.

–Departament Stanu – odezwał się Benton. – Kto mówi? Głos Roomera był słaby, ale wyraźny.

–John Roomer z rezydencji lorda Wortha. Czy... czy to Mr Benton?

–Tak. Lord Worth wydaje się być w poważnym szoku...

–Zrozumiałe, sir. Jego dwie córki zostały porwane...

–Jezus, Maria! – zwyczajowe opanowanie Bentona doznało poważnego uszczerbku. Jak dotąd nikt nie widział go równie wstrząśniętego; możliwe, że powodem była bezpośredniość doświadczenia. – Jest pan pewien?

–Chciałbym nie być, sir.

–Kim pan jest?

–My, to znaczy mój wspornik, Michael Mitchell i ja, jesteśmy prywatnymi detektywami. Znajdujemy się tutaj nie z powodów zawodowych, ale dlatego, że jesteśmy sąsiadami i przyjaciółmi... lorda Wortha i jego córek...

–Zawiadomiliście policję?

–Tak.

–Co zostało zrobione?

–Zablokowano powietrzne i morskie drogi ucieczki.

–Ma pan rysopisy porywaczy?

–Tyle, co nic – pięciu mężczyzn silnej budowy, zamaskowani...

–Jaka jest pańska opinia o lokalnej policji?

–Niska.

–Włączę w to FBI.

–Tak, sir. Jednak ponieważ nie wysłedzono jeszcze porywaczy, więc nie ma dowodów, że przekroczyli granicę stanu...

–Do diabła z granicami stanu i przepisami! Jeśli powiedziałem, że ich włączę, to tak będzie. Proszę poczekać, myślę, że lord Worth chciałby coś panu powiedzieć...

Lord Worth z powrotem wziął słuchawkę. Na jego policzki zaczęły powracać ślady rumieńca.

–Zaraz wylatuję, będę za trzy godziny. Spotkajmy się na lotnisku.

–Tak, sir. KomendantLarsen chciałby wiedzieć...

–Powiedz mu wszystko! – Worth odłożył słuchawkę i pociągnął z kieliszka. – Nie ma większego durnia niż stary dureń, a tylko stary i ślepy dureń przeoczyłby to, co oczywiste. Przecież to wojna, nawet jeśli nikt jej nie wypowiedział, a na każdej wojnie wszelkie chwytby są dozwolone. Sądzę, panowie, że uznacie to za wystarczający dowód na poparcie tego, o czym wam mówiłem. Jestem głupcem, bo pozostawienie własnych córek bez ochrony jest niewybaczalną głupotą. Dlaczego nie zostawiłem na straży Mitchella i Roomera?

Spojrzał nagle na opróżnione naczynie, które stenotypistka czym prędzej zabrała mu z ręki.

–Dwóch przeciw pięciu ludziom? – Benton był sceptyczny.

–Zapomniałem, że pan ich nie zna – Worth spojrzał ze zrozumieniem na Bentona. – Mitchell byłby w stanie sam się nimi zająć...

–A więc to są pańscy przyjaciele, i to tacy, których darzy pan szacunkiem. Proszę się nie obrazić, ale czy nie istnieje możliwość, że są oni w to wplątani?

–Zgłupiał pan?! – lord Worth ponownie zajął się zawartością podanego mu naczynia. – Przepraszam, nie jestem dzisiaj sobą. Pewnie, że chcieliby porwać moje córki, prawie tak samo mają na to ochotę, jak one chciałyby być przez nich porwane!

–A więc tak to wygląda? – Benton wyglądał na poważnie zaskoczonego po raz kolejny; z jego dotychczasowych doświadczeń wynikało, że córki miliarderów normalnie nie zakochują się w osobnikach typu prywatnych detektywów.

–Tak to wygląda... Uprzedzając dwa następne pytania: tak, ja się na to zgadzam i nic ich nie obchodzi moje pieniądze – w zamyśleniu potrząsnął głową. – To jest nadzwyczaj dziwne, ale coś panu powiem... Marina i Melinda zostaną odnalezione nie przez lokalną policję czy pańskie drogie FBI, ale przyprowadzą je Mitchell i Roomer... Nie chcę być dramatyczny, lecz oni całkiem dosłownie są gotowi oddać za te dziewczyny życie.

–I nieuniknione jest, że przejadą po każdym, kto spróbuje im w tym przeszkodzić?

Po raz pierwszy od rozmowy telefonicznej Worth uśmiechnął się słabo.

–Mogę się o to założyć na każdych warunkach.

–Muszę kiedyś spotkać ten duet...

–Byłe nie po złej stronie pistoletu – mruknął Worth rozglądając się po gabinecie. – Muszę już iść. Ogromne podziękowanie za uprzejmość i współpracę, panowie.

Benton i Worth wyszli razem na dziedziniec, wprost ku stojącemu helikopterowi.

–Czy próbował pan kiedyś znaleźć odpowiednie słowa, aby powiedzieć komuś, jak bardzo jest panu przykro?

–Znam to dobrze... Proszę nie próbować, serdeczne dzięki...

–Nasz lekarz może panu towarzyszyć na Florydę.

–Ponownie dziękuję, ale teraz wszystko jest już w porządku.

–Nawet nie zjadł pan lunchu... – Benton najwyraźniej miał kłopoty z podtrzymaniem towarzyskiej konwersacji.

–Ponieważ nie darzę specjalnymi względami plastikowych lunchów i plastikowych tac, mam na pokładzie wybornego kucharza rodem z Francji – ponownie blady uśmiech zakwitł na znękaney twarzy lorda Wortha. – Ponadto jest tam dwanaście stewardess, wybranych wyłącznie ze względu na figurę.

–Nie miał pan czasu, aby dać mi tę listę – odezwał się Benton, gdy stanęli już przy schodkach helikoptera. – W tej chwili nie ma to znaczenia. Chcę tylko jeszcze powiedzieć, że moje gwarancje bezpieczeństwa pozostają w mocy.

Lord Worth w milczeniu uścisnął mu dłoń i wspiął się do kabiny.

W tym samym czasie Conde na pokładzie „Roamera” dopłynął do „Seawitch”, a jej potężny dźwig zajął się wyładunkiem bomb głębinowych i dział z arsenału Luizjany. Było to powolne i trudne zadanie, bowiem dźwig wznosił się sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza i cały wyładunek zajął prawie trzy godziny. W miarę jak działa pojawiały się na pokładzie, Larsen wyznaczał im stanowiska oraz nadzorował Palermo i jego ludzi przy montażu broni. Robiono to drążąc otwory w pokładzie i mocując do nich podstawy dział stalowymi trzpieniami. Działa były bezodrzutowe, ale ani Larsen, ani Palermo nie zamierzali ryzykować. Bomby głębinowe zmagazynowano w trzech dużych grupach, każda w połowie odległości między filarami. Istniało zagrożenie, z którego Larsen zdawał sobie sprawę: przypadkowy lub wymierzony pocisk mógł zdetonować zapalnik jednej z nich, a reszta z czystej sympatii zareagowałaby tak samo. Było to jednak ryzyko, które trzeba było podjąć, bowiem nie było innego miejsca, w którym mogłyby być przechowywane w gotowości do natychmiastowego

użycia. To, że potrzeba taka zajdzie i będzie natychmiastowa, było dla wszystkich oczywiste.

Załoga obserwowała poczynania Palermo i jego ludzi z uczuciami wahającymi się od całkowitego braku zainteresowania do aprobaty. Grupy nie kontaktowały się ze sobą – Larsen nie był zbyt zwoleńnikiem fraternizacji.

System obrony ulegał ciągłemu wzmocnieniu. Zbiornik dodatkowy wypełniał się powoli, ale bez przerw, w miarę, jak pracujący na maksymalnych obrotach świder wgrzyzał się w dno oceanu, poszukując nie naruszonych jeszcze złóż ropy. Wszystko przebiegało dobrze, bez oznak jakiegokolwiek alarmu, a mimo to Larsen nie był zadowolony, jak być powinien, mimo otrzymywanych regularnie co pół godziny sygnałów z „Torbello”. Był nieszczęśliwy z powodu braku dowodów istnienia „Tiburona”. Z Gahreston otrzymał wiadomość, że taka jednostka nie figuruje w spisach floty i Straży Przybrzeżnej i zdawał sobie przy tym sprawę, że poszukiwania w rejestrach cywilnych mogą potrwać i tydzień, a efekt będzie mniej niż wątpliwy, gdyż prywatne kutry mogą w ogóle nie figurować w rejestrach, jeśli nie są w pełni ubezpieczone.

Larsen nie wiedział, że i tak jest to bezproduktywne zajęcie: kiedy Mulhooney objął dowództwo, jednostka nazywała się „Hammond”, co przemyślnie kazał zamalować i nazwał ją „Tiburon”. Odkąd zaś Cron-kite przemianował kuter na „Georgię”, dwa poprzednie statki zakończyły swą egzystencję.

Jednakże jeszcze coś dręczyło Larsena – przekonanie, że coś jest mocno nie w porządku. Nie był w stanie określić co, ale, choć był zatwardziałym pragmatykiem, polegał na intuicji i instynkcie. Gdy więc usłyszał przez głośnik, że ma się zgłosić do kabiny radiowej, poczuł, że wybiła godzina spełnienia jego złych przeczuć. Niespiesznie ruszył w stronę radiostacji, częściowo dlatego, że nikt nigdy nie widział, aby Komendant Larsen gdzieś się spieszył, a częściowo dlatego, że niezbyt pragnął usłyszeć złe wiadomości – a był pewien, że są złe. Poinformował operatora, że wolałby być sam, poczekał, aż tamten zamknie za sobą drzwi i dopiero wtedy ujął mikrofon.

–Komendant Larsen.

–Mitchell. Obiecałem, że zadzwonię...

–Dzięki. Miał pan jakieś wieści od lorda Wortha? Powiedział, że będziemy w kontakcie, a dotąd się nie odezwał.

–Nie ma głowy. Jego córki zostały porwane.

Przez dłuższą chwilę Larsen się nie odzywał. Sądząc po silnie zbielałych kostkach rąk, słuchawka znalazła się w niebezpieczeństwie. Troszcząc się zwykle tylko o siebie, Larsen miał jednak dość specyficzny stosunek do obu dziewcząt, a poza tym po prostu doskonale zdawał sobie sprawę z konsekwencji porwania. Gdy odezwał się znowu, jego głos był spokojny jak zawsze.

–Kiedy to się stało?

–Rano. Nie ma po nich żadnego śladu. Zablokowaliśmy wszystkie drogi ucieczki, ale dotąd nie ma żadnych wiadomości z portów czy lotnisk.

–Rozpłynęły się w powietrzu?

–Rozpłynęły się diabli wiedzą gdzie, albo raczej zniknęły na stałym lądzie. Sądzę, że są trzymane w ukryciu i to gdzieś niedaleko. – Żadnych telefonów czy czegoś takiego?

–Nie i to właśnie jest dziwne...

–Ma pan na myśli porwanie dla okupu?

–Nie. – „Seawitch”?

–Tak.

–Wie pan, po co lord Worth poleciał do Waszyngtonu?

–Chciałbym wiedzieć.

–Domagać się osłony morskiej i lotniczej. Dzisiejszego ranka sowiecka fregata, kubański okręt podwodny oraz wenezuelski niszczyciel, opuściły macierzyste porty. Ich punktem docelowym zdaje się być „Seawitch”.

–To pewne? – zapytał Roomer po chwili przerwy.

–Tak. Wygląda na to, że czara goryczy lorda jest prawie pełna. Jedynym pocieszeniem może być fakt, że nic więcej już mu się nie przytrafi. Proszę mnie informować o nowinach.

W pokoju radiowym lorda Wortha Mitchell i Roomer odłożyli słuchawki.

–Boże, nie sądziłem, że mogą posunąć się aż tak daleko.

–Ja też nie, nie jestem zresztą nadal tego pewien – skomentował Roomer.

–Masz na myśli, że Wujek Sam nie zamierza pozwalać obcym flotom bawić się na

naszym podwórku?

–Coś w tym stylu. Nie sądzę, żeby to było coś innego niż jakiś blef albo dywersja psychologiczna. Sądzę, że prawdziwy atak nastąpi skądinąd...

–To może być podwójny blef... Jedno jest pewne: Larsen miał rację, mówiąc o tej czarze goryczy, tyle że według mnie, to ona już się przepełniła!

–Na to wygląda – Roomer najwyraźniej myślał o czym innym.

–Nie mów, że teraz dla odmiany ty masz jakieś przeczucie – zauważył Mitchell.

–Nie mam żadnych przeczuć, ale jedno mnie zastanawia: w rozmowie z Larsenem padło określenie – stały grunt. A jeśli nie jest to stały grunt?

Mitchell czekał cierpliwie.

–Jeśli chcesz się naprawdę ukryć na Florydzie, to gdzie się udasz w ciemno?

–Masz rację. Niestaly grunt, niepewny grunt, obojętne, jak nazwiesz... Bagna, rzecz jasna. Możesz się tam ukrywać i przez miesiąc, nawet batalion wojska cię nie znajdzie. Co wyjaśnia, dlaczego do tej pory nie odnaleziono minibusu... Mac Pherson i Jenkins opisywali go dość dokładnie. Sprawdzali parkingi i autostrady, ale założę się, że gliniarzom nie wpadło do głów, by sprawdzić drogi, które prowadzą na bagna...

–Pomożemy im?

–Jasne, jest ich parę tuzinów, lecz w większości są bardzo krótkie i łatwo znaleźć miejsca, poza które nie wjedzie się już samochodem. Kilkanaście patroli powinno uwinąć się z tym w jakieś dwie godziny.

–Daj McGarity'ego – Mitchell zwrócił się do Robertsona.

Od strony uchylonych drzwi dobiegło pukanie – Louise, jedna z młodszych pokojówek.

–Właśnie słałam łóżko miss Mariny, gdy znalazłam to w pościeli... Michael wziął kartkę – była to wizytówka z adresem i telefonem Mariny.

–Na drugiej stronie – odpowiedziała Louise.

Odwrócił bilecik, trzymając go tak, by i Roomer mógł przeczytać. Odręcznie skreślony napis głosił: „Wakacje. Mała wyspa w słońcu. Bez kostiumu”.

–Znasz pismo Mariny, Louise? – Mitchell nagle stwierdził, że on sam go nie zna.

–Tak, proszę pana. Jestem pewna, że to ona pisała.

–Dziękuję, to nam bardzo pomoże. Dziewczyna uśmiechnęła się i wyszła.

–Co za tępak z ciebie – zwrócił się Mitchell do Roomera. – Dlaczego nie pomyślałeś o przeszukaniu sypialni?

–Hmm... Pewnie kazała im wyjść, gdy się ubierała...

–Sądziłeś, że była zbyt przestraszona, by myśleć?

–Pismo dość pewne, poza tym ona się łatwo nie przeraża, no, nie licząc tego, gdy celowałaś jej między oczy...

–Teraz mam coraz większą ochotę wycelować komuś innemu między oczy. Mała wyspa w słońcu, gdzie nie można się kąpać... Pewny siebie porywacz mówił za dużo. Myślisz o tym samym, o czym ja myślę? – ..Seawitch" – oznajmił krótko Roomer.

Na wysokości trzydziestu trzech tysięcy stóp lord Worth zakończył lekki, acz doskonały lunch, popijając go wybornym winem z Bordeaux. Odzyskał już spokój dochodząc do wniosku, że jego niepowodzenia osiągnęły już swój szczyt. Wszystko, co mogło się zdarzyć złego, już się zdarzyło... Tak jak Larsen, Mitchell i Roomer był przekonany, że nic gorszego nie może go już spotkać. Cała czwórka straszliwie się myliła. Najgorsze miało dopiero nadejść, a w zasadzie już się działo.

Pułkownik Farąuharson, podpułkownik Dewings oraz major Breck-ley w rzeczy samej nie byli ludźmi, na których opiewały ich dokumenty, a to z uwagi na szczegóły, że w US Army nie było w ogóle oficerów o ich stopniach i stanowiskach. Jednakże jest to duża armia, a zatem nikt, nawet sami oficerowie, nie byłby w stanie znać więcej niż kilkudziesięciu kolegów. Ich fizjonomie także miały niewiele wspólnego ze swym normalnym wyglądem. Odpowiedzialny był za to pewien hollywoodzki charakteryzator. Ubrani byli skromnie w dobrze skrojone garnitury. Farąuharson zaprezentował swe dokumenty siedzącemu przy biurku kapralowi i powiedział:

–Pułkownik Farąuharson do pułkownika Ryce'a.

–Obawiam się, że go nie ma, sir.

–To dajcie oficera dyżurnego, kapralu.

–Yes, sir.

Minutę później siedzieli przed biurkiem młodego i zakłopotanego kapitana Martina, który właśnie zakończył pospieszne przeglądanie ich dokumentów.

–Zatem pułkownik Ryce został wezwany do Waszyngtonu – odezwał się Farąuharson. – Mogę się domyślać po co...

Nie musiał się domyślać – osobiście wykonał oszukańczy telefon, który był przyczyną nieobecności pułkownika.

–Jego zastępca?

–Grypa, sir – przepraszająco powiedział Martin.

–O tej porze roku? Szkoda. Domyśla się pan, po co tu jesteśmy...

–Yes, sir – Martin wyglądał coraz bardziej nieszczęśliwie. – Sprawdzenie zabezpieczenia. Miałem już wiadomość o włamaniu do arsenałów Florydy i Luizjany. Jestem pewien, że tutaj znajdzie pan wszystko w najlepszym porządku.

–Wątpliwe, tym bardziej że już odkryłem coś, co jest niezgodne z regulaminem.

–Sir? – z głosu i zachowania Martina zaczęła przebijać panika.

–Czy wie pan o tym, że są dosłownie tuziny sklepów, w których może pan oficjalnie kupić mundur generalski? Jeśli wszedłbym tu ubrany w taki mundur, czy wzięłby mnie pan za tego, który powinien go nosić?

–Przypuszczam, że tak, sir.

–Cóż, przynajmniej nie zrobi pan tego nigdy więcej – popatrzył na swoje dokumenty, leżące na blacie biurka. – Podrobienie czegoś takiego również nie jest żadnym specjalnym problemem... Kiedy w takim miejscu pojawia się ktoś obcy, to zawsze, ale to zawsze należy sprawdzić jego tożsamość w Dowództwie Okręgu. I zawsze należy przy tym rozmawiać z dowódcą...

–Yes, sir. Czy zna pan przypadkiem jego nazwisko? Jestem tu dopiero od paru dni, sir...

Martin polecił kapralowi połączyć się z dowództwem.

–Dowództwo Okręgu – głos odezwał się już po pierwszym sygnale.

Głos ten jednak nie pochodził z instytucji, do której telefonowano, lecz z telefonicznego słupa, oddalonego o mniej niż pół mili od jednostki. Siedział na nim mężczyzna z bateryjnym aparatem, połączonym miedzianym drutem i krokodylkiem z jednym z kabli.

–Arsenał Netley Rowan, kapitan Martin. Chciałbym mówić z generałem Harsworthem.

–Proszę zaczekać – nastąpiła seria trzasków, parosekundowa cisza, po czym głos oznajmił:

–Na linii, kapitanie.

–General Harsworth? – zapytał Martin.

–Przy telefonie – oświadczył mężczyzna na słupie o oktawę wyżej. – Jakież problemy, kapitanie Martin?

–Jest tu pułkownik Farquharson, sir, który nalega, abym sprawdził tożsamość u pana.

–Dostaje pan instruktaż zabezpieczeń? – głos nabrał współczującego brzmienia.

–Obawiam się, że tak, sir.

–Pułkownik jest bardzo czuły na punkcie zabezpieczeń... Jest z nim podpułkownik Dewings i major Brackley?

–Yes, sir.

–Moje współczucie, ale to nie pan, lecz on ma rację. Pułkownik Farquharson osobiście usiadł za kierownicą wozu, którym odbyli trzymilową podróż do właściwego magazynu, mając obok siebie markotnego Martina. Arsenał otaczał czteroipółmetrowy płot drucziany pod napięciem, sama zaś budowla zajmowała prawie pół akra ziemi. Był to przysadzisty budynek szarej barwy, pozbawiony okien. Przy wjeździe stał wartownik z karabinem maszynowym. Rozpoznał kapitana Martina, toteż odsunął się bez słowa, salutując. Wóz zatrzymał się przed jedynymi drzwiami budynku.

–Major Brackley nigdy nie był we wnętrzu magazynu taktycznej broni atomowej – odezwał się Farquharson. – Czy zechciałby pan służyć mu za przewodnika, kapitanie?

Przewodnik potrzebny był również i jemu, jako że i on nigdy dotąd nie był w jakimkolwiek arsenale.

–Yes, sir. Ściany o grubości osiemdziesięciu centymetrów – hartowana stal i żelazobeton; drzwi – dwadzieścia pięć centymetrów tung-stenu. Ściany i drzwi są w stanie wytrzymać trafienie równowartością czternastocalowego pocisku przeciwpancernego. Ta tafla szkła pancernego jest wizjerem wideokamery, a to jest dwustronny głośnik z rejestracją naszych głosów...

Wdusił zatopiony w ścianie przycisk.

-Identyfikacja? – rozległ się głos.

-Kapitan Martin i pułkownik Farquharson z inspekcją bezpieczeństwa.

-Hasło?

-Jeronimo.

Masywne drzwi drgnęły przy akompaniamencie szumu elektrycznego silnika. Całkowite ich otwieranie trwało dziesięć sekund. Martin wprowadził ich do wnętrza. Przy wejściu oczekiwał ich wyprężony kapral, nie wyglądający na zbyt szczęśliwego.

-Obawiacie się czegoś, żołnierzu? – zapytał Farquharson.

-Nie, sir. 6 -Wiedźma Monira

–To powinniście zacząć.

–Coś nie w porządku, sir? – zapytał nerwowo Martin.

–Cztery rzeczy...

Martin nerwowo przełknął ślinę. Jedno niedociągnięcie było już wystarczająco fatalne, a cztery...

–Po pierwsze: brania wjazdowa powinna być zawsze zamknięta, a otwierana jedynie po telefonie z dowództwa – w biurze trzeba zainstalować dodatkowe połączenie tylko temu służące. Co powstrzymałoby kogoś zaopatrzonego w broń z tłumikiem przed zlikwidowaniem warty i podjechaniem wprost tutaj? Po drugie: co przeszkodziłoby ludziom uzbrojonym w pistolety maszynowe, aby w tej chwili podejść tutaj, do otwartych drzwi, i wytłuc nas co do nogi? Te drzwi powinny być zamykane z chwilą, gdy tylko przez nie się przejdzie...

Kapral drgnął, ale pułkownik powstrzymał go stanowczym gestem dłoni i ciągnął dalej:

–Po trzecie: wszyscy, którzy nie wchodzi w skład stałego bazowego personelu – tak jak my właśnie – winni mieć pobierane przy wjeździe odciski palców. Zorganizujcie szkolenie wartowników na ten temat. Po czwarte i najważniejsze, pokażcie mi konsolę sterującą drzwiami...

–Tędy, sir – kapral zaprowadził ich do małej konsolki. – Zielony guzik zamyka, czerwony otwiera.

Farąharson nacisnął zielony guzik i masywne drzwi zaczęły się zamykać.

–Całkowicie niezadowolające... To jedyne stanowisko operacyjne?

–Yes, sir – Martin był zupełnie nieszczęśliwy.

–Trzeba zainstalować połączenie ze sztabem, przez które będzie można przerwać obwód do chwili przesłania właściwego sygnału. Sądziłem, że rzeczy tak ewidentne są już dawno...

–Teraz już tak, sir – wykrztusił Martin.

–Jaki procent zapasów ma charakter broni konwencjonalnej?

–Prawie dziewięćdziesiąt pięć, sir.

–Chciałbym najpierw obejrzeć broń nuklearną.

–Oczywiście, sir – całkowicie zdezorientowany Martin pokazał drogę.

Magazyn pocisków atomowych był oddzielną częścią arsenału, ale nie był chroniony żadnymi dodatkowymi zabezpieczeniami. Jedna ze ścian wypełniona była stojakami z pociskami artyleryjskimi, pod drugą stały bomby lotnicze, rakiety średniego kalibru i gruszkowate metalowe kanistry, wysokie na trzydzieści cali, z przyciskami, tarczą zegarową i dużym pokrętkiem na górze. Za każdym z nich znajdowała się skórzana walizka z dwoma solidnymi uchwytami.

–Co to jest? – zainteresował się Brackley. – Bomby?

–Odpowiedniki min i bomb – Martin był uszczęśliwiony, że może mówić o czymś innym niż niedopatrzenia. – Na górze są kontrolki, bardzo proste w obsłudze. Najpierw trzeba odkręcić te przezroczyste osłony, wtedy odsłania się czerwone przyciski. Następnie trzeba przekręcić przyciski o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, a następnie o dziewięćdziesiąt stopni w lewo – to jest pozycja gotowości do aktywizacji. Zanim się je włączy, należy ustawić czas opóźnienia – to następuje przez manipulację górnym pokrętkiem. Całkowity obrót oznacza jedną minutę, co widać dokładnie na tej tarczy. Można opóźnienie ustawić także w sekundach, a maksymalny czas wynosi trzydzieści minut.

–A ten czarny przycisk?

–Jest najważniejszy z nich wszystkich. Może się zdarzyć, że w pośpiechu trzeba będzie ładunek unieszkodliwić – wystarczy wcisnąć ten właśnie przycisk i to zatrzymuje całą operację, następuje dezaktywacja bomby.

–Jaki daje promień zniszczeń?

–Niewielki, około jednej czwartej mili. Fala uderzeniowa oraz opad promieniotwórczy będą oczywiście obejmowały większy obszar.

–Mówił pan, że mogą być używane jako miny?

–Powinienem raczej powiedzieć, że jako ładunki wybuchowe na lądzie – jako bomby mogą być opóźnione nie więcej niż o sześć sekund – bomby taktyczne przenoszone przez nisko lecące odrzutowe myśliwce bombardujące, którą muszą zdążyć oddalić się o przeszło milę od zagrożonego terytorium, zanim nastąpi wybuch, same zaś poruszają się na tyle szybko, że fala uderzeniowa ich nie dogoni. Znajdujące się tutaj rakiety...

–Usłyszeliśmy już wystarczająco dużo – powiedział Farquharson, wyjmując pistolet. – Teraz będzie pan uprzejmy podnieść ręce do góry...

Pięć minut później, przy milczącej pomocy wściekłego kapitana Mar-tina zapakowali dwa kanistry do walizek, a te do bagażnika samochodu. W trakcie tego stało się jasne, dlaczego walizka miała aż dwa uchwyty – każda ważyła co najmniej czterdzieści kilogramów.

Farąharson wrócił do środka, obejrzał związanego kaprała, wcisnął zielony klawisz i przeszedł przez otwór wejściowy, nim drzwi zdążyły się zamknąć. Poczekał, aż to nastąpi, i wsiadł na przednie

siedzenie samochodu, obok zajmującego miejsce przy kierownicy Martina.

–Pamiętaj, jeden fałszywy ruch i jesteś trupem... Oczywiście, wtedy będziemy musieli zabić i wartownika...

Nie było fałszywych ruchów. Mniej więcej milę od budynku wóz zatrzymał się w przydrożnych krzakach. Martin został odprowadzony w głąb zarośli, związany, zakneblowany i przywiązany do pnia niskiego drzewa, co miało przeszkodzić mu w wypełnieniu na szosę – ostatecznie mogło go coś przejechać...

–Wasze zabezpieczenia są do chrzanu – poinformował go na koniec Farąuharson. – Zadzwonimy do sztabu za jakąś godzinkę i poinformujemy ich, gdzie można cię znaleźć. Mam nadzieję, że nie ma tu zbyt wielu żmij...

Rozdział szósty

Robertson spojrzał na Mitchella.

–McGarity – oznajmił. Mitchell wziął słuchawkę.

–Mitchell? Znaleźliśmy samochód porywaczy przy bagnisku Wyan-ne – w głosie zabrzmiała autentyczna duma. – Jadę tam teraz z psami. Poczekam na skrzyżowaniu Walput Tue.

Mitchell odłożył słuchawkę.

–McGarity znalazł wóz – powiedział Roomerowi. – To znaczy, znalazł go ktoś inny, ale oficjalnie dokonał tego McGarity. Temu durniowi nie wpadło oczywiście do głowy, że tylko komplikuje sprawę! Do tej pory wiedzieliśmy chociaż, czego szukamy.

–Nie wspomniał mimochodem o zabraniu fotografa z tej gazety, do której przypadkowo wpadł? – zainteresował się Roomer.

–Wspomniał jedynie o psach.

–A nie zająknął się, na podstawie czego psy mają podjąć ślad? – Roomer potrząsnął głową.

Mitchell zrobił to samo i wywołał Jenkinsa.

–Mógłbyś poprosić tu Louise? Dziewczyna zjawiała się bardzo szybko.

–Potrzebujemy coś z odzieży, której dziewczęta używały na co dzień –

poinformował ją Roomer.

–Nie rozumiem...

–Coś, co moglibyśmy podsunąć psom do powąchania, żeby podjęły trop w lesie czy na bagnisku.

–Och! – namyślała się ledwie sekundę. – Ich koszule nocne, rzecz jasna!

Z tonu jej wypowiedzi można by wywnioskować, że obie dziewczyny prawie nie zdejmowały tych koszul z siebie i pałętały się w nich wszędzie, całymi dniami.

–Proszę w miarę możliwości nie dotykać ich ponad niezbędne minimum i każdą zapakować do oddzielnego foliowego worka.

Wóz policyjny i kryta policyjna furgonetka czekały na nich przy skrzyżowaniu Walput Tue. McGarity stał obok samochodu. Był to niski grubas roztaczający nachalnie wkoło aurę człowieka dobrej woli i przestający się uśmiechać jedynie w tych chwilach, gdy zarzucano mu, nie-zasłużenie, rzecz jasna, korupcję. Bycie okręgowym szefem policji zawdzięczał swej niekompetencji połączonej z niezłym ogólnym doświadczeniem życiowym i skłonności do ulegania pokusom stanowiska. Potrząsnął prawicami Mitchella i Roomera z wdziękiem i kordialnością kandydata szykującego się do kampanii wyborczej, którym to kandydatem był naprawdę.

–Cieszę się, że wreszcie panów poznałem. Słyszałem o was wiele dobrego – najwyraźniej cierpiał na zaniki pamięci. Na jego biurko systematycznie trafiały przecież raporty mówiące o działalności obu detektywów i nie były to raporty pochwalne. – Doceniam waszą współpracę w tej sprawie. To jest Ron Steward z „Heralda” – wskazał przez uchylone okno mężczyznę, który uginał się pod ciężarem sprzętu fotograficznego. – Przypadkiem... hmm... wpadliśmy na siebie...

Mitchell parsknął, wprawnie symulując jednak napad kaszlu.

–Za dużo papierosów – dodał tonem wyjaśnienia.

–Bywa. Kierowca jest przewodnikiem. Jedźcie po prostu za nami. Pięć mil dalej osiągnęli jedną z wielu dróg prowadzących w samo serce bagien Wyanne. Zbiegające się ponad drogą korony drzew ograniczały dopływ światła i droga pogrążona była w półmroku; natychmiast też dał się wyczuć typowy dla mokradeł odór zgnilizny, temperatura wzrosła wyraźnie. Nie było to ani przyjemne, ani, na dłuższą metę, zdrowe, ale przecież w takich właśnie warunkach żyło tu wielu ludzi, którzy, sparzywszy się na mirażach cywilizowanego świata, zapragnęli odrobiny samotności. Wyboista nawierzchnia nie wpływała dobrze na resory, szczęśliwie już po kilkuset metrach minęli ostry zakręt, za którym przegradzał drogę porzucony minibus.

Najważniejsze, co należało zrobić, to były zdjęcia. Drugą istotną sprawą było to, aby na każdym z nich McGarity był doskonale widoczny. Po wykonaniu swego zbożnego dzieła fotograf, przepelniony jak szambo ważnością, ruszył pewnie do tyłu pojazdu, by otworzyć drzwiczki. Już sięgał do klamki, gdy Roomer powstrzymał go pewnym chwytem za nadgarstek.

–Nie rób tego!

–A bo co?

–Nigdy dotąd nie zdarzyło ci się być na miejscu przestępstwa w trakcie śledztwa? Odciski palców! – spojrzał na McGarity "ego. – Kiedy przyjedzie ekipa?

–Chyba wkrótce. Są na oględzinach. Ron, sprawdź, co z nimi. – Ostatnie zdanie skierowane było do kierowcy, który natychmiast zajął się radiem.

Oczywiście pomysł wzięcia ze sobą specjalisty od daktyloskopii nie zaświtał nawet w głowie McGarity'ego. Wypuszczono psy, a Roomer i Mitchell wyjęli z foliowych worków koszule dziewczyn i dali zwierzętom do powąchania.

–Co tam macie? – zainteresował się McGarity.

–Nocne koszule. Należały do dziewczyn. Chcemy pomóc psom złapać trop. Wydawało nam się, że będzie to wskazane...

–Oczywiście, ale nocne koszule! – McGarity był niezłym aktorem, bowiem to, rzecz jasna, również nie wpadło mu do głowy.

Psy szybko złapały ślad i ruszyły przed siebie z nosami przy ziemi. Spacer nie trwał zbyt długo, bowiem po osiemdziesięciu mniej więcej metrach droga skończyła się przegrodzona sześciometrowym zamulonym strumieniem. Po obu stronach widniały wbite w ziemię i wytarte od częstego używania słupy 'cumownicze, zaś przy przeciwnym brzegu przycumowana była wiekowa jednostka pływająca, której w żaden sposób nie można było określić mianem łodzi. Wyglądało to jak stara trumna z przegniłą dechą w miejscu dzioba. Ten, jak można było się domyślać, niegdysiejszy prom, połączony był z brzegami za pomocą dwu lin obwiązanych wokół drzew.

Przewodnicy psów przyciągnęli go ze zrozumiałą ostrożnością. Podczas przeprawy psy wykazywały narastające zniecierpliwienie, które wygasło jednak po dotarciu na miejsce. Po kilku bezowocnych okrążeniach zde gustowane psy przysiadły na ziemi.

–Co za szkoda – rozległ się nagle czyjś głos. – Powiedziałbym, że trop po prostu diabli wzięli...

Czterech mężczyzn (plus psy) odwróciło się gwałtownie starając się zlokalizować autora tych słów. Okazał się nim być malowniczy osobnik w nowej panamie, lśniących aż do przesady butach z cholewami (przypuszczalnie mającymi chronić przed wężami) i ogólnie zniszczonej reszcie odzieży wierzchniej.

–Gonicie kogoś panowie?

–Szukamy – odpowiedział ostrożnie McGarity.

–Policja?

–Szef policji, McGarity.

–Czuję się niewątpliwie zaszczycony. Cóż, moim zdaniem to tylko tracicie tu czas. Tu ślad jest, po drugiej stronie się urywa, a zatem ci, których szukacie, doszli najpewniej tylko do połowy drogi.

–Widział ich pan? – podejrzliwie spytał McGarity.

–Aha, rozumiem, że było ich więcej, niż jeden. Nie, sir. Zjawiłem się tutaj dopiero przed chwilą, ale gdybym uciekał przed panem, właśnie tak bym postąpił. To stara metoda. Wysiada się pośrodku nurtu i maszeruje z milę w górę lub w dół strumienia. Do tego tu wpada kilka tuzinów innych i nic prostszego, jak skrócić w któryś z dopływów i zagłębić się w bagna. Nie znajdziecie ich nawet do Bożego Narodzenia...

–Jak głęboki jest ten strumień?

–Może z pół metra.

–To po co łódź? Mam na myśli, że przecież w takich butach, jak pańskie, może pan przejść nie mocząc stóp.

Przybysz wyglądał na lekko zaszokowanego.

–Serdeczne dzięki. Każdego ranka czyszczę je aż do połysku.

–Należało przyjąć, że mówi raczej o swoich butach, nie o nogach.

–Poza tym są tu węże wodne...

Wyglądało na to, że sama wzmianka o'wężach dodaje mu odwagi, jak nic na świecie.

–Poza tym, gdy przychodzą deszcze, woda sięga aż potąd – dodał, przytulając dłoń do klatki piersiowej.

McGarity zwoływał swoich ludzi, Roomer tymczasem zapytał cicho:

–Czy są miejsca na tych bagnach, gdzie mógłby wylądować helikopter?

–I to ile! Tu jest więcej suchego gruntu, niż bagien. Wprawdzie żadnego helikoptera nigdy tu nie widziałem, ale miejsca jest do cholery!

Przewodnicy z psami ruszyli ku furgonetce, gdy Mitchell odezwał się nagle:

–Poczekajcie chwilę, mam pomysł...

Ponownie otworzył torby ze strojami dziewcząt i podsunął psom. Te ruszyły pewnie, mijając oba wozy i ze skowytem rzucając się naprzód. Ciągnęły przewodników na linkach ze trzydzieści metrów, aż nagle usiadły skowycząc. Mitchell przykucnął i zbadał nawierzchnię drogi. Pozostali szybko dołączyli do niego.

–I co tam się dzieje? – spytał McGarity.

–Ano był tu jeszcze jeden samochód. Widać, gdzie tylne koła buksowały przy cofaniu... Porywacze przewidzieli, że użyjemy psów, więc przeprowadzili dziewczyny do rzeki i z powrotem, aby nas zmylić.

–Wcale nieźle, Mr Mitchell – McGarity bynajmniej nie wyglądał na zadowolonego. – A zatem ptaszki wyfrunęły? Nawet nie wiemy, jak wygląda ich nowy samochód...

–Ktoś odfrunął – mruknął Roomer. – Ale niekoniecznie wszyscy... Może pojechali pożyczyć helikopter?

–Helikopter? – Woda wcale nie musiała być głęboka, aby McGarity zaczął w niej pływać.

–To może być podwójny blef – oznajmił Mitchell ze śladami lekkiego zniecierpliwienia w głosie. – Mogło być jeszcze inaczej na przykład, że zabrali dziewczyny na bagna czekając na helikopter, który ma ich stamtąd zabrać... Słyszał pan tego tam? Mówił, że tam jest masa miejsc nadających się na lądowisko...

McGarity skinął głową. Czuł, że nadszedł czas na podjęcie decyzji.

–Bagna odpadają... – stwierdził. – To byłoby beznadziejne. Skoncentrujmy się na helikopterze...

–Co pan proponuje? – spytał uprzejmie Mitchell.

–Pozostawcie to mnie.

–To nie fair. Obdarzyliśmy pana zaufaniem... Czy nie sądzi pan, że należy nam się chociaż wyjaśnienie?

–Cóż... – McGarity wyglądał na zaskoczonego, choć w rzeczywistości był przyjemnie polechtany tym zapytaniem i Roomer doskonale zdawał sobie z tego sprawę. – Jeśli helikopter dotąd nie przyleciał, to nie mógł ich zabrać, no nie?

–Fakt – przyznał Roomer.

–Więc po prostu obstawię bagna snajperami. Zestrzelenie nisko lecącej maszyny nie powinno być trudne...

–Nie robiłbym tego na pana miejscu – ostrzegł grobowym tonem Mitchell.

–W rzeczy samej – zgodził się ponuro Roomer. – Wyroki za morderstwo są w tym stanie bardzo surowe...

–Morderstwo? Kto tu mówi o morderstwie?

–My – odparł Mitchell. – Karabin lub pistolet maszynowy może zabić kogoś wewnątrz helikoptera, a jeśli uszkodzony zostanie wirnik, to najpewniej zginą wszyscy obecni na pokładzie. Pilot będzie prawdopodobnie zupełnie obcym człowiekiem, któremu przyłożą broń do głowy. Nie przyczyniłoby się to do wzrostu naszej popularności, prawda?

McGarity drgnął. O tym, rzecz jasna, nie pomyślał, a na samo wspomnienie jakiegokolwiek niepopularności w okresie przedwyborczym robiło mu się słabo.

–No to co, do diabła, mamy robić?

–A skąd ja mam wiedzieć? – zdenerwował się Mitchell. – Może pan ustawić obserwatorów, może pan trzymać w pogotowiu własny helikopter, aby ścigać ten, który przyleci... Jeśli przyleci... Przecież to tylko nasze domysły...

–Nic tu po nas – wtrącił się nagle Roomer. – I tak straciliśmy już dziś zbyt wiele czasu. Będziemy w kontakcie.

–Jak sądzisz, czy McGarity sprawdziłby się jako rakarz? – zapytał Mitchell, gdy wyjechali już na autostradę.

–Po miesiącu miasto byłoby opanowane przez dziczące psy. Wierzysz w ten pomysł z helikopterem?

–Owszem. Gdyby chcieli tylko zmienić wozy, nie zadawaliby sobie tyle trudu, a poza tym mogliby zrobić to praktycznie w każdym miejscu. Postarali się zasugerować nam, jakby chcieli się przez jakiś czas ukryć na bagnach. Nie mogli przewidzieć tego, co znaleźliśmy w sypialni...

–Tak, jesteśmy dziwnie pewni, że chodzi o „Seawitch”... Tak samo jak tego, że użyją helikoptera. O jakiego pilota i maszynę postarałbyś się na ich miejscu?

–O pilota i maszynę lorda Wortha. Nie dość, że jego ludzie dokładnie znają położenie platformy, to jego helikoptery mogą się tam zbliżać bez wzbudzania podejrzeń.

Roomer wziął mikrofon i nastawił częstotliwość radiostacji Wortha.

–Jim?

–Przy aparacie.

–Wracamy. Poszukaj książki adresowej lorda, powinna być w ra-diokabinie. Wypisz

nazwiska i adresy jego pilotów helikopterowych. Czy wartownia przy lotnisku ma radiotelefon?

–Ma.

–Postaraj się o numer.

–O.K.

–Nadal myślisz, że nie powinienem informować Łarsena o tych podejrzeniach? – zapytał Mitchella.

–Oczywiście, że nie. „Seawitch” to jego dziecko i obawiam się, że powitanie, które wtedy by zgotował, mogłoby być nieco zbyt entuzjastyczne. Jak wyobrażasz sobie wyjaśnienie lordowi, dlaczego jego córki znalazły się nagle w krzyżowym ogniu karabinów maszynowych? Albo jak ty się pogodzisz z faktem, że Melinda ma kulę w płucu? Roomer zignorował pytanie.

–Co będzie, jeśli pomyliliśmy się w kwestii pilotów?

–Powiemy o wszystkim asowi detektywistyki.

–Lepiej, żebyśmy nie musieli.

Nie musieli. Tyle, że i tutaj przybyli za późno.

John Campbell był zagorzałym rybakim i równie zagorzałym czytelnikiem. Dość dawno temu opanował technikę umożliwiającą mu godzenie obu tych przyjemności. Strumień, słynący z obfitości ryb, płynął zaledwie w odległości sześciu metrów od werandy jego domu. Nad nim też siadywał w turystycznym foteliku z książką w dłoni i wędką moczącą się w wodzie. Parasol dawał cień a cała sytuacja była wysoce relaksująca. Campbell wyglądał na całkowicie zadowolonego z życia, gdy w polu jego widzenia pojawił się Durand z jednym ze swoich towarzyszy. Obaj byli zamaskowani i mieli broń. Campbell wstał nie wypuszczając książki z dłoni.

–Kim jesteście i czego tu chcecie?

–Ciebie. Ty jesteś Campbell, no nie?

–I co z tego, nawet jeśli to prawda?

–Chcielibyśmy, abys wykonał dla nas małą robótkę.

–Jaką robótkę?

–Polatał trochę dla nas helikopterem.

–Niech mnie diabli, jeśli to zrobię!

–A więc na pewno jesteś Campbell. Idziemy!

Stosując się do bliżej nieokreślonych gestów wezwany ruszył za nimi. Przez chwilę znajdował się bardzo blisko broni Duranda i natychmiast skorzystał ze sposobności, uderzając właściciela kantem dłoni w nadgarstek. Uderzony jęknął i wypuścił pistolet z ręki, zaś w sekundę potem obaj, spleceni, kopiący i gryzący, tarzali się po ziemi okazując całkowitą pogardę dla sportowych reguł walki. Zmieniali pozycje tak często, że wspólnik Duranda nie mógł znaleźć okazji do interwencji. Szybko jednak sprawa się wyjaśniła – niesportowe acz skuteczne użycie prawego kolana zgięło Duranda w nagłym ataku przejmującego bólu. Miał jeszcze na tyle świadomości, by złapać Campbella za koszulę. Upadek Campbella był tym samym i dosłowny, i przenośny, umożliwił bowiem uderzenie go kolbą pistoletu w ciemię.

Człowiek, który go ogłuszył, odciągnął bezwładne ciało i pomógł współnikowi wstać – jego głowa nadal pozostawała odchylona od pionu o jakieś czterdzieści stopni. Ściągnął maskę i kurczowo zaczął łapać powietrze. Był dość przystojnym Latynosem, nie wykrzywił twarzy dla podkreślenia bólu, tylko prostował się cał po calu, aż oddech unormował się w miarę i można było pomyśleć spokojnie o Campbellu. Ze wstępnych deklaracji wynikało, że zamiary ma mało samarytańskie.

–To już może następnym razem, Mr Durand. Z łóżka szpitalnego nie można pilotować helikoptera...

–Mam nadzieję, że nie uderzyłeś go zbyt mocno?

–Ledwie go musnąłem...

Durand, odchylony już teraz zaledwie o dwadzieścia stopni od pionu, dotarł w końcu do wozu, skąd z satysfakcją przyglądał się operacji unieruchamiania Campbella i umieszczania go na podłodze z tyłu wozu. Przykryto go kocem, a na nim spoczęły stopy Duranda, który chwilowo nie był jeszcze w stanie siedzieć całkiem prosto. Napastnicy, rzecz jasna, zdjęli już maski, bowiem nawet w miłującym wolność stanie Floryda, człowiek prowadzący samochód w wełnianej masce na twarzy, może przypadkiem zwrócić na siebie więcej niż tylko przelotną uwagę.

Mitchell spojrzał na podaną mu przez Robertsona listę.

–Dobra, ale co znaczą te gwiazdki przy pięciu nazwiskach?

–Mam nadzieję, że nic nie spieprzyłem – odezwał się przepaszająco radiooperator.
– Pozwoliłem sobie zadzwonić do tych panów i sprawdzić, czy będą w domach, gdy do nich pojedziecie. Założyłem, że w następnej kolejności poprosicie o ich adresy i...

–Dlaczego, do cholery, nie pomyślałeś o tym? – Mitchell spojrzał wściekle na Roomera.

Ten odwzajemnił się lodowatym spojrzeniem.

–Może powinienem zmienić wspornika... Co znalazłeś? – zapytał Robertsona.

–Jeden jest na lotnisku, czterech powinno być w domach. Powinno, bowiem jeden nie daje znaku życia. To John Campbell. Pytałem o niego jednego z pozostałych i wydawał się być zdziwiony. Mówił, że Campbell przeważnie spędza popołudnia łowiąc ryby na tyłach swego domu. Jest kawalerem i mieszka w dość odosobnionym miejscu...

–Samotny i odizolowany – mruknął Roomer. – Porywacze zdają się mieć doskonały wywiad. To, że nie odebrał telefonu, o niczym jesz92

«

cze nie świadczy, mógł iść na zakupy, na spacer czy do przyjaciół... Z drugiej jednak strony...

–Właśnie, z drugiej strony – przytaknął Mitchell i zwrócił się do Robertsona:

–Czy strażnik przy bramie ma telefon?

–Tu jest numer.

–Może powinniśmy wziąć cię na wspornika...

Mitchell i Roomer stali na werandzie domu Campbella, beznamiętnie obserwując otoczenie. Turystyczny fotel miał złamaną nogę, parasol leżał na trawie obok pogniecionej książki, zaś wędka dawno zniknęłaby w strumieniu, gdyby nie linka uwiązana do całej nogi fotela. Wzruszając z rezygnacją ramionami Mitchell ruszył do telefonu.

–Lądowisko lorda Wortha, Jonie przy aparacie – rozległo się w słuchawce.

–Nazywam się Mitchell. Czy jest u pana policja?

–Mr Mitchell? Przyjaciół lorda Wortha?

–Tak.

–Jest tu sierżant Roper.

–Tylko? Chciałbym z nim porozmawiać.

Nastąpiła krótka przerwa, zanim Roper znalazł się przy telefonie.

–Mikę? Miło mi cię słyszeć!

–Słuchaj, bo to ważne. Mówię z domu Johna Campbella, jednego z pilotów Wortha. Został porwany prawie na pewno przez tych samych ludzi, którzy porwali córki lorda. Mam wszelkie powody, by sądzić, że zmierzają teraz w twoją stronę, by porwać jeden z helikopterów i zmusić Campbella, by go pilotował. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Powiem ci tylko, że jest ich zapewne dwóch, obaj uzbrojeni i niebezpieczni. Proponuję, byś natychmiast zadzwonił po pomoc. Jeśli ich dorwiemy, to dowiemy się czegoś, chociażby gdzie trzymają dziewczyny...

–Posiłki są w drodze, a ja będę uważał. Mitchell przerwał połączenie.

–Jesteś przygotowany na wszystko, aby dowiedzieć się tego, na czym zależy nam najbardziej? – spytał spokojnie Roomer.

–Nie mogę się doczekać. A ty?

–Mogę, ale i tak pojedę z tobą.

–Ruszamy.

Raz jeszcze ich domysły były w pełni uzasadnione, ale raz jeszcze byli spóźnieni.

Całą drogę na lotnisko Mitchell przejechał z całkowitym i wręcz bezczelnym brakiem poszanowania dla przepisów drogowych, szczególnie często zaś naruszał ograniczenia prędkości. Jednakże gdy dojechali na miejsce, okazało się, że trud ten i tak poszedł na marne. Powitało ich pięciu mężczyzn i nie było to na pewno owacyjne przyjęcie: Jonie i Ro-per przez cały czas masowali nadgarstki w towarzystwie trzech policjantów.

–Nie musisz nic mówić – stwierdził Mitchell zmęczonym głosem.

–Dostali nas, zanim przybyły posiłki...

–Ano – twarz Ropera była czerwona ze złości. – Ledwie zdołałem odłożyć słuchawkę, gdy jakiś samochód podjechał pod same drzwi. Kierowca miał chyba coś w rodzaju kataru, trzymał przy twarzy całą garść chusteczek...

–Nie rozpoznałbyś go – przerwał Roomer tonem stwierdzenia.

–Właśnie. Patrzyliśmy na niego, gdy głos z tyłu, od strony otwartego okna, poinformował nas, abyśmy się nie ruszali. Potem kazał nam odpiąć pasy z bronią, nie był dalej niż jakieś półtora metra... Zrobiliśmy, co chciał, martwi bohaterowie nie przydają się nikomu... Kazał nam się odwrócić, na twarzy miał maskę. W tym czasie kierowca też założył swoją i przyszedł nas ładnie związać.

–Po czym związali was razem, abyście nie wpadli na jakiś zabawny pomysł w towarzystwie telefonu?

–Tak właśnie było, chociaż o telefon nie musieli się kłopotać... Przecięli kable zanim wyszli.

–Odlecieli natychmiast?

–Po pięciu minutach. Piloci zawsze meldują przez radio o celu podróży. Sądzę, że zmusili Campbella do tego samego.

–To nam nic nie da – Mitchell wzruszył ramionami. – Mogli skłamać cokolwiek. A jak z paliwem w helikopterze?

–Zawsze baki pełne. Polecenie lorda Wortha...

–Tam – Jonie wskazał północny zachód.

–Cóż, możemy z powodzeniem ruszać w dalszą drogę.

-Tak sobie? – zdumiał się Roper.

-Oczekujesz, że zrobimy to, czego nie była w stanie dokonać policja?

-Na początek można wezwać lotnictwo...

-Po co? – Żeby ich zmusili do lądowania.

-Modny temat – westchnął Mitchell. – A co, jeśli nie posłuchają?

-Można ich zestrzelić...

–Z córkami lorda Wortha na pokładzie? Nie byłby zbyt zadowolony z takiego obrotu sprawy. Ty chyba też nie... Pomyśl o tych wszystkich bezrobotnych policjantach, od których zarobiłoby się potem w okręgu...

–Córki lorda Wortha?

–To ta rutyna policyjna – wyjaśnił Roomer. – Osłabia czynności mózgu. A kogo innego, według ciebie, mieli zabrać po drodze?

–Tam – stwierdził Roomer, wyjeżdżając z lotniska. – Północny zachód. Bagna Waynee...

–Nawet gdyby polecili na południowy wschód, to i tak by tam w końcu skręcili – mruknął Mitchell. – Czujesz się na siłach, by usłyszeć nastrojowy głos McGarity'ego?

–Głos jak głos, chodzi o procesy myślowe... Cóż, należy spróbować – nie musiał wyjaśniać, o czyich procesach myślowych mówi.

Zatrzymali się przy najbliższej budce telefonicznej. Roomer spędził w niej kilka minut.

–Campbell podał jako cel podróży „Seawitch” – oznajmił po powrocie.

–Ktoś o coś pytał?

–Nie bardzo. Powiedziałem im, że jakiś dureń się pomylił, a każdy, kto zna McGarity'ego, będzie wiedział, o kogo chodzi.

Mitchell włączył silnik, gdy rozległ się brzęczyk radia i trzeba było zająć się słuchawką.

–Mówi Jim. Staralem się złapać was kwadrans temu i przed dziesięcioma minutami...

–Byliśmy poza wozem. Znów złe wieści?

–O ile obecności lorda nie uważacie za klęskę, to na razie nie. Ląduje za kwadrans.

–Mamy czas...

–Powiedział, że wraca do domu.

–Kazał podstawić rollsa?

–Nie, pewnie chce z wami porozmawiać. Wygląda też na to, że chce na krótko wyjechać. Kazał spakować rzeczy na tydzień.

–Siedem białych garniturów... – Mitchell odwiesił słuchawkę.

–Chyba i my będziemy musieli się spakować – mruknął domyślnie Roomer.

Mitchell skinął głową i ruszył.

Zasiadając z tyłu ich wozu lord Worth znów był sobą. Nie odzyskał jeszcze całkiem normalnego stanu zadowolenia, ale był spokojny, pogodny, i, sądząc po wyglądzie, zdrowy i wyspany. Opowiedział im o swoim sukcesie w Waszyngtonie, czego zdawkowo acz uprzejmie mu pogratulowali. Następnie oni poinformowali go szczegółowo o tym, co miało miejsce pod jego nieobecność, i tym razem gratulacji nie było.

–Oczywiście poinformowaliście Larsena o swoich przypuszczeniach?

–To nie przypuszczenia, ale pewność – poprawił go od razu Mit-chell. – I oczywiście nic mu nie powiedzieliśmy. Ja jestem za to osobiście odpowiedzialny.

–Bierzesz stanowienie praw w swoje ręce? Mógłbyś powiedzieć mi dlaczego?

–Zna pan Larsena lepiej od nas i wie pan, jak on traktuje „Sea-witch”. Osobiście mówił nam pan o jego porywczoci i brutalności. Czy sądzi pan, że Larsen czekałby spokojnie na porywaczy nie przygotowując im gorącego powitania? Pociski, odłamki i rykoszety nie mają względów dla nikogo. Chciałby pan mieć kaleką córkę, lordzie Worth? My wolimy, aby porywacze zajęli przyczółek bezkrwawo...

–Zapewne mieliście rację – słowa te zostały wypowiedziane bez zbytniego ciepła. – Ale teraz informujcie mnie na bieżąco o waszych zamierzeniach i decyzjach. Żadnego działania na własną rękę, słyszycie?

Roomer z sardonicznym zadowoleniem stwierdził, że lord nie miał zamiaru rezygnować z ich bezpłatnych usług. Skinął z uznaniem głową, gdy Mitchell zgasił silnik i odwrócił się, spoglądając na Wortha z zimnym cynizmem.

–Nieźle powiedziane... – mruknął.

–Co pan przez to rozumie? – w lodowatym głosie dawało się wyczuć dziedzictwo piętnastu pokoleń góralskiej szlachty.

Mitchella nie wzruszyło to ani trochę.

–Myślę o samodzielnym stanowieniu praw. Jeśli wziąć pod uwagę włamanie i rabunek broni z arsenału rządowego ubiegłej nocy, to pańskie słowa brzmią dość osobliwie... Gdybyśmy byli uczciwymi obywatelami, bądź miłującymi prawo detektywami, wsadzilibyśmy pana za kratki, a nawet miliardery nie wychodzą łatwo z takich spraw, zwłaszcza jeśli doda się napad na strażników. John i ja byliśmy tam...

Mitchell nie miał zbyt wielu skrupułów moralnych, szczególnie, gdy wskazana była

improvizacja.

–Byliście tam? – Było to nadzwyczaj rzadkie, ale lord Worth naprawdę nie wiedział, co powiedzieć. Po chwili jednak się opanował. – Ale mnie tam nie było!

–Wiemy o tym. Wiemy także, że pozwolił pan na to włamanie, a raczej nakazał je pan.

–Pierdoły! Poza tym jeżeli byliście świadkami, to dlaczego nie zapobiegliście napadowi?

–Instynkt samozachowawczy. Znamy swoje możliwości. W przypadku dziewięciu fachowców uzbrojonych w pistolety maszynowe...

To stwierdzenie trochę powstrzymało lorda – liczba napastników się zgadzała.

–Przypuśćmy, że te brednie są prawdą. Jak, na miłość boską, powiązaliście to ze mną?

–Teraz to pan gra durnia. Byliśmy także na lądowisku. Widzieliśmy przybycie i wyładunek ciężarówki oraz załadunek nie najgorszego arsenału na pokład pańskiego helikoptera. Potem jeden z napastników odprowadził ciężarówkę, była wojskowa, do arsenału, z którego została zabrana. Pozostała ósemka wsiadła do drugiego helikoptera. Później przyjechał mikrobus z dwunastoma oprychami, którzy dołączyli do reszty. Rozpoznaliśmy przynajmniej pięciu z nich. Dwóch sami w swoim czasie wsadzaliśmy do pudła...

Roomer spojrział na niego z uznaniem, ale Mitchell zwracał teraz uwagę wyłącznie na Wortha, a jego głos i spojrzenie wyprane były z jakichkolwiek uczuć.

–To był dla nas szok! Lord Worth zadaje się ze zwykłymi kryminalistami! Zaczyna się pan pocić... Dlaczego?

Zapytany nie uznał za stosowne poinformować ich, dlaczego się poci.

–W końcu, rzecz jasna, przyjechał pan rollsem. Jedno z najlepszych ujęć, jakie nakręciliśmy naszą podczerwoną kamerą...

Roomer drgnął, ale tego, że lord wierzy Mitchellowi, nie można było podawać w najmniejszą wątpliwość. Wszystko, co Mitchell powiedział, poza pewnymi fragmentami czysto osobistej natury, miało pokrycie w znanych lordowi faktach.

–Zastanawialiśmy się, czy nie zadzwonić do najbliższej jednostki, żeby posłali na lądowisko parę transporterów z żołnierzami – ciągnął spokojnie Mitchell. – Nawet z bronią pańscy ludzie nie mieliby szans... Mogliśmy też zablokować drogę i przytrzymać pana trochę. Było jasne, że bez pana helikoptery nigdzie nie polecą. Kiedy zaś chłopcy zostaliby schwytani, Bóg jeden wie, ilu z nich skorzystałoby ze

**sposobności złożenia obciążających pana zeznań w zamian za zmniejszenie kary...
To święta prawda, że złodzieje nie znają honoru, prawda?**

**Jeśli Worth miał jakieś obiekcje co do zaliczenia go w poczet złodziei, to nie zgłosił
ich. 7 – Wiedźma Morska**

–Ale po dokonaniu rachunku sumienia postanowiliśmy tego nie robić – zakończył swą przemowę Mitchell.

–Dlaczego, na Boga?

–Wreszcie – westchnął Mitchell. – Dlaczego nie zaczął pan od tego i nie zaoszczędził mi całej tej mowy?

–Dlaczego? – powtórzył lord Worth.

–Częściowo dlatego, że chociaż nadal jest pan zatwardziałym grzesznikiem, to wciąż czujemy do pana szacunek – odparł Roomer. – Jednakże przede wszystkim dlatego, iż nie mamy ochoty oglądać pańskich córek chodzących odwiedzać papę w więzieniu. W efekcie jesteśmy ogromnie zadowoleni, że tego nie zrobiliśmy. W porównaniu zresztą z poczynaniami tamtych, pańskie potyczki z prawem to sztubackie figle...

–Zrozumiałe – dodał Mitchell zapuszczając z powrotem silnik – że nie będzie już mowy o głupawych pomysłach w rodzaju stanowienia praw na własną rękę...

Lord Worth spoczywał w swoim fotelu i druga brandy smakowała mu z pewnością tak samo jak pierwsza. Wyglądało na to, że jest to dzień do picia. Przez resztę podróży samochodem, która na szczęście trwała bardzo krótko, czuł przemożną potrzebę wzmocnienia organizmu i nie odzywał się nawet słowem. Nie po raz pierwszy odkrył, że po cichu błogosławi swe porwane córki.

–Przypuszczam, że nadal macie chęć udać się ze mną na platformę? – odezwał się w końcu.

Mitchell kontemplował zawartość kieliszka.

–Nigdy dotąd nie mówiliśmy panu o naszych planach, ale sądzę, że ktoś musi zaopiekować się panem i dziewczętami...

Lorda Wortha zatkalo – poczuł, że w ich wzajemnych stosunkach nastąpiła bardziej niż subtelna zmiana. Może wprowadzenie układu pracodawca-pracownik uzdrowiłoby sytuację?

–Sądzę, że czas oprzeć naszą współpracę na jakiejś konkretnej podstawie. Proponuję wam posadę – wynajmę was jako detektywów. Inaczej mówiąc, chcę być waszym klientem. Co do wysokości wynagrodzenia, to zgadzam się z góry na wasze warunki... – nim skończył mówić, już zorientował się, że popełnił błąd.

–Pieniądze nie załatwiają wszystkiego na tym świecie – w lodowatym głosie Roomera dawał się wyczuć totalny brak entuzjazmu. – Konkretnie zaś nie kupią nas... Nie mamy zamiaru pozwalać na ograniczenie naszej swobody działania. Co do wynagrodzenia i pańskich możliwości finansowych, to niech je cholera weźmie! Ile razy trzeba panu to powtarzać, że nie ma ceny za życie pańskich córek?

Lord Worth tym razem nawet nie mrugnął powieką. Zmiana stosunków, stwierdził w duchu ze spokojem, nie była zmianą stosunków, ale rewolucją.

–Jak sobie życzyacie. Przypuszczam, że będziecie odpowiednio przebrani?

–Dlaczego? – spytał Mitchell.

–Powiedzieliście, że paru tych z helikoptera... – lord Worth był zniecierpliwiony. – Sądzę, że oni także mogą was rozpoznać.

–Nigdy ich dotąd nie widzieliśmy. Lorda po raz kolejny zatkało.

–Ale powiedzieliście mi...

–Naopowiadał pan taką ilość kłamstw... Cóż znaczy przy tym drobne minięcie się z prawdą? Udamy się tam jako, powiedzmy, pańscy doradcy techniczni. Geologowie lub seismologowie, wszystko jedno, i tak znamy się na tym równie dobrze, jak pan na projektowaniu żłobków... Potrzebujemy tylko odpowiednich ubrań, ciemnych okularów dla dodania powagi oraz teczek. Potrzebny będzie też lekarz z dobrze zaopatrzoną apteczką i sporym zapasem bandaża.

–Lekarz?

–Do wyciągania kul, opatrywania postrzałów i tym podobnych zajęć... Czy jest pan na tyle naiwny, by wierzyć, że na „Seawitch” obejdzie się bez strzelaniny?

–Nie używam przemocy...

–Pewnie. Dlatego wysłał pan na platformę dwunastu uzbrojonych opryszków... Pan nie używa przemocy, ale za to inni czynią to w nadmiarze. Ma pan lekarza?

–Mam parę tuzinów lekarzy. Doktor dobry w odczytywaniu zdjęć rentgenowskich jest przeważnie kiepski w odczytywaniu swego konta bankowego. Znam dobrego lekarza, nazywa się Greenshaw. Spędził siedem lat w Wietnamie, powinien być dobry w tym, o czym wspomnieliście.

–Dobrze byłoby, gdyby przyniósł dwa zapasowe fartuchy – zaproponował Roomer.

–Po co? – zdziwił się Mitchell.

-Chcesz wyglądać poważnie, czy nie?

Lord Worth wydał telefoniczne dyspozycje, po czym oznajmił:

-Musicie mi wybaczyć, ale mam parę prywatnych rozmów z kabiny radiowej...

Jedynym powodem powrotu do domu miała być chęć skontaktowania się z Corralem, aby ten poinformował Bentona o zbożnym zamiarze rządu USA gotowego rozstrzelać każdą obcą jednostkę pragnącą zbliżyć się do „Seawitch”. Lord pokładał w osobistych kontaktach zaufanie większe niż w rozmowach rządowych.

–Który z nas ma panu towarzyszyć? – spytał uprzejmie Mitchell.

–Co to znaczy? Powiedziałem, że to rozmowy prywatne! – twarz gospodarza pociemniała z gniewu. – We własnym domu mam być pilnowany jak niedorozwinięte dziecko?

–A jak niby zachowywał się pan zeszłej nocy? Jeśli nie życzy pan sobie naszego towarzystwa, to jest oczywiste, że nie chce pan, żebyśmy o czymś wiedzieli – Mitchell przyglądał mu się podejrzliwie. – Nie podoba mi się to... Albo znów planuje pan coś brzydkiego, albo nie ma pan do nas zaufania!

–To są sprawy osobiste i istotne dla powodzenia moich interesów! Nie widzę powodów, dla których macie panowie posiadać przywilej zapoznawania się ze stanem moich spraw...

–Zgadza się! – przytaknął Roomer. – Tylko tak się składa, że nie sędzę, aby chodziło tu o interesy, bowiem one akurat obchodzą pana w tej chwili najmniej. – Obaj powstali jak na komendę. – Proszę pozdrowić dziewczęta – jeśli kiedykolwiek jeszcze pan je zobaczy!

–Cholerny szantaż!

Lord Worth porównał błyskawicznie wartość telefonu do Corrala i towarzystwa Mitchella i Roomera. Podjęcie decyzji zajęło mu dwie sekundy i Corral zniknął gdzieś na horyzoncie. Był niemal pewien, że obaj blefują, ale wobec braku możliwości sprawdzenia ich, musiał uznać wszystko za stan faktyczny.

–Wydaje mi się, że nie mam wyboru – oświadczył z kamienną twarzą. – Proponuję, abyście pojechali do domów spakować się.

–To zajmie trochę czasu – odparł Mitchell. – Sędzę, że będzie bardziej uprzejmie z naszej strony, jeśli zaczekamy tu, aż pan będzie gotów...

Lord Worth przygryzł – w myślach – wargi.

–Myślicie, że ledwo wyjdziecie, zaraz rzucę się do telefonu?

–To zabawne, że wszyscy nagle pomyśleliśmy o tym samym – uśmiechnął się Mitchell. – Prawda?

Rozdział siódmy Komendant Larsen i Scoffield obserwowali zbliżający się helikopter North Hudson ze zdziwieniem, ale bez większych podejrzeń. Lord Worth uprzedzał zazwyczaj o swoim przybyciu, ale zdarzało się niekiedy, że zapominał o tym... W każdym razie maszyna była ich i przylatywała według rozkładu. Ledwie wylądowała, zaraz ruszyli zgodnym krokiem ku północnej części platformy.

Ku ich zaskoczeniu nikt z niej nie wysiadał. Popatrzyli na siebie ze zdumieniem, które znacznie się pogłębiło, gdy drzwi rozsunęły się ostatecznie i pojawił się w nich Durand z pistoletem maszynowym w dłoniach. Tuż za nim stał jeden z jego ludzi z podobnym rekwizytem. Byli osłonięci i pozostawali poza zasięgiem wzroku kogokolwiek z załogi „Seawitch”.

–Larsen i Scoffield? – spytał Durand. – Jeśli macie broń, to nie bądźcie na tyle nierozważni, by próbować jej użyć. Teraz dołączcie do nas.

Opuścili się schodki. Obaj wymienieni nie mieli innego wyjścia, jak skorzystać z zaproszenia. Gdy znaleźli się już wewnątrz maszyny, Durand znów się odezwał nie spuszczając z nich wzroku i wylotu lufy:

–Kovensky, Rindler – sprawdźcie, czy nie mają broni. Zarówno Larsen, jak i Scoffield mieli pistolety, ale wydawali się być zupełnie obojętni wobec faktu ich utraty. Całą uwagę skoncentrowali na porwanych córkach lorda Wortha. Marina, choć blada, zdołała się uśmiechnąć.

–Mieliśmy spotkać się w ciekawszych okolicznościach, Komendancie Larsen.

–Wasze porwanie oznacza wyrok śmierci dla porywaczy – mruknął Larsen, po czym spojrzał na Campbella. – Dlaczego przywiozłeś tu tę bandę kryminalistów?

–Bo robię się cholernie tchórzliwy, gdy mam spluwę przystawioną do głowy – odpowiedział pilot ze zgryźliwością zrozumiałą w jego sytuacji.

–Czy grożono wam w jakikolwiek sposób? – spytał Melindę Larsen.

–Nie.

–I nie będzie się tego robić – wtrącił Durand. – Jeśli oczywiście nie spróbuje pan postępować inaczej, niż o to poprosimy...

–Co to ma znaczyć?

–Zatrzyma pan wydobyć!

–Niech mnie diabli, jeśli to zrobię! – Niezbyt urodziwe oblicze Komendanta poczerwieniało z wściekłości.

Durand zrozumiał natychmiast, że ma przed sobą człowieka, który jest niebezpieczny nawet bez broni. Rzucił w stronę Rindlera znaczące spojrzenie i Larsen natychmiast oberwał kolbą. Cios obliczony był tylko na oszołomienie, więc gdy nieco oprzytomniał, stwierdził, że ma na sobie dwie pary kajdanek. Jego uwagę przykuły od razu błyszczące stalowe cęgi z gatunku ulubionego przez chirurgów do otwierania klatki piersiowej – oczywiście, o ile zabieg wymaga przecinania żeber. Rękojeść tkwiła w pewnej dłoni Duranda, zaś drugi koniec urządzenia obejmował mały palec prawej ręki Melindy.

–Lord Worth nie polubi pana za to, panie Larsen – zauważył Durand.

Komendant bez wątpienia doszedł do analogicznego wniosku.

–W porządku, zabierz ten cholerny sekator. Zamknę choinkę.

–Pozwoli pan, że będę mu towarzyszył. Nie, żebym się na tym wyznawał, ale musi gdzieś tam być jakiś licznik czy wskaźnik przepływu, a tyle to potrafię odczytać. Będę miał walkie-talkie, Rindler ma drugie. Jakby co...

Durand spojrział na cęgi, po czym wręczył je Hefferowi, piątemu członkowi zespołu. Potem polecił Campbellowi założyć ręce do tyłu i skuł je za oparciem fotela.

–Niewiele ci umyka, co? – głos Larsena był zdecydowanie ponury.

–Wie pan, jak to jest... Tyle dziś przestępców wokoło... No, idziemy.

Razem przeszli przez platformę aż do wieży. Po kilku krokach Durand zatrzymał się i spojrział z uznaniem.

–No, no, no... Uniwersalne działa morskie i zapasik bomb głębinowych... Można by pomyśleć, że przygotowaliście się tutaj na ciężkie oblężenie. Kto by pomyślał. Przecież to przestępstwo federalne. Lord Worth, nawet z tymi milionami, które może zapłacić prawnikom, nie dostanie mniej niż dziesięć lat.

–O czym ty gadasz?

–Na pewno nie jest to standardowe wyposażenie platformy wiertniczej i założyłbym się, że nie było tego tutaj jeszcze dwadzieścia godzin temu. Założę się również, że ten sprzęt znajdował się niedawno w arsenale marynarki w Luizjanie. Zeszłej... tak, dobrze mówię, zeszłej nocy było tam włamanie. Rząd niezbyt przychylnie patrzy na ludzi, którzy kradną mu broń. Oczywiście musicie mieć na pokładzie specjalistów do jej obsługi, bo nie wierzę, żeby wchodziło to w zakres wykształcenia załogi. Zastanawiam się, czy ci specjaliści mają także specjalne wyposażenie... Na przykład to, co zostało skradzione ostatniej nocy z arsenału Florydy... Dwa takie włamania w dwie noce to zbyt wielki zbieg okoliczności. Dwadzieścia lat bez szans ułaskawienia za dobre sprawowanie! Dla ciebie i kilkunastu innych pomocników to samo... Pomyśleć, że to nas ludzie nazywają kryminalistami!

Larsen miał gotowych już parę uwag, z których żadna nie uzyskałaby aprobaty najłagodniejszego nawet cenzora. Koniec końców wydobyć ropy jednak zatrzymano, a wskazówki zegarów stanęły na zerach. Durand zaś zwrócił uwagę na „Roamera” kursującego tam i z powrotem pomiędzy zbiornikiem a platformą.

–Co wasi przyjaciele wyprawiają na tym pudle?

–Nawet taki szczur lądowy jak ty powinien się domyśleć. Patrolują rurociąg.

–Po co? Przecież jakby co, to w ciągu jednego dnia możecie założyć nowy... Zresztą, po co ktoś miałby go zrywać?

–Jeśli ma się do czynienia z szaleńcami, to trzeba używać szalonych metod. Według wszelkich oznak wrogowie lorda Wortha powinni zostać zamknięci i to dla własnego dobra. Dla dobra wszystkich innych zresztą też.

–Jego banda podrzynaczy gardel tutaj... Kto nimi dowodzi?

–Giuseppe Palermo.

–Ta kreatura? A więc szanowny lord oprócz kradzieży wplątał się we współpracę z dawnymi kryminalistami!

–Znasz Palermo?

–A znam, znam... – Durand nie dodał, że znajomość ta wynikała ze wspólnej odsiadki dwóch wyroków. – Chcę z nim pogadać!

Rozmowa była krótka i właściwie należałoby nazwać ją monologiem. Mówił jedynie Durand.

–Mamy córki lorda Wortha. Zamierzamy umieścić je w mieszkalnej części platformy, ale nie życzymy sobie, żebyście próbowali je odbić. Macie siedzieć we własnych kwaterach, bo jeśli nie, to usłyszycie dużo

wrzasku i zobaczycie kawałki uszu i palce wypadające przez okno. Mam nadzieję, że mi wierzysz?

Palermo uwierzył. Sam miał reputację bezwzględneho, ale nie był wyrafinowanym sadystą. Durand był bezsprzecznie zdolny wykonać wspomniane groźby, a na dodatek miałby jeszcze z tego kupę przyjemności.

Palermo wrócił do swoich ludzi, a Durand wezwał przez walkie-talkie Rindlera, polecając mu zabrać wszystkich, łącznie z pilotem, i zjawić się w segmencie mieszkalnym. Campbell był silny i wysportowany i mogło mu się udać przypadkiem oswobodzić i odlecieć. Czy miał wystarczającą ilość paliwa, to już druga sprawa, ale było wysoce prawdopodobne, że dotarłby do najbliższego skrawka Florydy, czyli do Nowego Orleanu, a to oznaczało policję. Oczekując na przybycie porwanych Durand spytał Larsena o kwatery.

–Są zapasowe we wschodniej części i jest prywatny apartament lorda Wortha.

–Zamki?

–To nie jest więzienie.

–Magazyny? Czy macie w ogóle coś, co można zamknąć od zewnątrz?

–Są.

–Jesteś dziwnie skory do współpracy – Durand przyjrzał mu się podejrzliwie. – Co innego o tobie slyszalem...

–Pięciominutowa wycieczka dookoła powiedziałyby ci to samo, co ja.

–Chciałbyś mnie zabić, nie?

–Kiedy przyjdzie czas, zrobię to. Ale jeszcze nie pora.

–Mimo to – Durand wyciągnął broń – bądź uprzejmy trzymać się przynajmniej dziesięć stóp ode mnie. Mógłbyś jeszcze próbować mnie obezwładnić i wymienić na dziewczyny. Kusząca perspektywa, prawda?

Larsen przyjrzał mu się z rozmarzeniem, ale nic nie odpowiedział. W chwilę potem dołączył do nich pilot, dziewczęta oraz czteroosobowa eskorta. ' – Trzeba poszukać dla was jakichś kwater na noc – poinformował zakładników Durand.

Po sprawdzeniu kilku pomieszczeń znalazł magazyn wypakowany po sam sufit

sproszkowaną żywnością. Wprowadził tam Campbella, zamknął drzwi, a klucz schował do kieszeni. Następny skład przepelniony był zwojami lin i wcale dużą populacją niezniszczalnych stworzeń, znanych pod nazwą karaluchów.

–Do środka! – polecił dziewczętom. Spojrzały do wnętrza i obróciły się.

–Nie wejdziemy do czegoś tak paskudnego i odrażającego – poinformowała go Melinda.

. – A wiesz, co to jest? – spytał Kovensky tonem łagodnym i zupełnie nie pasującym do trzymanego w dłoni kolta. Rindler miał identyczny, wycelowany w Marinę.

Dziewczęta spojrzały po sobie, po czym, ze zgodnością ruchów mogącą wpływać jedynie z uprzedniego planowania, podeszły do Rindlera i Kovenskiego, prawymi dłońmi złapały lufy ich koltów, zaś kciukami lewych zaczęły zaciskać palce mężczyzn spoczywające na spustach, pociągając broń mocno ku sobie.

–Jezu Chryste! – Durand był wstrząśnięty. Spotkał się z wieloma rzeczami, ale to było coś przekraczającego jego zdolność pojmowania. – Chcecie się zabić?

–Właśnie – odparła spokojnie Marina nie spuszczać wzroku z Rindlera. – Jesteście gorsi od karaluchów! Jesteście robactwem, które próbuje zniszczyć naszego ojca! Jeśli będziemy martwe, to nie będziecie mieli już żadnych atutów!

–Powariowałyście! Obie jesteście stuknięte!

–Może – zgodziła się Marina. – Ale tym lepiej pasujemy do was. Mając wolne ręce, nasz ojciec zaraz zareaguje i możecie sobie chyba wyobrazić, jak to robi. Szczególnie że wszyscy bez trudu uwierzą, że to wy nas zabiliście. Ojciec nie odwoła się do policji. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaką siłę przebicia może mieć parę miliardów dolarów. Zniszczy was co do jednego! – Przyjrzała się Rindlerowi. – No, dlaczego nie pociągasz za spust? Nie? To oddaj to!

Kovensky i Rindler puścili nagle broń, która upadła na pokład.

–Idę z siostrą na spacer – oświadczyła Melinda. – Myślę, że jak wrócimy, to będziecie już mieli gotowe dla nas kwatery godne córek lorda Wortha!

Durand już definitywnie straci! rumieńce i głos jego daleki był od spokoju. Próbował jednak ratować resztki autorytetu.

–Idźcie. Heffer, pójdziesz za nimi. W razie kłopotów strzelaj w nogi...

Marina schyliła się, złapała kolta Kovenskiego, podeszła do Heffera i wsadziła mu lufę w lewe oko. Mężczyzna podskoczył i zawył.

–Zgoda – stwierdziła spokojnie. – Jak ty postrzelisz mnie w nogi, to ja... jak to było,

aha, palnę ci w łeb.

–Na miłość boską! – głos Duranda dygotał już gwałtownie. Biedak

był o włos od szoku. – Ktoś przecież musi iść z wami. Jeśli nie, chłopcy Palermo zrobią z nas sito!

–To by nie było najgorsze – Marina opuściła broń i spojrzała z odrazą na Heffera, stworzenie o obrzęklej twarzy i nieodgadnionym wieku i narodowości. – Zgoda, ale to zwierzę nie może się do nas zbliżyć na odległość mniejszą niż dziesięć metrów. Nigdy! Rozumiemy się?

–Tak, tak, oczywiście!

Gdyby nagle zażądały gwiazdki z nieba, Durand byłby nawet skłonny wylewitować w trybie natychmiastowym i spełnić życzenie.

Pełnym gracji, spokojnym krokiem (to dziedzictwo, to dziedzictwo...) dziewczęta ruszyły w kierunku jednego z narożników trójkątnej platformy. Po przejściu dwudziestu metrów obie równocześnie zaczęły drżeć. Nie mogły się opanować i tylko modliły się, aby Heffer tego nie zauważył.

–Zrobiłabyś to jeszcze raz? – szepnęła Marina.

–Nigdy, przenigdy. Chyba bym umarła...

–Myślę, że niewiele brakowało. Sądzisz, że John i Michael też by się potem tak trzęśli?

–Jeśli jest coś z prawdy w tym, co tatuś o nich mówi, to nie. Oni pewnie planowaliby teraz, co robić dalej, a Durand i jego zbiry też by się nie trzęśli; martwi tego nie robią.

Drżenie Mariny przeszło w lekki dygot.

–Proszę Boga, aby oni już tu byli...

Stanęły trzy metry od skraju platformy i spojrzały ku północnemu wschodowi, gdy do ich uszu dobiegł grzmiący odgłos silnika helikoptera.

Durand i Larsen usłyszeli go w tym samym momencie. Z powodu zapadającego zmierzchu niewiele mogli zobaczyć, ale obaj nie mieli wątpliwości co to za maszyna i kim są jej pasażerowie.

–Mamy towarzystwo. To powinien być lord Worth – z zadowoleniem oświadczył Durand. – Gdzie wylądują?

–Na południowym lądowisku.

Durand zerknął na platformę, gdzie stały dziewczęta i Heffer. Zadowolony wziął pistolet maszynowy i zarządził:

–Idziemy powitać Jego Lordowską Mość. Aaron, pójdiesz z nami.

–Miejmy nadzieję, że lord będzie w innym nastroju, niż jego pociechy – mruknął Larsen.

–Co przez to rozumiesz?

–Złapałeś kiedyś parę tygrysów za ogon? – uśmiechnął się z satysfakcją zapytany.

Durand skrzywił się i ruszył ku lądowisku, w ślad za nim podążyli Larsen i Aaron, ten ostatni również uzbrojony. Znaleźli się na miejscu dokładnie w chwili, gdy maszyna North Hudson dotykała pokładu. Pierwszym, który ją opuścił, był właściciel platformy. Zatrzymał się na szczycie schodów i z niedowierzaniem wpatrywał w uzbrojonych mężczyzn.

–Co tu się dzieje, na Boga? – spytał po dłuższej chwili Larsena.

–Witamy na pokładzie „Seawitch”, lordzie Worth! – odezwał się Durand. – Może mnie pan uważać za gospodarza, a siebie za gościa, honorowego gościa, ma się rozumieć. Nastąpiła pewna zmiana na stanowiskach kierowniczych.

–Obawiam się, że on ma rację – wtrącił Larsen. – Nazywa się Durand i sędzę, że jest jednym z pomagierów Cronkite'a.

–Cronkite! – Durand aż podskoczył. – Co o nim wiecie?

–Nie sędzę, abym mógł mu pogratulować doboru wspólników. Sędziliście, że będziemy na tyle głupi, by nie domyślić się, kto jest waszym pracodawcą? Zresztą, on już i tak długo nie pożyje, a wy z nim... – Lord Worth, gdy miał zamiar kogoś zniszczyć, najchętniej używał spychacza.

Durand poczuł się nieswojo. Przybyły zachowywał się zbyt podobnie jak jego córki.

–Należy założyć, że ten bandyta przybył tu w towarzystwie – uwaga lorda skupiła się na Larsenie. – Du?

–Czterech.

–Czterech? Mając Palermo i jego ludzi macie nad nimi trzykrotną przewagę. Jak to możliwe, żeby...

Durand otrząsnął się nieco i odzyskał równowagę ducha.

–Mamy coś, czego Larsen nie miał... – odezwał się tonem przechwałki. – Pańskie córki.

Lord Worth stał się w jednej chwili ofiarą klasycznego szoku i zaniemógł.

–Dobry Boże Wszchemogący! Moje córki! – Chyba postanowił zasłużyć na Oscara.
– Wy... wy jesteście owymi porywaczami?

–Wojenne szczęście, sir. – O arystokratycznym rodowodzie lorda świadczył

**najlepiej fakt, że nawet najwięksi przestępcy zwracali się do niego z szacunkiem. –
Możemy zobaczyć pozostałych pasażerów helikoptera?**

**Po stopniach zeszli Mitchell i Roomer. W swoich urzędniczych garniturkach,
metalowych okularach i z aktówkami pod pachą wyglądali dokładnie tak jak powinni,
czyli nijako.**

–Mitchell i Roomer, geolog i sejsmolog – przedstawił ich Worth.

–Trzymają moje córki uwięzione na pokładzie „Seawitch” – oznajmił im.

–Dobry Boże! – Mitchell zrewanżował mu się poprawnym szokiem.

–Ależ to ostatnie miejsce...

–Oczywiście, trzeba być zawsze parę kroków przed konkurencją! – przerwał mu Durand. – Po co tu przybyliście?

–Aby odszukać nowe złoża ropy. Mamy doskonale wyposażone laboratorium i...

–Mogliście zaoszczędzić sobie drogi. Chcielibyśmy przeszukać wasze bagaże. Można?

–A czy mamy inną możliwość?

–Nie.

–No to szukajcie.

–Aaron!

–Ubrania, jakieś naukowe książki i instrumenty – oznajmił po chwili Aaron. – To wszystko.

Tymczasem z helikoptera wysiadł jeszcze doktor Greenshaw i z miejsca zajął się wyładunkiem reszty bagażu. Durand zauważył go w końcu.

–A to kto, do diabła?

–Doktor Greenshaw – odparł lord Worth. – Wysoce wykwalifikowany i doświadczony chirurg. Oczekiwaliśmy sporej dawki przemocy na pokładzie, toteż chcieliśmy być przygotowani. Mamy tu i szpital, i izbę przyjęć.

–Następny, który traci czas. Mamy wszystkie atuty, a przemoc jest ostatnią rzeczą, której się spodziewamy. Sprawdzimy jeszcze pana bagaż, doktorze.

–Jak chcecie. Nie mam broni, etyka lekarska mi zabrania. Szukajcie, tylko nie uszkodźcie niczego.

–Przyślijcie tu jednego z chłopców Palermo – polecił przez radio Durand. – Z

wózkiem elektrycznym, mamy tu niezłą stertę pakunków.

Opuścił walkie-talkie na pasek i spojrzał na Mitchella.

–Drżą panu ręce... Dlaczego?

–Mam pokojową naturę – odparł Mitchell chowając dłonie za plecy.

Roomer, jedyny na pokładzie, który trafnie rozpoznał symptomy, oblizał wargi i z napięciem wbił wzrok w kompana.

–Następny bohater! – mruknął Durand. – Nienawidzę tchórzy... Mitchell wyciągnął rękę; nadal drżały. Durand zrobił krok naprzód i wziął zamach, chcąc go spoliczkować, po czym cofnął się z odrazą, co

zupełnym przypadkiem było najrozsądniejszą rzeczą, którą mógł zrobić. Umysł Duranda był całkowicie głuchy na bodźce pozazmysłowe i tym samym nie usłyszał łopotu czarnych zwiastunów śmierci, które przez chwilę krążyły nad jego głową.

Jedynym, który poza tym był w pełni zorientowany i odczuwał sporą, choć starannie ukrywaną satysfakcję, był Larsen. Chociaż dotąd miał okazję rozmawiać z detektywem jedynie przez telefon, słyszał od lorda Wortha więcej niż trzeba, by zrozumieć, że Mitchell zrobiłby z Duranda nieboszczyka dokładnie w tej samej chwili, w której tamten by go uderzył. Mitchellowi zaś nie trzeba było wiele czasu, by wszyscy nie znający go dotąd potraktowali go jako notorycznego tchórza zashigującego jedynie na pogardę lub ignorowanie. Larsen, nie potrafiący dobrze troszczyć się o innych, poczuł się nagle dziwnie dobrze.

–Czy mogę zobaczyć córki?

–Zrewiduj go, Aaron – zgodził się po chwili namysłu Durand. Aaron zrobił to metodycznie i dokładnie, starannie unikając bazylijszkowego spojrzenia lorda.

–Jest czysty – zameldował po chwili.

–Tam – wskazał Durand w kierunku blasku pozostałego po zejściu słońca. – Przy skraju platformy.

Lord Worth odszedł bez słowa, reszta zaś ruszyła w kierunku modułu mieszkalnego. Gdy zbliżył się do dziewcząt, Heffer zagroził mu drogę.

–A pan to gdzie sobie idzie?

–Lord Worth dla ciebie, pluskwo! Heffer wyciągnął walkie-talkie.

–Mr Durand? Mam tu faceta...

–To lord Worth – zaskrzeczał w głośniku głos herszta. – Jest zrewidowany i ma moje pozwolenie na rozmowę z córkami.

Lord wyrwał z rąk Heffera urządzenie.

–Mógłby pan poinstruować to indywiduum, żeby trzymał się poza zasięgiem głosu?

–Słyszałeś, Heffer? – I walkie-talkie umilkło.

Powitanie rodziny było bezłzawe i nie zrobiłoby większego wrażenia na znawcach sztuki kinowej. Lord Worth był dokładnie tym, kim są wszyscy rodzice spotykający

się z porwanymi pociechami, tylko znacznie lepiej panował nad sobą. Marina pierwsza zauważyła ten fakt.

–Nie cieszysz się, że nas widzisz, tatusiu? Lord ucałował je obie i powiedział po prostu:

–Jesteście całym moim życiem. Jeśli do tej pory tego nie wiedziałyście, to nadeszła ostatnia chwila, byście to wiedziały.

–Nigdy dotąd tego nie mówiłeś – mimo zmierzchu łzy w oczach Melindy były łatwo dostrzegalne.

–Nie myślałem, że to potrzebne. Sądziłem, że wiecie o tym... Może jestem złym ojcem, może jestem za bardzo zamknięty w sobie, ale wszystkie moje pieniądze nie są warte kosmyka twoich czarnych Marino, ni twoich rudych, Melindo...

–Tycjanowckich, tatusiu, tycjanowskich... De razy mam ci to powtarzać?

Melinda płakała już zupełnie otwarcie. Marina, która była zawsze trochę bardziej spostrzegawcza i domyślna, nagle połapała się, że coś tu nie gra.

–Nie jesteś zaskoczony, że nas widzisz? Wiedziałeś, że tu będziemy?

–Oczywiście, że wiedziałem.

–Jak?

–Moi ludzie czekają, aby działać – odparł zadowolony.

–A co teraz będzie?

–Niech mnie diabli, jeśli wiem – lord Worth był szczery.

–Widziałyśmy jeszcze trzy osoby wysiadające z maszyny. Nie rozpoznałyśmy ich, bo było już zbyt ciemno.

–Jedna to doktor Greenshaw. Doskonały chirurg.

–A po co ci chirurg? – zdumiała się Melinda?

–Nie bądź głupia, po co komukolwiek chirurg? Myślisz, że podamy im „Seawitch” na tacy?

–A dwaj pozostali?

–Nie znacie ich, nigdy o nich nie słyszałyście, a jeśli przypadkiem ich spotkacie, nie zdradźcie się pod żadnym pozorem.

–Michael i John – natychmiast domyśliła się Marina.

–Tak, ale pamiętajcie, nigdy ich nie widziałyście!

–Zapamiętamy! – odparły prawie chórem z rozjaśnionymi twarzami.

–Oni są tutaj w wielkim niebezpieczeństwie... Dlaczego pozwoliłeś im przylecieć? – zapytała Marina.

–Jak rozumiem, mają tu coś do załatwienia w związku ze swoim niezłomnym postanowieniem odwiezienia was do domu.

–Jak chcą tego dokonać?

–Nie wiem – lord raz jeszcze zdobył się na szczerść. – Jeśli nawet wiedzą, to nie powiedzieli. Zrobili się ostatnio nadzwyczaj pewni siebie, uważają na mnie jak cholera, nie dopuszczają mnie nawet do mojego własnego telefonu.

Dziewczęta ledwie powstrzymały wybuch śmiechu, zwłaszcza że mówiący te słowa nie wyglądał na przejętego szykanami.

–Szczególnie Mitchell wydaje się być w nader bojowym nastroju. Omal nie zabił Duranda w pierwszej minucie po wylądowaniu. Zrobiłby to z pewnością, gdyby nie wy. Dobrze, koniec z tym. Idziemy do środka. Byłem dziś w Waszyngtonie i miałem długi, męczący dzień. Potrzebuję odpoczynku...

Durand oznajmił radiooperatorowi, że jego usługi nie będą potrzebne aż do następnego wezwania i posłał go do kwatery. Sam znał się doskonale na sprzęcie łączności radiowej i bez trudu nawiązał łączność z „Georgią”. Nie minęło półtorej minuty, gdy już rozmawiał z Cron-kite'em.

–Wszystko pod kontrolą. Mamy dziewczyny i samego lorda – zameldował.

–Wspaniale! – Cronkite był zadowolony; wszystko szło zgodnie z planem, czyli zgodnie z oczekiwaniami. – Przywiózł kogoś ze sobą?

–Pilota i trójkę innych: lekarza-chirurga, wygląda na to, że oczekiwał przelewu krwi, i dwóch techników-sejsmologów albo coś podobnego. Niegroźni, sam widok pistoletu maszynowego wpędził ich w taniec świętego Wita. Przylecieli bez broni.

–Więc nie ma powodów do obaw?

–Są i to trzy. Worth ma dwudziestu ludzi wyglądających na zawodowców. Jestem pewien, że wszyscy to eks-wojskowi. Drugi problem – mają tu osiem armat przymocowanych do pokładu i sterty bomb głębinowych; leżą przy brzegach platformy. Teraz już wiemy, komu przypisać arsenał marynarki. A trzeci problem, to że jest nas tu za mało, by wszystkiego pilnować. Ja i czterech ludzi, a musimy czasem spać. Potrzebuję posiłków i to szybko!

–Rano będziesz miał ponad dwudziestu pomocników. Przybędą na zmianę załogi. Gregson, poznasz go po najbardziej rudej brodzie, jaką widziałeś w życiu, będzie dowodził.

–Nie mogę czekać do rana, potrzebuję ich zaraz. Masz przecież helikopter!

–Czy ty sobie wyobrażasz, że ja mam tu armię? Nastąpiła chwila przerwy, po której głośnik oznajmił:

–Mogę pozbyć się ośmiu i ani jednego więcej.

-Oni mają tu radar...

-To niech sobie mają. Ty rządzisz!

–Tak, ale to twoja żelazna zasada: nie ryzykować.

–Kiedy ci powiem, że maszyna odlatuje, zneutralizujesz go.

–Zniszczyć kabinę radaru?

–Nie, sami będziemy jeszcze go potrzebować. Antena jest na wieży, tak? No to zatrzymaj ją. To prosta, mechaniczna robota. Wystarczy facet, co nie ma lęku wysokości, za to posiada wkrętak. Teraz powiedz mi dokładnie, gdzie są zakwaterowani ludzie Wortha. Gregson będzie potrzebował tych informacji...

Durand podał potrzebne dane i wyłączył się.

Szpital i laboratorium znajdowały się obok siebie. Mitchell i Roomer pomagali doktorowi rozpakować spory zapas sprzętu medycznego. Zrozumiałe, że byli pod strażą, ale Aaron i strażnicy pilnowali tylko drzwi wejściowych, zaś sam Aaron nie był w nastroju strzeleckim. Prawdę mówiąc uważał swoje zajęcie po prostu za stratę czasu. Był obecny, kiedy cała trójka przybyła i miał o niej dokładnie taką samą opinię jak Durand.

W izbie przyjęć doktor Greenshaw odblokował i otworzył podwójne dno skrzyni z lekami. Ze zrozumiałym pośpiechem i zdenerwowaniem wyjął stamtąd dwa pasy z kaburami, dwa pistolety smith wesson 0.38, dwa tłumiki i dwa zapasowe magazynki. Nie tracąc czasu na gadaninę, Mitchell i Roomer uzbroili się, zaś doktor Greenshaw, człowiek o dość specyficznym poczuciu humoru, mruknął:

–Mam nadzieję, że nikt nie przyłapie was z bronią.

–Doceniam pańską troskę, doktorze – odparł Roomer. – Proszę się o nas nie martwić.

–Nie martwię się tylko o was – oświadczył ten najspokojniej na świecie. – Dobry chrześcijanin powinien modlić się także i za dusze złoczyńców...

Nad Lakę Tahoe ponownie zebrało się to samo grono co poprzednio, tyle tylko, że wówczas atmosfera pełna była determinacji i przekonania, że wszystko ułoży się zgodnie ze szlachetnym zamiarem zapobieżenia trzeciej wojnie światowej, teraz zaś duch – jeśli można tak to nazwać – spotkania zmienił się diametralnie. Dominowało uczucie przygnębienia, niepewności i całkowity brak przekonania o czymkolwiek, zwłaszcza że ich humanitarne zapędy zdawały się mieć dokładnie odwrotny skutek.

Ponownie gospodarzem i przewodniczącym był Benson.

–Panowie, mamy kłopoty – oznajmił otwierając zebranie. – I to nie takie zwykłe, proste kłopoty, ale na tyle poważne, że mogą one doprowadzić do zniszczenia nas wszystkich. Wygląda na to, że nie doceniliśmy potęgi lorda Wortha, a ponadto przeceniliśmy umiejętności Cronkite'a co do zachowywania dyskrecji. Przyznaję, że za niego jestem przed wami odpowiedzialny osobiście, ale z drugiej strony zgodziliśmy się wszyscy z tym, że jest on jedyny do tej pracy. Poza tym nie zdawaliśmy sobie wszyscy sprawy z dzikiej zdeterminowanej nienawiści do lorda, którą ten typ żywi. Mam przyjaciół w Pentagonie, nie z tych superważnych, ale nie o to chodzi. Pentagon, jak każdy dur szlak, przepuszcza wszystkie tajemnice, ale tym razem musiałem zapłacić aż dwadzieścia tysięcy dolarów stenografowi i drugie dwadzieścia szyf-rantowi, co dla nisko płatnych urzędników państwowych jest wcale ładnym kawałkiem grosza jak za kilka godzin pracy. Przede wszystkim muszę przekazać panom, że treść naszego poprzedniego zebrania – każde słowo, nawet nasze nazwiska i cele, wszystko jest im wiadome. Benson przerwał, aby dać zebrany czas na wchłonięcie tej wiadomości oraz na to, by zrozumieli, że nie ma zamiaru sam pokrywać tych kosztów.

–Sądziłem, że nasze bezpieczeństwo jest stuprocentowe – odezwał się Mr A., jeden z szejków arabskich. – Jak ktoś mógł się o tym wszystkim dowiedzieć?

–Nie ma to nic wspólnego z wywiadem. Mam dobrych przyjaciół w tych firmach i ani lokalne, ani centralne placówki CIA, FBI czy czegokolwiek innego nie interesują się nami w ogóle. Przed naszym poprzednim spotkaniem ekspert od elektroniki sprawdził nie tylko ten pokój, ale cały dom pod kątem podsłuchu. Nie znalazł niczego.

–A może to on go założył? – spytał Mr A.

–Niemożliwe. Raz, że był to mój stary przyjaciel, a dwa, że byłem z nim przez cały czas. Ponadto zaraz po jego wyjściu wezwałem następnego specjalistę.

–To pozostawia tylko jedną możliwość – powiedział z namysłem jeden z gości. – Po prostu jeden z nas jest zdrajcą.

–Zgadza się.

–Kto?

–Nie mam pojęcia i najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy.

–Mister Corral żyje raczej dobrze z lordem Worthem, prawda? – spytał Mr A.

–Serdeczne dzięki za pierwszeństwo – parsknął Corral. 3- Wiedźma Moraka

–Ludzie inteligentni nie popełniają takich błędów, jak wykorzystywanie znajomych, o których wszyscy wiedzą, a lord Worth jest inteligentny – stwierdził Benson.

–Jak pan słusznie stwierdził na poprzednim spotkaniu, jestem jedynym, którego obecność tu nie jest do końca wyjaśniona – Borosoff był dziwnie odprężony. – To ja mogę być zdrajcą.

–Teoretycznie tak, ale mocno w to wątpię. To znów kwestia inteligencji – Benson był rozbijająco szczery. – Prawdopodobnie jest pan agentem sowieckiego wywiadu, a tacy ludzie rzadko bywają prowokatorami. Nie jest to komplement pod adresem pańskiej inteligencji, tak po prostu dyktuje zdrowy rozsądek. Możemy mieć tylko pewność, że każde wypowiedziane tu słowo dotrze do lorda Wortha i Departamentu Stanu, co zresztą na dłuższą metę jest bez znaczenia... Jesteśmy tutaj, panowie, aby naprawić te wszystkie błędy, za które możemy być, choćby nawet nasze działanie było nieumyślne, odpowiedzialni.

Benson przerwał na chwilę, po czym przeszedł do rzeczy.

–Wiemy już, że sowiecka fregata rakietowa, kubański okręt podwodny i wenezuelski niszczyciel zbliżają się do „Seawitch”. Nie wiecie jednak, że zostały podjęte konkretne kontrposunięcia. Moje informacje, a ich źródło jest niepodważalne wiarygodne, stwierdzają, że lord Worth spędził dziś mnóstwo czasu przy drzwiach zamkniętych z sekretarzem stanu, którego wprawdzie nie przekonał w pełni, ale sprawę przeważyło porwanie córek lorda, co zresztą ze strony Cron-kite'a jest niewybaczalną głupotą. W rezultacie tego wszystkiego krążownik US Navy wpłynął do Zatoki Meksykańskiej, na wodach której znajduje się już atomowy okręt podwodny. Amerykański niszczyciel już od kilku godzin płynie za pańskim, Mr Patinos, niszczycielem, który ze swoją przestarzałą elektroniką nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Na dodatek w bazie lotniczej Luizjany znajduje się w ciągłym pogotowiu eskadra naddźwiękowych myśliwców bombardujących. Amerykanie przestali się bawić i moje informacje jednoznacznie wskazują na to, że gotowi są do konfrontacji takiej samej jak w czasie kryzysu kubańskiego. Rosja nie zaryzykuje konfliktu jądrowego o kilka centów różnicy w cenie baryłki ropy i to tak blisko terytorium USA. Jeśli jednakże sprawy zajdą za daleko i urażony zostanie prestiż któregoś z mocarstw, to wycofanie się może być trudne. Poza tym spowoduje to nieuniknione zainteresowanie prasy oraz opinii publicznej. A to wplącze nas w aferę, na czym nam nie zależy.

Jedyną możliwością wywinięcia się jest natychmiastowe odwołanie wszystkich jednostek. Nie jest to w żadnym wypadku pana wina, Mr Patinos, nikt z nas nawet nie podejrzewał, że Cronkite pójdzie na coś takiego. Proszę się nie zastanawiać, bo zapewniam pana, że Amerykanie nie zawahają się nawet przed zniszczeniem tych okrętów.

Zgromadzeni nie zostali szefami przedsiębiorstw naftowych dzięki niedorozwojowi umysłowemu. Potrafili szybko myśleć i szybko podejmowali decyzje. Patinos uśmiechnął się z rezygnacją.

–Nie mam zamiaru ponosić osobistej odpowiedzialności, a już na pewno nie mam ochoty posłużyć za kozła ofiarnego. Odwołam te jednostki natychmiast po zakończeniu zebrania.

–Ja także – zgodził się Borosoff. Mr A. westchnął z dostrzegalną ulgą.

–No, to sprawę mamy załatwioną.

–Mamy załatwioną większość spraw – poprawił go Benson. – To jeszcze nie wszystko. Dziś po południu miało miejsce bardzo groźne przestępstwo. Dowiedziałem się o tym godzinę temu; w wieczornych wiadomościach zrobią z tego zapewne sensację numer jeden. Mam jedynie błogą nadzieję, że nie jesteśmy w żaden sposób za to odpowiedzialni i że nikt nie powiąże tego z nami. Dokonano właśnie włamania do Netley Rowan Arsenal. Teoretycznie jest to kolejny magazyn US Army, ale jest to także arsenał taktycznej broni nuklearnej. Dwa ładunki zostały skradzione i rozplynęły się w powietrzu.

–Dobry Boże! – reakcja przedstawiciela Hondurasu dokładnie odzwierciedlała reakcje wszystkich zebranych. – Cronkite?

–Mogę się o to założyć. Nie mam naturalnie dowodów, że to był on, ale kto inny mógłby to zrobić?

–Bez obrazy mister Borosoff, ale czy nie potrzebowaliście przypadkiem prototypu?
– spytał Henderson.

–Rosjanie mają ich ile chcą, głównie na granicy RFN-NRD. Często znacznie nowsze niż te ukradzione. Poza tym te tutaj to standardowe wyposażenie US Army, a nie żadne nowinki techniczne – odpowiedział mu zmęczonym głosem Benson.

Borosoff uśmiechnął się lekko i skinął potakująco głową. Milczenie przerwał Mr A.:

–Sugeruje pan, że ten człowiek oszalał doszczętnie i chce użyć przeciwko „Seawitch” bomby atomowej?

–Nie jestem dobry w sposobach rozumowania kretynów – mruknął Benson. – Ale on zdaje się być zdolny do wszystkiego.

–Co to za ładunki?

T

–Nie wiem dokładnie. Mimo starej przyjaźni znajomi z Pentagonu nie mówią wszystkiego. Dowiedziałem się tylko, że można tego użyć w charakterze bomby zegarowej lub bomby zrzuconej z samolotu; niektóre naddźwiękowe bombowce są do tego dostosowane. Mam jednak wrażenie, że te maszyny znajdują się pod najściślejszą ochroną i nie ma szans na porwanie czegoś takiego, o trudnościach ze znalezieniem pilota nie wspominając.

–Co zatem z tego wyniknie?

–Proponuję udać się do wróżki. Wiem jedynie, że Cronkite całkiem oszalał.

Gdyby znajdujący się na pokładzie „Georgii” Cronkite miał czas na myślenie o bzdurach, to zapewne to samo pomyślałby o szacownym gronie. Musiał wykonać zadanie i zmierzał do tego najlepiej, jak umiał. Zdawał sobie sprawę z prawdopodobieństwa wycofania się okrętów wojennych, ale niezbyt go to obchodziło. Miały być i były użyteczne tylko jako zasłona dymna. Jego wendeta była sprawą osobistą i nie miał ochoty, aby ktoś inny wymierzył lordowi coupe de grace. Taka zemsta by go nie zadowoliła.

Tymczasem był w bardzo dobrym nastroju – nadal żył w świadomości, że „Seawitch” jest w jego rękach i że rankiem nie będzie już żadnych wątpliwości co do dalszego biegu wydarzeń. „Starlight” pod dowództwem Eastona czekał na całkowite ciemności, by wyruszyć do ataku, a siąpiący deszcz i zachmurzenie obiecywały, że będzie to bardzo ciemna i odpowiadająca jego zamierzeniom noc.

Przyniesiono mu wiadomość z radiokabiny – spojrzął na nią, uniósł słuchawkę telefonu łączącego go z lądowiskiem i spytał pilota:

–Gotów do startu, Wilson?

–Kiedy tylko pan zechce, Mr Cronkite.

–To startuj.

Włączył przyciemnione światła lądowiska dające akurat tyle blasku, ile potrzeba do spokojnego startu. Helikopter zatoczył półkole i wylądował na spokojnej powierzchni morza mniej niż sto metrów od nieruchomego kutra.

–Macie go na ekranie? – spytał Cronkite operatora radaru.

–Tak, zbliża się stałym kursem.

–Dajcie mi znać, gdy będzie dwie mile od nas.

Po minucie operator dał znak. Światła lądowiska rozbłysły pełnym blaskiem i minutę później helikopter z zapalonymi światłami pozycyjnymi wyłonił się ze ściany deszczu na północy. Parę chwil później dotknął pokładu z delikatnością małej ćmy – zrozumiała ostrożność, zważywszy na ładunek, który miał na pokładzie. Natychmiast podłączono węże paliwowe, a z przedziału desantowego wyskoczyli pułkownik Farquharson, podpułkownik Dewings i major Breckley, odpowiedzialni za napad na Netley Rowan Arsenał. Pomogli wylądować te dwie ciężkie walizy, które stamtąd zniknęły, a które Cronkite, ostrożnie i delikatnie, przetransportował do jednej z kabin.

Po dziesięciu minutach maszyna była już w drodze powrotnej na ląd, a w pięć minut później pokładowy helikopter kutra powrócił na swoje miejsce i wygaszono światła.

Rozdział ósmy Jedyne pechowemu zbiegowi okoliczności i oplakanemu stanowi nerwów Duranda należy przypisać fakt, że John Roomer i Melinda Worth stali się pierwszymi pacjentami doktora Greenshawa. Durand węszył wszędzie jak nie pułapkę, to inne niebezpieczeństwo i nastrój ten udzielił się jego ludziom. Choć trzymał „Seawitch” w garści, wiedział, że nie jest w stanie zapobiec wszystkim ewentualnościom. Owszem, odizolował Palermo i jego nożowników, a klucze od obu wejść do segmentu mieszkalnego nosił w kieszeni, ale niezbyt poprawiło mu to samopoczucie. We wszystkich modułach było stanowczo zbyt wiele okien, a on nie miał ludzi, by obsadzić wszystkie ścieżki. Przez głośniki nadał wiadomość, że każdy, kto znajdzie się na pokładzie, zostanie od ręki zastrzelony. Dwóch ludzi postawił w okolicy kwater Palermo, dwaj pozostali patrolowali resztę platformy. Lord Worth, jego córki i ekipa naukowców nie przedstawiała dla niego źródła zagrożenia, niemniej i na ich okna strażnicy mieli zwracać baczną uwagę.

Nikt we wnętrzu tych właśnie pomieszczeń (które miały wewnętrzne połączenia) nie słyszał owych ostrzeżeń, głównie dlatego, iż lord Worth, lubiąc komfort, nakazał dokładnie wyciszyć kwatery. Wieża wiertnicza jest zwykle miejscem dość hałaśliwym.

Mitchell siedział w pokoiku przy laboratorium i studiował szczegółowo plany konstrukcyjne „Seawitch” tak długo, aż był w stanie znaleźć żądane miejsce z zawiązanymi oczami. Zajęło mu to około pół godziny. W piętnastej minucie tych studiów na zewnątrz rozległy się odgłosy strzelaniny – tego też nie usłyszał. Właśnie wkładał plany do szuflady, gdy drzwi się otworzyły i weszła Marina. Była trupio blada, rozdygotana i zalana łzami. Objął ją bez słowa.

–Dlaczego cię tam nie było? – zaszlochała. – Dlaczego? Mógłbyś ich zatrzymać! Mógłbyś ich uratować!

Mitchell nie tracił czasu na zadawanie pytań ogólnych.

–Zatrzymać co? – zapytał łagodnie. – Kogo uratować?

–Melindę i Johna. Są ciężko ranni... – Że co?

–Postrzelono ich.

–Postrzelono? Nic nie słyszałem.

–Oczywiście że nie. Te pokoje są dźwiękoszczelne... Dlatego oni nie słyszeli ostrzeżenia...

–Ostrzeżenia? Raz jeszcze od początku poproszę. Po kolei i wolno.

Opowiedziała mu zatem historię na tyle spójnie i powoli, na ile potrafiła. Ostrzeżenia nikt z przebywających w pomieszczeniach nie słyszał, no i gdy deszcz przestał padać, Melinda i John poszli na spacer. Byli przy podstawie wieży, na której na polecenie Duranda wygaszono światła i zatrzymano urządzenia, gdy zostali bez uprzedzenia ostrzelani...

–Gdzie ich trafili?

–Nie wiem, są w szpitalu, u doktora Greenshawa. Nie jestem tchórzem, ale tam było tyle krwi. Nie mogłam na to patrzeć.

Mitchell skierował się niezwłocznie do szpitala, gdzie stwierdził, że trudno mieć do dziewczyny pretensje. Melinda i John leżeli na kocach, w których ich zapewne przyniesiono i które były obecnie przesiąknięte krwią. Melinda miała grubo obandażowane ramię, Roomer zaś szyję. Doktor Greenshaw manipulował coś przy jego klatce piersiowej. Lord Worth, z twarzą wyrażającą wściekłość i rozpacz (w tej właśnie kolejności), siedział obok. Durand, z twarzą dla odmiany nie wyrażającą niczego, stał przy drzwiach. Mitchell przyjrzał się obu i zwrócił się do lekarza:

–Co pan może powiedzieć, doktorze?

–Też coś! – Roomer zdobył się na chrapliwy szept. – A jak my się czujemy, to już cię nie interesuje?

–Zatem doktorze?

–Z ramieniem Melindy jest źle. Wyjąłem kulę, ale potrzebna jest natychmiastowa operacja. Jestem chirurgiem, ale nie ortopedą, a ona potrzebuje ortopedy. On miał mniej szczęścia – dostał dwa razy. Postrzał w szyję minął tętnicę i nie jest groźny. Postrzał w pierś to gorsza sprawa, chociaż również nie jest śmiertelny. Kula niewątpliwie przebiła lewe płuco, na szczęście wylew wewnętrzny był minimalny.

Problem jednak w tym, że kula utkwiała prawdopodobnie przy kręgosłupie.

–Może ruszać palcami?

–Boże, co za współczucie... – jęknął Roomer.

–Może, ale trzeba jak najszybciej ją wyjąć. Mógłbym to zrobić, ale nie mam tutaj rentgena, a zatem... Muszę ograniczyć się do transfuzji.

–Powinni zatem zostać jak najszybciej przewiezieni do szpitala?

–Oczywiście.

–No i? – Mitchell spojrzał wyczekująco na Duranda.

–Nie.

–Przecież to nie ich wina, a sam pan słyszał, co powiedział lekarz!

–Przykro mi, ale to wykluczone. Nie mam ochoty przywitać tu za parę godzin całej kompanii marines.

–Jeśli umrą, to będzie pańska wina!

–Każdy z nas kiedyś umrze – stwierdził Durand i wyszedł trzaskając drzwiami.

–No, no... – Roomer chciał pokiwać głową, ale skrzywił się z bólu. – Nie powinien być tego mówić...

–Może pan być wielce pomocny, sir – odezwał się Mitchell do lorda. – Pański apartament ma bezpośrednie połączenie z kabiną radiową. Czy słyhać, co mówi się w kabinie? – Żaden problem. Mogę to puścić na słuchawki albo na głośnik.

–W porządku. Proszę iść teraz do siebie i nie przerywać nasłuchu ani na chwilę. – Spojrzał na leżącą parę. – Będą w powietrzu za pół godziny.

–Jak?

–Nie wiem jeszcze, ale coś wymyślimy.

Lord Worth wyszedł, a Mitchell wyjął latarkę-ołówek i zaczął się nią bawić. Dłonie mu drżały... Marina spojrzała na niego ze zdumieniem, które przekształciło się najpierw w niewiarę, potem w coś na kształt zrozumienia.

–Jesteś przestraszony – powiedziała.

–Twoja broń? – zwrócił się do Roomera.

–Gdy pognali na pomoc, zdołałem się trochę ruszyć i odpiąć. Wrzuciłem wszystko do wody.

–Dobra, zatem nadal jesteśmy czyści – nagle, jakby zdał sobie sprawę z drżenia rąk, wsunął je szybko do kieszeni. – Kto was postrzelił? – spytał Melindę.

–Para nieprzyjemnych typów, Kovensky i Rindler. Miałyśmy już z nimi kłopoty.

–Kovensky i Rindler – powtórzył Mitchell i wyszedł.

–Mój idol na gumowych nogach – westchnęła Marina na wpeł z żalem i ulgą. – Co powiedziałaś?

–Ja? Nic nie powiedziałem. Mitchell najpierw zgasi światło... On ma kocie oczy, może widzieć w niemal całkowitych ciemnościach. Wiedziałaś o tym?

–Nie.

–To mu daje ogromną przewagę. A potem zgasi inne światło...

–Wiem, co masz na myśli, ale nie wierzę ci! Widziałam, jak drżał przed wyjściem...

–Ach, nie zasługujesz na niego! – Że co?

–Słyszałaś – Roomer mówił zmęczonym tonem i Greenshaw przyglądał mu się z dezaprobatą. – Kovensky i Rindler to już trupy, zostało im jeszcze parę minut życia. On kocha Melinę prawie tak, jak ja ciebie, a ja jestem jego przyjacielem i wspornikiem i to od smarkacza. Mitchell poszedł załatwić sprawę definitywnie i raz na zawsze...

–Ależ on drżał!

–To dziedzictwo po skandynawskich wojownikach, w ten sposób starali się opanować wściekłość. Uśmiechnij się – Roomer słabo dał jej dobry przykład. – Teraz ty drżysz!

Milczała.

–W korytarzu jest szafka. Jest w niej coś. Bądź taka uprzejma i przynieś to – odezwał się po chwili.

Spojrzała na niego niepewnie i wyszła. Wróciła po kilkunastu sekundach z parą butów. Sądząc po wyrazie twarzy, równie dobrze mogłaby w rękach trzymać kobrę.

–Mitchella? – spytał spokojnie Roomer.

–Tak.

–O. K. Lepiej je odnieś, szybko będzie ich potrzebował. Gdy wróciła, Melinda zapytała ją:

–Naprawdę myślisz, że możesz wyjść za człowieka, który zabija? Marina tylko się wstrząsnęła.

–Powiedziałabym, że to lepsze, niż wyjść za tchórza – oświadczył spokojnie Roomer.

W siłowni Mitchell dość szybko znalazł to, czego szukał – wyłącznik oznaczony jako „Oświetlenie pokładu”. Przesunął dźwignię i cicho wysunął się na pogrążoną w ciemnościach i deszczu platformę. Poczekał pół minuty, aż oczy przywykły do mroku i ruszył w kierunku dźwigu, skąd słychać było wcale nie przyciszone odgłosy

przekleństw w wykonaniu duetu męskiego. Zbliżył się bezgłośnie – niewielka sztuka, jeśli jest się w samych skarpetkach – i gdy był już tylko o dwa metry od ofiar, włączył latarkę. Nieco poniżej trzymał smith wessona. Obaj mężczyźni odwrócili się zaskiwieni i równocześnie sięgnęli po broń.

–Wiecie, co to jest? – zapytał.

Wiedzieli. Stalowy kształt wyposażonej w tłumik trzydziestki ósemki nie jest rzeczą trudną do rozpoznania. Ich dłonie zawisły w pół gestu. Nie jest przyjemnie widzieć tylko plamę światła i lufę wyglądającą z kompletnej ciemności.

–Założyć ręce na kark, odwrócić się i naprzód.

Doszli aż do skraju platformy. Dalej było już tylko sześćdziesiąt metrów pustki i wody Zatoki Meksykańskiej.

–Ręce dalej w górze. Odwrócić się. Posłuchali.

–Kovensky i Rindler? Nie było odpowiedzi.

–To wy postrzeliliście Melindę i Roomera?

Ponowne milczenie. Struny głosowe mogą ulec paraliżowi, gdy ich posiadacz jest niezłomnie przekonany, że jeden krok i sekundy dzielą go od wieczności. Mitchell nacisnął spust dwa razy i ruszył z powrotem, zanim jeszcze martwe ciała dotarły do powierzchni wody. Zrobił zaledwie cztery kroki, gdy w oczy uderzyło go światło latarki.

–No, no, no, czy to nie ten cwaniaczek Mitchell, przerażony naukowiec? – Mitchell nie mógł dostrzec ani mówiącego, ani jego broni, ale bez kłopotów rozpoznał Heffera. – I do tego mamy pistolet z tłumikiem. Czego pan szuka po nocy, panie Mitchell?

Heffer popełnił klasyczny błąd wszystkich niekompetentnych zabójców. Zamiast strzelić do przeciwnika w tej samej chwili, gdy go ujrzał i potem dopiero zająć się zadawaniem pytań, postąpił dokładnie odwrotnie. Mitchell natychmiast włączył swoją latarkę i rzucił ją przed siebie na pokład. Upadła ze stukiem i zaczęła wirować jak oszalały świetlik. Heffer musiałby nie być człowiekiem, aby nie zareagować zgodnie z nakazami instynktu. Spojrzał w kierunku latarki zastanawiając się gorączkowo, co to ma, u diabła, znaczyć. Spekulacje te trwały dość krótko, bowiem, zanim jeszcze latarka przestała się kręcić, Heffer był martwy. Mitchell podniósł ją i schował, po czym zaciągnął ciało na skraj platformy. Jeden ruch i bandyta dołączył do kumpli na dnie zatoki.

Mitchell powrócił do szpitala już w butach. Doktor Greenshaw aplikował właśnie swoim pacjentom transfuzję.

–Sześć minut – Roomer spojrział na zegarek. – Co cię zatrzymało? Marina patrzyła na niego z niedowierzaniem i przerażeniem.

–No cóż, przepraszam – wyglądało na to, że rzeczywiście jest mu przykro. – Miałem nieszczęście natknąć się dodatkowo na Heffera.

–Masz na myśli, że to on miał pecha spotkać ciebie. A gdzież są nasi przyjaciele?

–W tych kwestiach trudno być pewnym...

–Rozumiem – głos Roomera wyrażał głębokie współczucie. – W ogóle trudno jest na oko ustalić głębokość tutejszych wód...

–Tego można by się dowiedzieć, ale chyba nie warto. Doktorze, ma pan nosze?

Greenshaw skinął głową.

–Proszę je przygotować. Na razie jednak niech oboje pozostaną tam, gdzie leżą. Czy może pan robić transfuzję w trakcie lotu? – Żaden problem... Wnioskuje, że chciałby pan, abym im towarzyszył?

–Właśnie. Wiem, proszę o bardzo wiele, ale gdy odda ich pan w ręce kompetentnych medyków, to prosiłbym, aby zaraz pan tu wrócił.

–Z przyjemnością. Mam obecnie siedemdziesiątkę i już byłem pewny, że nic nowego i ciekawego nie zdarzy mi się w życiu. Na szczęście się myliłem.

Marina wpatrywała się w nich z niedowierzaniem – cała trójka wyglądała na spokojnych i odprężonych, a Melinda była nieprzytomna po silnej dawce środków znieczulających.

–Jesteście szaleni! – stwierdziła w końcu z przekonaniem.

–To właśnie mówią pacjenci oddziałów zamkniętych o świecie zewnętrznym – odparł łagodnie Mitchell. – Być może mają rację... Ale nie czas na takie rozważania. Będiesz im towarzyszyła w drodze na ląd. Tam będziesz bezpieczna, twój ojciec już dopilnuje, aby przez cały czas towarzyszyła im ochrona, jakiej świat do tej pory nie widział...

–Cudownie, zawsze lubiałam znajdować się w centrum zainteresowania. Popelniasz jednak błąd w rozumowaniu, kochany geniuszu: zostaję z ojcem.

–Właśnie mam zamiar zaraz z nim podyskutować.

–Zamierzasz jeszcze kogoś zabić?

Mitchell wyciągnął dłonie przed siebie. Były jak wykute z marmuru.

–Później – odezwał się Roomer. – Wygląda na to, że ma teraz ważniejsze sprawy do załatwienia.

Mitchell wyszedł, a Marina stwierdziła z furją:

–Jesteś tak samo zły jak on!

–Jestem chorym człowiekiem i nie wolno mnie denerwować.

–Ty i jego dziedzictwo skandynawskich wojowników! On jest mordercą!

Twarz Roomera stężała z gniewu.

–Wiesz, nie bardzo mi uśmiecha się posiadanie w rodzinie osoby ociężalej umysłowo...

Zatkało ją.

–Tak naprawdę, to was jeszcze zupełnie nie znam – wyszeptała po chwili.

–Nie. Jesteśmy tymi, którzy przemykają się zawsze ciemną stroną ulicy. Ktoś musi tam chodzić i troszczyć się o pozostałych, którzy znaleźli się tam przypadkiem. Wiesz, ile twój ojciec chciał zaoferować nam za sprowadzenie was do domu? – uśmiechnął się. – Obawiam się, że chwilowo niewielki ze mnie pożytek w tej materii, ale Mikę sam zajmie się tą sprawą...

–De wam oferował?

–Tyle, ile byśmy sobie zażyczyli. Milion, sto milionów? Ile tylko byśmy chcieli...

–Hę chcieliście? – jej głos był wyprany z emocji.

–Biedny Mikę – westchnął Roomer. – I pomyśleć, że uważa cię za złoty skarb u stóp tęczy... Ja też jestem biedny, będę musiał z tobą żyć, choć w drugiej kolejności. Bądźmy szczerzy. Wasz ojciec was kocha, my was kochamy. Pewnych rzeczy nie da się kupić. Niektóre klejnoty nie mają ceny. Nie rób z siebie sztucznego klejnotu... I nigdy więcej nie obrażaj nas w ten sposób. Musimy jednakże z czegoś żyć, zatem pošlemy rachunek twemu ojcu.

–Za co?

–Koszty amunicji.

Podeszła do jego łóżka, przyklękła i pocałowała go. Roomer wyglądał na zbyt chorego, aby się gniewać.

–Marina, nie dość, że dostaje on właśnie krew, to istnieje jeszcze coś takiego jak ciśnienie – doktor Greenshaw był śmiertelnie poważny.

–Moje ciśnienie jest bez zarzutu, doktorze. Pocałowała go ponownie.

–Czy to wystarczające przeprosiny? Roomer uśmiechnął się.

–Powiedziałeś wojownik... Czy ktoś może go zatrzymać, gdy staje się taki? Czy ja mogę?

–Teraz jeszcze nie, ale kiedyś może tak.

–Aty?

-Tak.

-Nie zrobiłeś tego...

-Nie.

-Dlaczego?

-Oni mają broń.

–Wy też.

–Mamy, ale to nie my jesteśmy złymi ludźmi, którzy mają złą broń i robią złe rzeczy.

–To wszystko?

–Nie – spojrzał na Melinę. – Widzisz?

–Tak...

–Gdyby Kovensky i Rindler nie byli kiepskimi strzelcami, ona byłaby już martwa.

–Więc puściłeś Michaela?

–Tak.

–Zamierzasz pobrać się z nią?

–Tak.

–Pytałeś ją?

–Nie.

–Nie musisz. Siostry rozmawiają ze sobą...

–Mikę?

–Nie wiem, John. Jestem śmiertelnie przerażonym tchórzem...

–No i co?

–On zabił...

–Ja też.

–Będzie zabijał?

–Nie wiem.

–John...

Wyciągnął dłoń i ujął kosmyk jej lśniących, czarnych włosów.

-To...

-To znaczy?

-Tak.

-Muszę to zobaczyć – ściągnęła pantofle na wysokim obcasie.

-Musisz się jeszcze sporo nauczyć... Siadaj.

Usiadła na skraju jego pościania, a doktor Greenshaw wzniosł oczy ku niebiosom. Miała na sobie džinsy i białą bluzkę. Roomer z wysiłkiem odpiął pierwszy guzik bluzki. Patrzyła na niego nie odzywając się ani słowem.

-Resztę zrób sama... Granatowy albo czarny.

Pół minuty później wróciła ubrana w czarny golf. Spojrzała pytająco na Roomera, który skinął głową. Bez słowa wybiegła na korytarz.

Lorda Wortha i Mitchella znalazła w salonie. Przysłuchiwali się płynącej z głośnika rozmowie. Gdy weszła, Mikę gestem nakazał jej milczenie.

Głos Duranda zdradzał wyraźne zmęczenie.

–Wszystko, co wiem, to że światło na pokładzie zgasło samo na parę minut, a potem samo się włączyło. Całe oświetlenie potrzebne do lądowania działa poprawnie.

–Zająłeś się anteną radaru?

Marina dotąd nie słyszała tego drugiego głosu, ale wyraz twarzy ojca wskazywał, że nie po raz pierwszy ma on do czynienia z Cronkite'em.

–Nie trzeba.

–To był twój pomysł, więc go wykonaj. Startujemy za dziesięć minut, lot zajmie około kwadransa...

–Startujemy? To znaczy, że ty też przylatujesz?

–Nie, mam ważniejsze sprawy na głowie!

Po tych słowach nastąpił trzask; to Cronkite przerwał połączenie.

–Zastanawiam się, o co chodziło temu zboczeńcowi – zafrasował się lord Worth.

–Będziemy musieli przekonać się na własnej skórze – odparł z uśmiechem Mitchell spoglądając na Marinę. – Gdzie twoje buty?

–Jestem pilną uczennicą – uśmiechnęła się słodko. – Buty zrobiłyby zbyt wiele hałasu na pokładzie.

–Nie pójdziesz na żaden pokład!

–Pójdę. Odczuwam niejakie braki w edukacji. Chcę zobaczyć, jak sobie radzą zabójcy...

–Nie zamierzam nikogo zabijać! – Mitchell był poirytowany. – Zabieraj się do pakowania, wkrótce odlatujesz.

–Nigdzie nie polecę!

–A to dlaczego?

–Chcę być z tatusiem... i z tobą! Nie wydaje ci się to normalne?

–Odleciś, choćbym miał cię związać!

–Ale nie zwiążesz mi języka! Czy prawo nie byłoby mi wdzięczne, gdybym powiedziała, gdzie są te działa, które zniknęły z Luizjany?

–Zrobiłabyś to? – lord wyglądał na oszołomionego. – Zrobiłabyś to własnemu ojcu?

–A pozwoliłbyś mnie związać i siłą wepchnąć do helikoptera? Swoją własną córkę?

–I bądź tu mądry! – Mitchell potrząsnął głową. – Lordzie Worth, wygląda na to, że jest pan szczęśliwym ojcem postrzeleńca. Jeśli myślisz, że...

–Nie obijaj się, zatrzymaj radar – dobiegło nagle z głośnika.

–Jak? – Aaron nie był najwyraźniej uszczęśliwiony tą perspektywą. – Uważasz, że będę wlaził na tę cholerną kratownicę, żeby...

i – Nie bądź idiotą! – zdenerwował się Durand. – Idź do kabiny, jest tam czerwona dźwignia, nad ekranem. Ściągnij ją w dół.

–To mogę zrobić – w głosie bandyty zabrzmiała wyraźna ulga.

Z głośnika dobiegł hałas zamykanych drzwi i w tym samym momencie Mitchell rzucił buty, zgasił światło i uchylił drzwi na korytarz. Aaron, zwrócony doń plecami, zmierzał w kierunku pomieszczeń radaru. Otworzył drzwi i zniknął w środku. Mitchell ruszył natychmiast za nim wyciągając broń.

–Sądziłam, że jesteś przemęczony – dobiegł go z tyłu miękki szept.

Mike'a nie było stać nawet na przekleństwo.

–Jestem – odparł zrezygnowanym szeptem.

Aaron właśnie przesuwiał dźwignię, gdy Mitchell bezszelestnie zjawił się w kabinie.

–Nie odwracaj się! Bandyta znieruchomiał.

–Połóż ręce na karku, odwróć się i chodź tutaj!

Aaron odwrócił się powoli, a jego oczy otworzyły się szeroko.

–Mitchell!

–Nie próbuj sztuczek. Jak dotąd, zabiłem trzech twoich kumpli, a zatem czwarty nie przyprawi mnie o bezsenność. Teraz zatrzymaj się i odwróć.

Zrobił, co mu kazano. Mitchell wyciągnął prawą rękę z kieszeni wydobywając przymocowany skórzaną pętlą do przegubu skórzany, pięciocalowy walec. Trafił Aarona nieco powyżej prawego ucha. Idealnie. Pochwycił osuwające się, bezwładne ciało i ułożył na podłodze.

–Musiałeś to zrobić w...

Marina zamilkła niespodziewanie, gdy dłoń Mitchella zacisnęła się na jej ustach.

–Mów cicho! – jego szept był celowo wściekły. Przyklęknął i uwolnił Aarona od ciężaru broni.

–Musiałeś go uderzyć? – wyszeptała Marina. – Mogłeś go związać i zakneblować...

–Jak będę potrzebował rad amatora, to będę o tobie pamiętał! Nie mam czasu na zabawy. W zamian za pół godziny, no... wypoczynku, będzie potrzebował tylko trochę aspiryny.

–A teraz?

–Durand.

–Dlaczego?

–Idiotka.

–Zaczynam mieć dość ludzi, którzy obrzucają mnie inwektywami. John przed chwilą nazwał mnie podobnie, a poza tym stwierdził, że jestem umysłowo ociężałym sztucznym klejnotem.

–Nikt lepiej od niego nie zna się na ludzkich charakterach – stwierdził Mitchell z aprobatą. – Jeśli Aaron za chwilę nie wróci, Durand zacznie go szukać. Nie znajdzie go, a zatem złapie za radiotelefon i wstrzyma przyłot helikoptera, a na tym nam nie zależy.

Wyłączył światło i wyszedł z depczącą mu po piętach Mariną. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami apartamentu.

–Wchodź. Nie mogę skutecznie działać, gdy siedzisz mi na karku.

–Przyrzekam, że nie powiem już ani słowa. Obiecuję!

Złapał ją za ramię i prawie wrzucił do środka. Lord Worth spojrzał na nich z lekkim zaskoczeniem.

–Czynię pana osobiście odpowiedzialnym za to, aby ta wścibska osoba nie znalazła się na zewnątrz! – powiedział z wściekłością. – Przyciemniam światła pokładu i każdy, kto będzie się po nim kręcił, zostanie postrzelony. Obiecuję to i radzę mi uwierzyć. To nie jest miejsce dla dzieci!

–Cóż... – mruknęła Marina, gdy drzwi zamknęły się. – Jak myślisz, dobry byłby z niego mąż?

–Chyba doskonały. Widzisz, moja droga, jedną z zalet Mitchella jest zdolność do błyskawicznych reakcji, a twoja obecność mu w tym nie pomaga. Sama wiesz doskonale, jakie uczucia żywi on do ciebie... Twoja osoba zwiększa ryzyko i pochłania jego uwagę, a na to nie może sobie pozwolić. Żona nie towarzyszy mężowi w kopalni czy bombowcu. Na dodatek to raczej typ samotnika...

Spróbowała przybrać minę wyrażającą coś pośredniego między grymasem a maską, ale jej piękna twarz nie bardzo się do tego nadawała. Skończyło się na półuśmieszku, z którym wstała i naląła szklaneczkę whisky.

Mitchell zabrał nieprzytomnemu Durandowi broń i dwa spore klucze, po czym udał się do kwater załogi. Otworzył drzwi, zapalił światło w korytarzu i zawołał:

–Komendancie! Palermo!

Obaj byli przy nim już po paru sekundach.

–Mitchell! – zdumiał się Larsen. – Co pan tu robi, do diabła?

–Sejsmolog na wieczornej przechadzce.

–Nie słyszał pan ostrzeżenia, że każdy, kto pojawi się na pokładzie zostanie zastrzelony?

–Zamierzchła przeszłość. Mam jedną złą wiadomość i dwie dobre. Zła to taka, że Roomer i Melinda nie słyszeli tego ostrzeżenia – kwatera lorda Wortha jest dźwiękoszczelna – i poszli na spacer. Oboje są ciężko ranni. Musimy zabrać ich do szpitala, i to szybko. Kto jest osobistym pilotem lorda?

–Campbell.

–Niech jeden z pańskich ludzi, Palermo, pomoże mu zatankować maszynę... Teraz dobre wiadomości: Durand jest w radiokabinie, a jego numer drugi, w radarze. Obaj są nieprzytomni – spojrzał na Palermo. – Potrwa jeszcze trochę, nim dojdą do siebie, ale prosiłbym, żeby już teraz zostali otoczeni troskliwą opieką.

–Z przyjemnością...

–Durand miał jeszcze trzech... – wtrącił Larsen.

–Są martwi.

–Pan?...

–Tak.

–Nie słyszeliśmy strzałów...

Mitchell pokazał im trzydziestkę ósemkę z tłumikiem.

–Lord Worth mówił mi o panu – oświadczył nagle zamyślony Larsen – ale myślałem, że przesadza.

–Następna dobra wiadomość. Cronkite przysłała uzupełnienie, ośmiu czy dziewięciu ludzi, powinni właśnie startować. Lot ma potrwać coś z kwadrans, więc sędzę, że jego statek jest gdzieś za horyzontem, tuż poza zasięgiem naszego radaru.

–Rozwalimy helikopter? – Palermo aż pojaśniał.

–Też o tym myślałem, ale możemy lepiej to rozegrać. Pozwolimy im wylądować i weźmiemy ich na platformie, po czym zmusimy dowódcę, by zameldował Cronkite'owi, że wszystko jest w porządku.

–A jeśli nie zechce albo będzie próbował ich ostrzec?

–Napiszemy mu tekst na kartce, a jeśli zmieni choć słowo, to go zastrzelę. Cronkite nic nie usłyszy, bo mam tłumik.

–Może usłyszeć krzyk faceta...

–Kiedy kula tego kalibru wchodzi w podstawę czaszki i kieruje się stromo w górę, wówczas się nie krzyczy.

–Zrobiłby to pan? – Larsen nie był zaskoczony; z tonu przebijała jedynie ciekawość.

–Tak, a potem wziął do mikrofonu następnego. Nie sądzę, abym miał z nim jakiegokolwiek kłopot. 9 – Wiedźma Mouka

–Lord Worth nie powiedział mi ani połowy o panu... – mruknął komendant.

–Jeszcze jedno. Ten helikopter będzie nam potrzebny. Sfabrykujemy historię o awarii silnika i kilkugodzinnej naprawie... Dodatkowy helikopter zawsze się przyda, ale ważniejsze jest, by Cronkite go nie miał.

Spojrzał uważnie na Palermo.

–Sądzę, że przygotowania można spokojnie zostawić w pańskich rękach?

–Pewnie. Jakież sugestie?

–Wątpię, żebym był w stanie pouczać eksperta pańskiej klasy.

–Pan mnie zna?

–Byłem kiedyś gliną. Sam pan wie, że platforma jest wprost przeładowana silnymi reflektorami. Oni będą się z pewnością kierować w stronę kwater. Wyłączę oświetlenie pokładu, a włączę reflektory. Zrobię to, gdy będą już o jakieś trzydzieści metrów od nas. Zostaną oślepieni i będziecie ich mieli jak na patelni...

–Ale kto może przewidzieć, co naprawdę zrobią tacy powikłańcy...

–Da pan sobie radę – uśmiechnął się Mitchell, po czym zwrócił się do Larsena. – Coś mi się wydaje, że lord Worth miałby chęć naradzić się ze swoim szefem wiertaczy...

–Też tak myślę.

Odeszli, gdy Palermo zaczął wyrzucać z siebie lawinę poleceń.

–Lord wie, co pan zamierza?

–Nie miałem czasu go wtajemniczyć, a poza tym, ja nie doradzałbym mu, jak zarobić milion na nafcie.

–Prawda.

Zatrzymali się na moment w radiokabinie. Larsen spojrzał na bezwładnego Duranda z mieszaniną uznania i żalu.

–Co za piękny obrazek... Szkoda, że to nie moja robota.

–Założę się, że Durand tego nie żałuje. Chirurgia plastyczna sporo dziś kosztuje.

Następny przystanek zrobili w szpitalu. Larsen omiół spojrzeniem nieprzytomną Melisę i przytomnego Roomera, a jego dłonie zacisnęły się.

–Wiem – uśmiechnął się Roomer. – Niestety, spóźnił się pan. Jak tu głęboko?

–Dziewięćset stóp.

–To potrzebowałby pan pancernego skafandra. Co się z nami działo, to widać. A co pan porabiał, Komendancie?

–Odoczywałem. Mitchell był bardziej aktywny. Poza tym pozbawił mnie przyjemności osobistej rozmowy z Durandem. Aaron zresztą też nie czuje się najlepiej.

–On nie jest dobrym dyplomata – stwierdził przeprasząco Roomer. – Tak oto „Seawitch” jest znów w naszych rękach?

–Chwilowo...

–Proszę?

–Oczekuje pan, że ktoś taki, jak Cronkite, podda się teraz? Tylko dlatego, że stracił pięciu ludzi i straci jeszcze z pięciu czy dziesięciu? Co to jest dla faceta, który bawi się dziesięcioma milionami dolarów? O jego wendecie przeciwko lordowi nie wspomnę...

–Doktorze – Mitchell zwrócił się do Greenshawa. – Myślę, że czas zająć się noszami. Komendancie, czy może nam pan użyczyć czterech ludzi do noszy? Obawiam się, John, że będziesz miał niezbyt miłe towarzystwo w podróży. Durand i Aaron... powiązani, oczywiście, jak barany.

–Serdeczne dzięki.

–Dla ciebie wszystko. Sądzę, że Cronkite dostanie się na pokład. Nie mam pojęcia, co może wymyślić tak zboczony umysł... Nie należy go jednak nie doceniać. A gdy mu się to uda, to wolę, aby ci dwaj nie zaczęli mu czegoś opowiadać. Wolę już zostać spokojnym sejsmologiem.

W tym czasie Larsen zajął się telefonem, po czym obaj ruszyli do apartamentu. Lord Worth siedział ze słuchawką przy uchu i grymasem na twarzy. Marina przyjrzała się Mitchellowi z lekkim niesmakiem.

–Przypuszczam, że zasłałeś pokład dodatkowymi nieboszczykami?

–Rażąca niesprawiedliwość. Tam już nie ma kogo zabić! Drgnęła, jakby przeszedł ją dreszcz i odwróciła wzrok.

–Okręt jest w naszych rękach, miss Marina. Za jakieś dziesięć minut pojawią się zapewne niejaki problemy, ale jesteśmy na nie gotowi – oznajmił Larsen.

–Co to znaczy? – spytał Worth odkładając słuchawkę.

–Cronkite przysyła posiłki helikopterem. Niewielu, ośmiu czy dziesięciu ludzi. Nie

mają szans... Są przekonani, że Durand nadal tu rządzi.

–A w rzeczywistości?

–Jest nieprzytomny i związany. Tak samo zresztą i Aaron...

–Czy Cronkite przylatuje z nimi? – spytał lord z dość dziwnym wyrazem twarzy.

–Nie.

–Jaka szkoda... Mam parę złych wieści. „Torbello” jest uszkodzony.

–Sabotaż?

–Nie, pęknięty przewód paliwowy. Tylko chwilowy przystanek, ale naprawa potrwa kilka godzin. Nie ma powodu do obaw, na wszelki wypadek będą się meldować co pół godziny...

Pozostał jeszcze jeden problem – lord Worth odkrył, że żadne z większych towarzystw ubezpieczeniowych, z Lloydem na czele, nie słyszało nigdy o istnieniu statku o nazwie „Tiburon”. Fakt nie był aż tak zaskakujący, gdy wzięło się pod uwagę poczynania Mulhooneya ze zmianami nazwy jednostki. Niemniej, co nie było już takie łatwe do wyjaśnienia, Marinę Gulf Corporation doniosła o zniknięciu z jej portu statku sejsmologicznego „Hammond”.

US Navy również nie była zbyt pomocna. Stany Zjednoczone robiły ze swoimi okrętami podwodnymi dwie rzeczy – cięły je na złom lub sprzedawały innym państwom. Nie było dotąd przypadku, by któryś z nich wpadł w ręce prywatnej osoby bądź kompanii.

Zadzwoił telefon i lord Worth przełączył go na głośnik.

–Helikopter, niski pułap, na północny wschód od nas, odległość pięć mil – dobiegł ich głos operatora radaru.

–To może być niezłe widowisko – mruknął Larsen. – Idzie pan ze mną, Mitchell?

–Zaraz, muszę jeszcze napisać tę kartkę.

–A, chodzi o notatkę dla pilota... Oczywiście.

Larsen wyszedł, a Mitchell wypełnił pół kartki drobnym i czytelnym pismem. Treść nie pozostawiała miejsca na jakiegokolwiek nieporozumienia. Włożył kartkę do kieszeni i ruszył śladem Larsena.

–Masz coś przeciwko mojemu towarzystwu? – spytał lord Worth.

–Co prawda nie powinno być żadnego niebezpieczeństwa, ale w tej chwili wolałbym wiedzieć, że obserwuje pan ekrany radaru i sonaru i prowadzi nasłuch radiowy. Jakby coś było nie tak, proszę mnie zawiadomić.

–Zgoda. Zadzwonię do sekretarza i spytam, jak się mają sprawy z okrętem podwodnym.

–Jeśli nie ma niebezpieczeństwa, to idę z tobą – oświadczyła słodko Marina.

–Nie.

–Ma pan ostatnio dość ograniczone słownictwo, Mr Mitchell.

–Zamiast próbować zostać bohaterką, spróbuj być Florence Ni-ghtingale. Są tu dwie poważnie chore osoby, które trzeba trzymać za ręce.

–Stajesz się zbyt apodyktyczny.

–Trudno, jestem antyfeministą.

–I sądzisz, że wyjdę za mąż za kogoś takiego?

–Twoje sądy to twoje zmartwienie. Poza tym nigdy cię o to nie prosiłem.

Wyszedł.

–No, no – spojrzała podejrzliwie na ojca, ale on był całkiem opanowany. Wydawać by się mogło, że bardziej niż cokolwiek innego interesuje go w tej chwili telefon.

Helikopter zniżał się do lądowania, gdy Mitchell dołączył w milczeniu do Larsena, Palermo i reszty komitetu powitalnego. Wszyscy przycupnęli w cieniu nadbudówki mieszkalnej; oświetlenie pokładu było przytłumione, za to lądowisko pławiło się w blasku sześciu przenośnych reflektorów. Widząc, jak koła maszyny dotykają pokładu, Palermo skinął na Mitchella i niespiesznie ruszył w kierunku maszyny. W rękę trzymał kopertę. Drzwi helikoptera otworzyły się i wypuściły gromadę rzezimieszków obwieszonych niesympatyczną na oko bronią ręczną.

–Jestem Marino – odezwał się Palermo. – Kto tu dowodzi?

–Ja, Mortensen – odparł młody olbrzym w plamiastej panterce wyglądający raczej na porucznika komandosów, a nie na przestępcę, którym był bez wątpienia. – Myślałem, że to Durand jest tutaj szefem.

–Jest, właśnie gada z Worthem. Oczekuje cię w jego gabinecie.

–Czemu tu tak ciemno?

–Spadek napięcia. Naprawiają... Lądowisko ma własny agregat. Do Duranda tamtędy – wskazał dłonią za siebie. Mortensen skinął głową i poprowadził swoją ósemkę we wskazanym kierunku.

–Będę za minutę! – krzyknął za nim Palermo. – Mam wiadomość dla pilota Cronkite'a.

–Powiedziano mi, bym zaraz wracał – pilot był zdziwiony.

–To nie potrwa długo. Wygląda na to, że Cronkite stęsknił się za Worthem i jego pociechami...

Pilot uśmiechnął się i wziął kopertę. Otworzył ją, obejrzał czystą z obu stron kartkę i zapytał:

–Co to za dowcipy?

–Tego typu – odparł Palermo pokazując mu pistolet rozmiarów małej armaty. – Nie próbuj być martwym bohaterem...

W tym momencie zgasło oświetlenie pokładu, ustępując miejsca pełnemu blaskowi sześciu silnych reflektorów.

–Rzućcie broń! Nie macie żadnych szans! – rozległ się w głośnikach okrzyk Larsena.

Jeden z ludzi Mortensena był odmiennego zdania. Rzucił się na pokład otwierając ogień z pistoletu maszynowego. Udało mu się rozbić jeden z reflektorów. Jeśli czuł z tego powodu zadowolenie, musiało ono być jednym z najkrótszych w historii uczuć sytysfakcji – był martwy, nim szkło z rozbitego reflektora dosięgło pokładu. Pozostali zgodnie rzucili cały arsenał pod nogi.

–Widzisz? – mruknął Palermo do pilota. – Tacy bohaterowie nie przydają się nikomu. Dalej.

Ośmiu z dziewięciu, wliczając pilota, napastników, zostało zapędzonych do pozbawionego okien magazynu i zamkniętych od zewnątrz. Dziewiąty – Mortensen – znalazł się ostatecznie w kabinie radiowej, gdzie po chwili zjawił się również Mitchell. Ubrał się na tę okazję w jeden z garniturów lorda i ręcznej roboty kaptur, nie tylko dobrze maskujący rysy jego twarzy, ale i zmieniający głos. Podał Mortensenowi kartkę, którą uprzednio napisał i przyłożył mu pistolet do podstawy czaszki informując, że najmniejsze odchylenie od podanej treści spowoduje wypatroszenie go z mózgu. Mortensen nie był durniem, a w swoim fachu nie raz już oglądał oblicze śmierci, toteż bez zbędnych ceregieli połączył się z tym, z kim polecono mu się połączyć i przekazał, że on oraz Durand mają pełną kontrolę nad „Seawitch” i że helikopter wróci za parę godzin, a to z uwagi na małą awarię. Cronkite wydawał się być zadowolony i zaraz się wyłączył.

Gdy Larsen i Mitchell ponownie pojawili się w apartamencie, lord Worth zdawał się być w lepszym nastroju. Pentagon zameldował o zatrzymaniu się okrętów, najwyraźniej oczekujących teraz na dalsze polecenia, „Torbello” zaś był znowu w drodze i powinien zjawić się w Gal-veston za dziewięćdziesiąt minut. Zapewne nastrój lorda uległby radykalnej zmianie, gdyby wiedział, że „Torbello”, płynąc z maksymalną szybkością, był już kilkaset mil od Galveston i kierował się właśnie na południowy zachód. Mulhooney nie miał zamiaru pętać się w okolicy „Seawitch”.

–Słyszałam strzały – oznajmiła podejrzliwie Marina.

–Ostrzegawcze – odparł Mitchell. – Wypędzają diabła z ludzi.

–Zrobiłeś z nich wszystkich więźniów.

–Nie opowiadaj bzdur i siedź cicho – zdenerwował się jej ojciec. – Mamy z Komendantem ważne sprawy do omówienia.

–Wychodzimy – powiedział Mitchell do Mariny. – No, chodź, dopilnujemy odlotu pacjentów.

Nosze zostały wstawione do helikoptera, po czym umieszczono tam Duranda i Aarona – obu z rękami skutymi z tyłu i związanych ze sobą linką. Za nimi wsiadł doktor i jeden z ludzi Palermo – dość niesympatyczny osobnik z obciętą dwururką w garści, który miał pełnić zaszczytną funkcję strażnika.

–Ostatnia szansa – zwrócił się Mitchell do Mariny.

–Nie.

–Będziemy idealną parą! – oświadczył radośnie. – Pełne porozumienie za pomocą monosylab!

Pożegnali się, obejrzeni start i wrócili do apartamentu. Obaj panowie siedzieli przy telefonach, sądząc zaś z wyrazów twarzy, ich żywot był obecnie sporą udręką. Obaj próbowali wynająć jakiś tankowiec, z zerowym jednak, jak dotąd, efektem. W rzeczy samej, w okolicy było z pół tuzina odpowiednich pięćdziesięciorsięczników, ale wszystkie należały do któregoś z większych przedsiębiorstw naftowych, które wolałyby je zatopić, niż udostępnić North Hudson. Najbliższe dostępne statki znajdowały się w portach brytyjskich i śródziemnomorskich. Przeprowadzenie tankowca przez Atlantyk powodowało nieuniknioną stratę czasu, o stracie gotówki nie wspominając. Na takie koszty lord Worth nie zwykł sobie pozwalać.

Z „Torbello” poinformowano, że powinni być w Galveston za godzinę. Lord Worth zdecydował w końcu, że mając do dyspozycji dwa tankowce trzeba będzie po prostu zwiększyć częstotliwość ich kursów i to niezależnie od i tak już przeładowanego rozkładu. Po pół godzinie nadeszła kolejna wiadomość z tankowca – pół godziny od Gahreston. Lord Worth byłby mniej pewny siebie, gdyby wiedział, że w tej właśnie chwili „Starlight” odcumował od „Georgii” i na silnikach elektrycznych skierował się ku „Seawitch”. Szansę wykrycia tej jednostki sonarem uważane były za niezwykle małe. Na pokładzie znajdowali się wykwalifikowani pletwonurkowie i niemiły asortyment min, ładunków wybuchowych i detonatorów uruchamianych za pomocą sygnału radiowego.

Minęło pół godziny błogiej nieświadomości, gdy nadeszła kolejna wiadomość z „Torbello” – donoszono o pomyślnym cumowaniu w porcie.

Lord Worth natychmiast połączył się z kapitanatem, ale gdy przedstawił w zwyczajny sposób wszystkie aktualne życzenia, jego rozmówca okazał niejakie zaskoczenie.

–Doprawdy, nie wiem, o czym pan mówi, sir.

–Cholera jasna! Wyrażam się przecież jasno!

–Nie tym razem, sir. Obawiam się, że wprowadzono pana w błąd. Ten statek jeszcze nie przybył do portu.

–Niech mnie diabli, dopiero co słyszałem...

–Chwileczkę, sir...

Chwileczka przeciągnęła się w pół minuty, w trakcie której przewidujący Mitchell podał lordowi szklaneczkę whisky. Połowa zawartości zniknęła przy pierwszym łyku.

–Złe wieści, sir – odezwał się głos. – Nie tylko nie ma pańskiego statku, ale radar nie pokazuje jednostki tej wielkości nigdzie w promieniu czterdziestu mil.

–To co się, do diabła, stało? Rozmawiałem z nimi dwie czy trzy minuty temu...

–Rozmowę nawiązano z tankowca?

–Tak, do diabła!

–No to najwyraźniej są w jakichś kłopotach...

Lord Worth zakończył rozmowę. Spojrzał na Larsena i Mitchella jakby to, co się stało, było ich wyłączną winą.

–Jedyne, co mogę stwierdzić – powiedział po chwili – to tyle, że kapitan „Torbello” dostał pomieszania zmysłów.

–Ja powiedziałbym raczej, że siedzi zamknięty pod pokładem swojego statku – mruknął Mitchell.

–Do twoich różnorodnych umiejętności doszła teraz telepatia? – zdumiał się lord Worth.

–Nie, to tylko logiczne rozumowanie, którego wniosek jest oczywisty. Pański „Torbello” został porwany.

–Porwany? Porwany! Teraz już przesadziłeś! Kto kiedy słyszał o porwaniu tankowca?

–A czy ktoś słyszał o porwaniu odrzutowca, zanim nie zdarzyło się to po raz pierwszy? Po tym, co przytrafiło się „Crusaderowi”, kapitan „Torbello” powinien być ostrożniejszy i nie pozwolić żadnej jednostce zbliżyć się, o wpuszczeniu na pokład nie mówiąc. Jedynym wyjątkiem, kiedy nie żywiłby żadnych podejrzeń, byłyby jednostki Navy i Straży. Słyszeliśmy o kradzieży statku badawczego Marine Gulf Corporation. Wiele takich jednostek to przerobione kutry Straży Przybrzeżnej z gotowym lądowiskiem dla helikopterów. Ta jednostka na136 zwała się „Hammond”. Z pańskimi możliwościami powinien pan w ciągu kilku minut wiedzieć, czy to, co powiedziałem, w ogóle do niej pasuje.

Lord Worth wiedział to rzeczywiście po kilku minutach.

–Więc miałeś rację – był zbyt ogłupiały, aby przeprosić. – Oczywiście, to był „Tiburon”, na pokładzie którego Cronkite wypłynął z Galveston. Bóg jeden wie, jaką nazwę nosi w tej chwili... Zastanawiam się, co teraz?

–Przypuszczam, że telefon od Cronkite'a – powiedział zamyślony Mitchell.

–Po co miałby do mnie dzwonić?

–Skąd mam wiedzieć? Jakies dodatkowe żądania lub coś innego!

Lord Worth miał potężnych przyjaciół i nie zamierzał czekać z założonymi rękami. Na wstępie zadzwonił do admirała w kwaterze głównej US Navy, domagając się podjęcia natychmiastowych poszukiwań lotniczych i morskich. Marynarka oznajmiła przepraszająco, że do tego potrzeba zezwolenia szefa sztabu, to znaczy prezydenta USA, który nie jest zbyt skłonny do takich posunięć, zwłaszcza że ani on, ani kongres nie mają powodu odczuwać miłości wobec towarzystw naftowych, które sprawiają przede wszystkim notoryczne kłopoty. Było to posunięcie nie fair w stosunku do samego lorda Wortha, który nigdy nie sprawiał kłopotów nikomu z Waszyngtonu, przynajmniej jako głowa North Hudson Oil Company. Co jednak istotniejsze, poszukiwania miałyby być prowadzone na wodach międzynarodowych, czyli nie podlegających jurysdykcji USA. W dodatku pogoda jest parszywa. Nie dość, że noc, to jeszcze deszcz, a choć radar jest w stanie wykryć setki statków w tym rejonie, to identyfikacja wizualna jest w tych warunkach niemożliwa.

Następna próba została skierowana pod adresem CIA. Instytucja ta jednak okazała zupełny brak zainteresowania. W ostatnich czasach tyle razy sparzyli się na arenie międzynarodowej, że chwilowo zajmowali się wyłącznie lizaniem ran.

FBI przypomniało mu delikatnie, że zajmuje się sprawami tego typu, o ile zaszły na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i że dostaje choroby morskiej za

każdym razem, gdy przychodzi wypłynąć w morze.

Lord Worth zamierzał jeszcze zwrócić się do ONZ, ale ustąpił przed argumentami Larsena i Mitchella, że po pierwsze nie tylko kraje arabskie, Nigeria i Wenezuela, ale praktycznie cała Ameryka Południowa byłaby przeciwna wnioskowi, a poza tym organizacja ta nie ma żadnej

mocy prawnej i fizycznej, a w dodatku zanim podjęłaby jakąś decyzję, to sprawa przestałaby już interesować kogokolwiek z nim samym włącznie.

Po raz pierwszy w życiu lord Worth wydawał się być bezsilny... Odkrył, że czasami można znaleźć się w takiej samej sytuacji, jak ponad dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców tej planety.

Operator zapowiedział połączenie. Był to, jak słusznie przewidział Mitchell, Cronkite. Był szczęśliwy mogąc poinformować lorda Wortha, że nie ma powodów do obaw o „Torbello”, gdyż jest on bezpieczny i znajduje się w odpowiednich rękach.

–Gdzie!? – gdyby nie obecność córki, potentat naftowy niewątpliwie ubarwiłby swoje pytanie paroma dobrze dobranymi inwektywami.

–Wolę dokładnie nie precyzować miejsca. Wystarczy, jeśli powiem, że zakotwiczył w jednym z portów pewnego kraju w Ameryce Łacińskiej. Mam zamiar zasilić ów kraj jego ładunkiem. Kraj ten jest dość ubogi we własne zasoby ropy naftowej. – Nie dodał, że jego zamiarem jest zrobić to dodatkowo za pół ceny, co powinno przynieść mu kilkaset tysięcy dolarów ekstra. Powiedział za to, że planuje wyprowadzić następnie statek z portu i zatopić go. O ile, oczywiście...

–Jeżeli co? – głos Wortha nabrał dość specyficznej dla niego chrypki znamionującej zdenerwowanie.

–Jeżeli nie zaprzestanie pan natychmiast wydobywania ropy na „Sea-witch”!

–Dureń! – Że co?

–Twoje żłoby dawno tego dopilnowały. Nie powiedzieli ci?

–Chcę dowodu. Chcę rozmawiać z Durandem lub Mortensenem.

–Chwilę – powiedział ostrożnie lord Worth. – Musimy któregoś z nich znaleźć.

Tym zajął się Mitchell. Mortensen został dokładnie poinformowany, czego się po nim oczekuje i potwierdził Cronkite'owi, że wydobywanie ropy już ustało. W odpowiedzi usłyszał pełną satysfakcji pochwałę i radio umilkło. Dopiero teraz Mitchell zabrał swoją trzydziestkę ósemkę z ucha Mortensena, a dwóch ludzi Palermo wyprowadziło go z pokoju. Mitchell zdjął kaptur, Marina przyglądała mu się z przerażeniem i fascynacją w spojrzeniu. – Ayleś gotów go zabić... – szepnęła.

–Niezupełnie. Miałem ochotę poklepać go po plecach i powiedzieć, jakim dobrym

jest chłopcem. Proszę, abyś stąd wyszła...

Rozdział dziewiąty Lord Worth zaledwie zdążył otrzeć pot z czoła, gdy do pokoju wpadło w dość dużym pośpiechu dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Palermo, drugim zaś członek załogi, Simpson, którego obowiązkiem było śledzić ekrany czujników umieszczonych na filarach i kablach kotwicznych. Ten ostatni był bez wątpienia nad wyraz zdenerwowany.

–Jakie to nowe przykrości zgotował nam los? – spytał go lord.

–Ktoś jest pod platformą, sir. Instrumenty trochę pogłupiały, ale jakiś obiekt, prawie na pewno metalowy, jest w bezpośrednim sąsiedztwie zachodniego filara.

–Nie ma możliwości pomyłki? Simpson kategorycznie potrząsnął głową.

–Trochę to dziwne. Czyżby Cronkite zamierzał zatopić „Seawitch” ze swoimi ludźmi na pokładzie?

–Może nie chce jej zatopić, a tylko zniszczyć jeden ze wsporników, aby naruszyć pływalność i mieć pewność, że nikt tu niczego nie wydobywa – odezwał się Mitchell.
– Może chceć czegokolwiek, może nawet być skłonny poświęcić życie swoich ludzi, aby tylko pana dostać. Wiem, że macie akwalungi... Chciałbym je zobaczyć.

–Przypuszczam, że znów ma zamiar kogoś zamordować – powiedziała Marina, gdy Mitchell wyszedł z Palermo. – On jest nieludzki, prawda?

Lord Worth spojrzał na nią bez entuzjazmu.

–Jeśli nieludzkim nazywasz dopilnowanie tego, żebyś ty nie straciła życia, to owszem. Nigdy nie sądziłem, że będę musiał się wstydzić za własną córkę...

Palermo miał dwa kombinezony wraz z wyposażeniem i dwóch ludzi wyszkolonych w obsłudze wszystkiego, ale Mitchell mógł wziąć ze sobą tylko jednego. Palermo nie był człowiekiem, którego łatwo zadziwić, ale ostatnimi czasy zdarzało mu się to zbyt często i wiedział już, że decyzji tego człowieka nie należy raczej kwestionować. W nadzwyczaj

i*.. krótkim czasie Mitchell i jego towarzysz, nazwiskiem Sawyers, ubrani byli w piankowe kombinezony z akwalungami. Ponadto wyposażyli się w powietrzne harpuny wielokrotnego użytku oraz długie noże przypięte do łydek. Do wody dostali się w jedyny możliwy sposób – opuszczeni w klatce zawieszanej na ramieniu dźwigu. Będąc już pod powierzchnią po prostu otworzyli drzwiczki i odплыli.

Simpson nie pomylił się. Na dole wrzała praca. Dwóch nurków połączonych powietrznymi węzami z cieniem statku o jakieś sześć metrów nad nimi i wyposażonych w silne reflektory czołowe przymocowywało miny i potężne ładunki amatu do konstrukcji filara. Mitchell stwierdza, że mają dość tego nawet na wywrócenie wieży Eiffla. Może Cron-kite nie chciał niszczyć platformy, może był tylko przewidujący... Obaj nurkowie byli zbyt przejęci swoim zadaniem, by spostrzec zbliżanie się niebezpieczeństwa. Mitchell i Sawyers zetknęli maski i skinęli jednocześnie głowami. Nie bawiąc się w kurtuazję podплыli do kąta, w którym praktykowali niedoszli sabotażyści i zastrzelili ich z harpunów. W myśl dobrze pojętych zasad przetrwania przeładowali broń i przecięli rury powietrzne z wplecionymi w nie przewodami telefonicznymi.

Na pokładzie „Starlighta” Easton i jego ludzie prawie natychmiast zdali sobie sprawę, że coś jest mocno nie w porządku – manometry przy przewodach tlenowych nurków oszalały. Obydwaj nieboszczycy zostali przyciągnięci na linkach asekuracyjnych do burty – nadal z harpunami w plecach. Podczas wyciągania ich na pokład dwaj ludzie z załogi w pewnej chwili krzyknęli przeraźliwie w agonii: to Mitchell i Sawyers wynurzyli się na chwilę i zaliczyli dwa kolejne trafienia. Trudno powiedzieć, z jakim dokładnie skutkiem, gdyż według Eastona stało się to, co aż nadto usprawiedliwiało odwrót, toteż ruszył ile mocy w dies-lach. Silniki były doskonale słyszalne, ale panujące ciemności i duża szybkość odwrotu sprawiły, że obsada dział nawet nie próbowała otwierać ognia.

Obaj płetwonurkowie powrócili na miejsce założenia ładunków, tym razem z zapalonymi latarkami. Do min oraz do kostek amatu podłączone były detonatory czasowe, które oderwali i posłali na dno oceanu. Dla wszelkiej pewności odłączyli także zapalniki i sam materiał wybuchowy, aktualnie zupełnie niegroźny i posłali w ślad za detonatorami. Miny zostawili profilaktycznie w spokoju. Nie byli w tej materii specjalistami, ale wiedzieli, że miny potrafią sprawiać niespodzianki. Poza klasycznym zapalnikiem zegarowym, chemicznym czy radiowym bywają wyposażone w zapalnik ciśnieniowy nastawiony na jakąś określoną głębokość. Był to środek bezpieczeństwa na wypadek awarii me140 chanizmu czasowego lub odpadnięcia całego urządzenia. Obecność w pobliżu miny wybuchającej na mniejszej głębokości, nie była miłą perspektywą, wrócili zatem szybko tą samą drogą i pomaszerowali do kabiny radiowej. Na rozmowę z lordem Worthem musieli chwilę poczekać, gdyż

pograżony był akurat w pozbawionej kurtuazji rozmowie z Cronkite'em. Obok siedziała Marina z twarzą poszarzałą i zaciśniętymi pięściami. Spojrzała na nich obu, po czym odwróciła wzrok, jakby nie miała ochoty już więcej ich oglądać, co w tym momencie było nader prawdopodobne.

–Worth, ty kutasie! Ty morderco! – wył Cronkite zupełnie nieświadomy obecności kobiety. – Trzech moich ludzi nie żyje, mają harpuny wbite w plecy!

Marina spojrzała ponownie na Mitchella, on zaś w tym momencie odniósł wrażenie, że albo uważa go za potwora z kosmosu, albo z głębin – ale na pewno za potwora.

–Z przyjemnością zarządziłbym powtórkę – lord też był wściekły. – Ale tym razem z tobą jako celem!

Cronkite parsknął, po czym oznajmił coś, co mogło być prawdą.

–Moim zamiarem było czasowo uszkodzić platformę, nie czyniąc krzywdy nikomu na pokładzie. Ale jeśli chcesz grać ostro, to będziesz musiał znaleźć sobie nową „Seawitch” w przeciągu doby. To znaczy, jeśli będziesz miał szczęście i uda ci się przetrwać. Mam zamiar znieść platformę z powierzchni morza!

–Ciekawe będzie dowiedzieć się, jak zamierzasz to zrobić. Otrzymałem wiadomość, że twoje okręty odwołano do bazy.

–Istnieje wiele sposobów, by tego dokonać – głos Cronkite'a w zasadzie brzmiał dość pewnie. – W tym czasie rozładuję i zatopię twoje „Torbello”.

W rzeczywistości Cronkite nie miał ochoty na zatapianie niezłego statku. Tankowiec zarejestrowany był pod banderą panamską, a jemu nie brak było przyjaciół w tym kraju. Za godziwą opłatę statek mógł łatwo zmienić właściciela. Rozmowa zakończyła się trzaskiem zapobiegającym kolejnej wymianie obelg.

–Jedno jest pewne: to doskonały łgarz – mruknął Mitchell. – Z pewnością jest gdzieś blisko i tylko gada o Ameryce Południowej...

–Jak sprawy na dole? – zainteresował się lord Worth.

–Słyszał pan. Z naszej strony nie było problemów.

–Oczekujesz dalszego ciągu?

–Tak. Na mój gust był zbyt pewny siebie.

–Co zrobi tym razem?

–Nie wiem. Może nawet powtórzyć ten sam numer...

–Po tym, co się stało?

–Może liczyć na naszą niedomyślność. Jednego jestem pewien; jeżeli użyje tej samej metody, to w trochę inny sposób. Nie sądzę, aby groził nam desant spod wody czy z powietrza. Takich ludzi on nie ma. Nie sądzę, aby potrzebny był całonocny dyżur przy radarze czy sonarze. Zresztą radiooperator też potrzebuje wypoczynku, a i tak ma przecież alarm w kabinie. Simpsona potrzymałbym jeszcze na nogach, może się bowiem zdarzyć, że nasi przyjaciele spróbują wkrótce po raz wtóry.

–Ale tym razem będą na was czekać – odezwał się Palermo. – I będą mieli straż ochraniającą nurków, a może nawet reflektory, których nie da się dostrzec z pokładu. Za pierwszym razem mieliśmy szczęście, a to związane było głównie z zaskoczeniem. Tym razem tak się nie uda...

–Nie potrzebujemy szczęścia. Nie po to lord Worth kazał ukraść i ściągnąć tutaj wszystkie te bomby głębinowe. Wśród pańskich ludzi powinien być ktoś, kto zna się na tym...

–Jest. Nazywa się Cronin, eks-podoficer Navy – Palermo przyjrzał mu się uważnie. – Bo co?

–Chyba można nastawić zapalniki na głębokość półtora do dwóch metrów.

–Sądzę, że tak. Dlaczego?

–Podtoczymy trzy bomby na skraj platformy, powiedzmy o dwadzieścia metrów od każdego filara. Cronin powie nam, czy taka odległość wystarczy. Jeśli Simpson wykryje cokolwiek, zepchniemy najbliższą. Filar nie powinien doznać uszkodzeń, przebywająca w pobliżu łódź zapewne też nie, ale nurkowie chyba nie ujdą bez szwanku.

Palermo przyjrzał mu się z zimnym podziwem.

–Jak na człowieka, który powinien stać po stronie prawa, to jest pan, Mitchell, skurwielem obdarzonym najzimniejszą krwią z jakim się spotkałem.

–Jeśli nie chce pan umrzeć, powinien pan być podobny. Trzysta metrów niżej jest trochę nieprzyjemnie. Proponuję, aby wziął pan Cro-nina i paru ludzi i zajął się bombami.

Sam zresztą poszedł za nimi, by przyjrzeć się pracy. Cronin zgodził się w kwestii odległości i pozostała trójka zaczęła przetaczać ładunki. Gdy tak stał i patrzył, podeszła do niego Marina.

–Znów ktoś zginie, Michael?

–Mam nadzieję, że nie.

–Ale jesteś gotów zabić...

–Jestem gotów przetrwać. Jestem gotów zrobić tak, żebyśmy my wszyscy przetrwali.

–Lubisz zabijać? – ujęła go za ramię.

–Nie.

–To jak się to dzieje, że jesteś w tym dobry?

–Ktoś musi być...

–Dla dobra ludzkości, jak przypuszczam?

–Słuchaj, nie musimy o tym rozmawiać...

Urwał nagle, a po chwili odezwał się powoli, mówiąc jak do dziecka.

–Gliniarze zabijają, żołnierze zabijają... Nie muszą tego lubić. W czasie pierwszej wojny światowej, facet imieniem Foch został najbardziej udekorowanym żołnierzem za to, że był odpowiedzialny za śmierć miliona ludzi. Fakt, że większość z nich to byli jego ludzie, niewiele znaczy. Nie poluję, nie strzelam dla rozrywki, nie łowię nawet ryb. Chodzi mi o to, że takie na przykład owce są mi dość obojętne, ale nie zawiążę przecież takiemu zwierzęciu sznura na szyi i nie będę zmuszał go do biegu obok samochodu przez godzinę, aż padnie z wyczerpania. Wszystko, co robię, to likwidacja takich zbrodniarzy. Dla mnie każdy bandyta, uzbrojony czy nie, to wróg.

–I za to wylecieliście z Johnem z policji?

–Muszę ci mówić?

–Czy kiedykolwiek zabiłeś kogoś, o kim ty lub ja powiedzielibyśmy, że był dobry?

–Nie, ale jeśli się nie zamkniesz...

–Pomimo wszystko nadal sądzę, że mogę wyjść za ciebie.

–Nigdy cię o to nie prosiłem.

–No to na co czekasz?

Mitchell westchnął, po czym uśmiechnął się.

–Marino Worth, czy uczynisz mi ten zaszczyt...

Z tyłu rozległo się kasznięcie lorda Wortha. Marina okręciła się na pięcie.

–Tatusiu, masz niewątpliwy dar pojawiania się w nieodpowiednich miejscach i w nieodpowiednim czasie!

–Powiedziałbym, że chwila jest najodpowiedniejsza – z oburzeniem sprzeciwił się jej ojciec. – Moje najszczerze gratulacje! Nie da się ukryć, że wybrałaś, mój chłopcze, odpowiedni moment. Wszystko zabezpieczone na noc?

–Tak dalece, na ile mogę przewidzieć plany Cronkite'a.

–Moje zaufanie do ciebie jest całkowite. Cóż, dla mnie najwyższy czas do łóżka... Czuję się, chyba zresztą niebezpiecznie, bardzo zmęczony.

–Ja też – stwierdziła Marina. – Cóż, dobrej nocy, facygancie!

Pocałowała go lekko i odeszła w ślad za ojcem.

Po raz pierwszy zaufanie lorda Wortha do Mitchella było przesadą, ten bowiem popełnił ostatni błąd, co prawda niezwykle trudny do przewidzenia. Wysłał radiooperatora na spoczynek. Gdyby człowiek ten pozostał na stanowisku, to bez wątplenia usłyszałby o kradzieży broni nuklearnej i Mitchell mógłby spokojnie dodać dwa do dwóch.

Podczas trzech godzin nie zakłóconego snu lorda Wortha Mulhooney był niesamowicie aktywny. Pozbył się pięćdziesięciu tysięcy ton ropy i wypłynął daleko za linię horyzontu. Powrócił jedynie z dwoma towarzyszami w motorowej łodzi ratunkowej z przykrą wiadomością o zatonięciu tankowca rozerwanego eksplozją, która zabiła na dodatek resztę załogi. Tymczasem pozabijana w raporcie załoga zajęła się przeprowadzeniem tankowca do Panamy. Przekazano mu oficjalne kondolencje; czysta fikcja i hipokryzja – gdy tankowiec eksploduje, łodzie ratunkowe nie pozostają nietknięte. Republika nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z USA, a jedyne, co mogła objąć ekstradycją, to cholera i tyfus. Na trzech rozbitków czekał zaś prywatny odrzutowiec. Z podstemplowanymi paszportami odlecieli do Gwatemali. Parę godzin później zjawili się na lotnisku w Huston. Mając dziesięć milionów na drobne wydatki, Cronkite nie przejmował się dodatkowymi drobiazgami. Mulhooney wraz z przyjaciółmi wynajęli helikopter i odlecieli w stronę Zatoki Meksykańskiej.

W czwartej godzinie snu lorda miała miejsce podwodna eksplozja, która jednak nie zakłóciła mu wypoczynku. Uczynił to natomiast wściekły telefon od Cronkite'a oskarżający magnata naftowego o zabicie dwóch kolejnych ludzi i zapowiadającego straszliwą zemstę. Lord Worth przerwał połączenie nie siląc się nawet na odpowiedź. Posłał po Mitchella i dowiedział się, że Cronkite rzeczywiście próbował ponownie uszkodzić filar. Bomba głębinowa spełniła oczekiwania, gdyż reflektor odnalazł w wodzie ciała dwóch nurków. Jednostka, która ich przywiozła, ocalała, bo słychać było oddalający się odgłos silników. Zamiast uciekać jak najdalej, po prostu przepłynęła pod platformą i zanim zdołano zaalarmować obsługę dział z drugiej strony, przepadła w ciemnościach. Lord Worth uśmiechnął się błogo i powrócił do przerwanego snu.

W piątej godzinie snu nie uśmiechałby się tak błogo, gdyby wiedział o dość dziwnej aktywności mającej miejsce w samotnym motelu w Luiz-janie, który notabene był jego własnością. To tu właśnie zapasowa załoga „Seawitch” spędzała wolny czas. Miejsce owo oferowało wszystko, co mogło jej być potrzebne do szczęścia, czyli doskonale jedzenie, wybór napojów, filmów i wysokiej klasy burdel. Zresztą żaden z naf-ciarzy nie miał ochoty wyjść poza ogrodzenie. Dziewięciu na dziesięciu było poszukiwanych przez prawo i najbardziej zależało im na odrobinie prywatności.

Napastnicy – około dwudziestu chłopów – przybyli około północy. Dowodził nimi człowiek nazwiskiem Gregson: ze wszystkich pomocników Cronkite'a był on najbardziej niebezpieczny i przypominał tygrysa, którego boli ząb. Służba została potraktowana chloroformem, zanim ktokolwiek zdążył się obudzić. Członkowie załogi również spali, ale nieco inaczej. Alkohol jest zakazany na platformach wiertniczych i ludzie mający w perspektywie rychły powrót do abstynencji zrobili wszystko, co mogli, by wykorzystać wieczór ostatniej szansy. Ich stan oscylował między paraliżem a nieprzytomnym transem. Załadowanie ich na czekającą ciężarówkę nie trwało dłużej niż pięć minut. Prawie wszyscy spali twardo i jedynie dwóch, usiłujących stawić coś w rodzaju oporu, Gregson zastrzelił na miejscu z zaopatrzonej w tłumik beretty.

Pozostałych przetransportowano do zupełnie pustego i położonego na odludziu magazynu, który, choć nie gwarantował żadnego komfortu, doskonale spełniał pożądane warunki. Więźniów nikt nie wiązał ani nie kneblował, pozostawiono jedynie przy nich dwóch cerberów uzbrojonych w pistolety maszynowe. Ten środek ostrożności też zresztą wydawał się być zbędny – wszyscy jak jeden spali chrapiąc, aż się ściany trzęsły.

W siódmej godzinie snu lorda Wortha Mulhooney wylądował z dwoma towarzyszami na pustym lądowisku „Georgii”. Na razie Cronkite pozbawiony był własnej maszyny zaanektowanej w prosty sposób na pokładzie „Seawitch”, nie miał więc nic przeciwko zatrzymaniu helikoptera i bezsilnego pilota.

Prawie w tym samym czasie inny helikopter wylądował na „Seawitch” przywożąc tylko jednego pasażera. Doktor Greenshaw wyglądał tak, jak się czuł. Poszedł wprost do szpitala i nie zdejmując nawet 10 – Wiedźma Morska

ubrania od razu położył się do snu. Właściwie powinien, jak sądził, zameldować lordowi, że z Melindą i Roomerem wszystko w porządku, ale doszedł do wniosku, że dobre nowiny mogą poczekać.

Kończąc ósmą godzinę snu, gdy zaczynało już świtać, lord Worth obudził się, przeciągnął, założył doskonale skrojony szlafrok i wyszedł na pokład. Deszcz przestał już padać i zaczynało nieśmiało pokazywać się słońce. Wszystko to zapowiadało piękny dzień. Gratulując sobie w duchu, że w nocy nic ważnego się nie zdarzyło, powrócił do wnętrza, by dopełnić zwyczajowych ablucji porannych.

Zadowolenie lorda Wortha było przedwczesne. Piętnaście minut później radiooperator, który rozpoczynał służbę, usłyszał wiadomość, która wcale mu się nie spodobała, i ruszył prosto do kabiny Mitchella. Podobnie jak wszyscy na pokładzie, włączając Palermo i Larsena, wiedział doskonale, że osobą, którą należy alarmować w przypadku zagrożenia, jest Mitchell. Myśl, aby udać się z tym do lorda Wortha nawet nie zaświtała mu w głowie.

Mitchell akurat się golił. Wyglądał na zmęczonego, czemu i trudno było się dziwić, zważywszy, że większość nocy spędził na nogach.

–Mam nadzieję, że nie są to nowe kłopoty? – spytał.

–Nie wiem – operator wręczył mu tekst. – Dwie sztuki taktycznej broni nuklearnej zostały skradzione z Netly Rowan Arsenał wczoraj po południu. Wywiad podejrzewa wywiezienie samolotem lub helikopterem na południe, w kierunku Zatoki Meksykańskiej z niewiadomym punktem docelowym. Został ogłoszony alarm, każdy, kto może udzielić jakichkolwiek wiadomości, powinien...

–Jezu! Łap natychmiast ten arsenał! Mów w imieniu Wortha. Zaraz będę u ciebie.

Zaraz trwało pół minuty.

–Już mam – odezwał się operator. – Chociaż nie bardzo kwapią się do współpracy...

–Daj mi to. Nazywam się Mitchell. Z kim rozmawiam?

–Pułkownik Pryce.

Ton nie był właściwie obraźliwy, po prostu wyższy oficer w rozmowie z cywilem.

–Pracuję dla lorda Wortha, może pan sprawdzić to w policji w Fort Lauderdale, Pentagonie lub Departamencie Stanu – Mitchell zwrócił

się do operatora, wystarczająco głośno jednak, by Pryce mógł usłyszeć: – Dawaj lorda, nie obchodzi mnie, czy bierze kąpiel, czy robi coś innego. Ma tu zaraz być! – i wrócił do mikrofonu. – Pułkowniku, oficer o pańskim stopniu powinien wiedzieć o porwaniu córek lorda Wortha. Moim zadaniem było odnalezienie ich i zrobiłem to. Co jest teraz najważniejsze to to, że platforma wiertnicza „Seawitch” jest zagrożona zniszczeniem. Dwie próby zostały już podjęte i zakończyły się niepowodzeniem po naszych kontrakcjach. Pentagon potwierdził, że Navy zatrzymała na pełnym morzu trzy okręty wojenne zmierzające tu w celu zniszczenia platformy. Mam wszelkie podstawy przypuszczać, że te bomby również są wiezione w naszą stronę. Chcę mieć pełną informację o nich i ostrzegam pana, że Worth przyjmie każdą próbę nieudzielenia pomocy jako niedopełnienie obowiązków służbowych. Wie pan chyba, czego można się spodziewać po niezadowolonym lordzie...

–Zupełnie niepotrzebnie mi pan grozi – w tonie pułkownika nastąpiła wyraźna zmiana.

–Chwileczkę, lord Worth właśnie przyszedł!

Mitchell zdał mu krótką relację z dotychczasowej rozmowy starając się mówić tak, żeby Pryce słyszał każde słowo.

–Atomówki! Dlatego Cronkite był taki pewien swego! – lord Worth praktycznie wyrwał słuchawkę z ręki Mitchella. – Tu Worth. Mam gorącą linię do sekretarza stanu. Mogę go mieć na linii w piętnaście sekund. Chce pan, abym to zrobił?

–To nie jest potrzebne, lordzie Worth.

–To proszę podać mi dokładny opis tych przeklętych bomb oraz powiedzieć, jak one działają.

Pryce opowiedział wszystko niemal z entuzjazmem. Opis był identyczny z tym, co kapitan Martin awansem przekazał pułkownikowi Far-ąuarsonowi.

–I jeszcze jedno... Martin był nowym oficerem, ledwo wprowadzonym w obowiązki. Te urządzenia, bo trudno inaczej je nazwać, są dwukrotnie bardziej skuteczne niż im powiedział. Poza tym zabrali zły typ. Te nie mają czarnych przycisków uzbrajających, a zegar jest nie na sześćdziesiąt, a na dziewięćdziesiąt minut. Ponadto mogą być odpalane drogą radiową.

–Coś skomplikowanego? Jakiś numer, określona częstotliwość?

–Coś bardzo nieskomplikowanego. Nie można wymagać od żołnierzy w ogniu walki,

aby pamiętać jakieś abstrakcyjne numery. To po prostu owalne urządzenie mieszczące się w kieszeni. Trzeba tylko zdjąć przykrywkę, przekręcić czarny przełącznik o trzysta sześćdziesiąt stopni

i wdusić. Ważne jest, że wystarczy przekręcić go w odwrotną stronę i to wyłączy detonator. Może potem być włączony o dowolnej porze.

–Jeśli będzie użyte przeciwko nam... Mamy spory zbiornik ropy w sąsiedztwie. Nie spowoduje mocnego wycieku?

–Sir, ropa z natury rzeczy jest łatwiejsza do odparowania niż stal.

–Aha. Serdeczne dzięki.

Lord Worth i Mitchell wyszli, kierując się wprost ku apartamentowi gospodarza.

–Przypomniały mi się dwie sprawy – odezwał się lord. – My tylko przypuszczamy, że jest to niespodzianka dla nas, ale z drugiej strony byłoby głupotą tego nie zakładać. Poza tym, jeśli będziemy utrzymywali stały dyżur przy radarze, sonarze i czujnikach, to nie bardzo widzę, jak ten szalenciec może nam to podrzucić!

–Coś, co jemu wpadnie do głowy, będzie na pewno trudne do wymyślenia...

Z helikoptera North Hudson Gregson nawiązał łączność z oczekującą „Georgią”.

–Jesteśmy piętnaście mil od nich.

–Startujemy za dziesięć minut.

Głośnik w salonie ożył.

–Z północnego wschodu zbliża się helikopter.

–Bez paniki, to zmiana załogi.

Lord Worth zaczął się golić, gdy maszyna wylądowała. Mitchell siedział w laboratorium wyglądając nader uczenie w białym fartuchu i rogowych okularach, zaś doktor Greenshaw ciągle spał.

Poza związaniem i zakneblowaniem pilotów pasażerowie helikoptera nie zastosowali wobec nich innej przemocy. Wyszli w zorganizowany sposób i nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Załoga obserwowała to wszystko pamiętając, by pilnować przede wszystkim swojego nosa. Z obcymi nie należało się zadawać, a nowo przybyli byli właśnie obcy. Lord Worth był właścicielem nie mniej niż dziesięciu platform, całkiem zresztą legalnych, i zwykł czasem zmieniać załogi, co łatwo tłumaczyło obcość. Przybysze nieśli standardowe torby i worki zawierające rzeczywiście pewną ilość odzieży – gdzieś w końcu musieli ukryć broń. Dzięki instrukcjom Gregson

wiedział dokładnie, gdzie ma się udać. Pokład patrolowało dwóch nieświadomych niczego wartowników, reszta ludzi Palermo z nim samym włącznie odpoczywała w kwaterach. Gregson poprowadził swój oddział do kwater wschodnich, przy których torby zostały złożone na pokładzie i otwarte. W sekundę później wyleciały z trzaskiem okna, a to, co się działo przez następne pół minuty, było po prostu masakrą. Pistolety maszynowe, bazooki, miotacze ognia i granaty łzawiące uciszyły wszelkie przejawy życia wewnątrz nadbudówki. Obydwaj strażnicy zostali zastrzeleni, zanim zdążyli zrozumieć, co się właściwie dzieje. Ocalał jedynie Larsen, który spał w swojej kabinie. Ledwie skończyła się strzelanina, gdy z prywatnych kwater lorda Wortha wybiegli ich mieszkańcy. Apartamenty te były co prawda wyciszone, ale nie do tego stopnia, by nie było słyhać podobnej palby. Ludzi było czworo: dwóch mężczyzn w białych fartuchach, postać w japońskim szlafroku i dziewczyna. Jeden z ludzi Gregsona strzelił dwukrotnie do najbliższej biało odzianej postaci. Mitchell zachwiał się i runął na pokład. Gregson trzasnął strzelającego w nadgarstek i facet zawył z bólu wypuszczając broń z pogruchotanej dłoni.

–Idioto! – głos Gregsona był równie wściekły, jak jego twarz. – Mr Cronkite powiedział, że tylko cyngli!

Gregson był idealnie zorganizowany. Podzielił swoje siły na pięć grup po dwóch ludzi każda. Pierwsza spędziła załogę do kwater, druga, trzecia i czwarta złożyły wizyty w pomieszczeniach czujników, kabinie sonaru i radaru. Operatorzy zostali związani, a wyposażenie potraktowano seriami z karabinów. „Seawitch” była teraz głucha, ślepa i prawie niema. Piąta grupa udała się do radiokabiny, gdzie związano operatora, ale nie ruszono aparatury.

Doktor Greenshaw podszedł do Gregsona.

–Pan tu rządzi?

–Tak.

–Jestem lekarzem...

Skinął ręką w stronę Mitchella, którego fartuch pokryty był krwią. Sam poszkodowany zwijał się na pokładzie w nader przekonywających figurach. Marina klęczała obok niego ocierając łzy z policzków.

–On jest ciężko ranny, muszę go zabrać do siebie i opatrzyć.

–Nie mamy nic do pana – odparł Gregson, co przypadkowo było najgłupszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił.

Doktor Greenshaw pomógł słabemu, słaniającemu się na nogach Mitchellowi dostać do izby przyjęć, gdzie, ledwie drzwi się zamknęły, ranny okazał się być

przypadkiem cudownego i natychmiastowego uzdrowienia. Marina przyglądała mu się w zdumieniu, które po chwili zamieniło się w złość.

–Dlaczego, ty stulicowy...

–Tak się nie mówi do chorego – przerwał jej Mitchell zdejmując marynarkę z fartuchem i koszulę. – Nigdy dotąd nie widziałem cię płaczącej, wyglądasz wtedy jeszcze piękniej. Ale to jest moja najprawdziwsza krew. Doktorze, oto czysty postrzał lewego przedramienia i zadrapanie prawego ramienia... Teraz proszę się naprawdę postarać. Prawa ręka od ramienia aż do łokcia w grubym opatrunku, a lewa w opatrunku sięgającym niżej łokcia i wspaniały, duży temblak. Marino, nawet tak olśniewające piękności jak ty noszą zwykle ze sobą puder... Mam nadzieję, że nie jesteś wyjątkiem?

Nadal nie była udobruchana.

–Mam trochę... dziecięcego – dodała złośliwie.

–Daj go, proszę.

Pięć minut później Mitchell był pomnikiem dzielnie trzymającej się ofiary zamachu. Prawa ręka owinięta bandażem, lewe ramię i przedramię podobnie, temblak, zaiste imponujący, oraz blade oblicze dopełniały reszty. Z głębi marynarki wyciągnął swoją trzydziestkę ósemkę, wsunął świeży magazynek i schował w temblak, gdzie broń była zupełnie niewidoczna.

–Nigdy się nie poddajesz, co? – głos Mariny zawierał złośliwość, podziw i szacunek jednocześnie.

–Nigdy, jeśli chcą mnie wyparować.

–Co pan ma na myśli? – zdumiał się doktor.

–Nasz przyjaciel Cronkite ukradł wczoraj parę taktycznych ładunków nuklearnych. Zamierza skończyć z „Seawitch” na wzór fajerwerków na czwartego lipca. Powinien zresztą być już tutaj. Teraz, doktorze, chcę, żeby pan coś dla mnie zrobił. Proszę wziąć największą torbę, jaką pan ma, i oświadczyć Gregsonowi, że chce się pan udać do ostrzelanych kwater i pomóc umierającym. Wiem, że mieli tam parę ręcznych granatów. Potrzebuję ich.

–Już lecę! Dobry Boże, wygląda pan okropnie! To zupełnie niweczy we mnie moje zaufanie do sztuki lekarskiej...

Wyszli na zewnątrz – maszyna Cronkite'a zdążyła już wylądować. On sam wysiadł pierwszy, za nim wysypała się cała gwardia – Mul-hooney, trzech fałszywych

oficerów i prowadzony pod lufą pilot, a na końcu Easton. Mitchell nie wiedział o tym, że „Starlight” został poważnie uszkodzony wybuchem bomby głębinowej i że jednostka nie nadawała się już do niczego. Około trzech mil od platformy znajdowała się jakaś jednostka wyglądająca na kuter straży przybrzeżnej. Niewiele

ISO

wysiłku wymagało dojście do budującego wniosku, że jest to zaginiony „Hammond”, niestawnej pamięci „Tiburon”, a obecnie „Georgia”. Doktor Greenshaw znów podszedł do Gregsona.

–Chciałbym obejrzeć tych, których rozstrzelaliście, może tam ktoś jeszcze żyje.

–Ja najbardziej chciałbym obejrzeć tego, który tam się chowa – Gregson wskazał stalowe drzwi. – Spicer, chodź no tu z bazooką.

–Zbyteczny trud – wtrącił doktor. – Wystarczy, żebym zastukał. To Komendant Larsen, szef załogi. Śpi tam, bo ceni swój spokój. – Greenshaw zastukał w drzwi. – Komendancie, to ja. Proszę wyjść. Jeśli pan tego nie robi, to jest tu paru takich, którzy zamierzają wysadzić drzwi oraz pana przy okazji. Wychodź, człowieku!

Rozległ się odgłos otwieranego zamka i Larsen powoli wyszedł. Wyglądał niezbyt przytomnie, jak ktoś, komu przerwano zasłużony odpoczynek, co zresztą mogło zgadzać się z prawdą.

–Co tu się dzieje, do wszystkich diabłów?

–Nastąpiła zmiana kierownictwa, przyjacielu – poinformował go Gregson. – Przeszukajcie go.

Wynik przeszukania był zerowy.

–Gdzie jest Scoffield? – zainteresował się Larsen.

–Z załogą – odparł Greenshaw.

–Palermo?

–Nie żyje. I jego ludzie też. To znaczy, tak sędzę i mam właśnie zamiar to sprawdzić – doktor ruszył ku strzaskanym drzwiom.

Nikt mu nie przeszkadzał, gdyż Gregson spotkał się właśnie z Cron-kite'em i obaj pogrążeni byli w rozmowie. Po paru chwilach doktor był pewien, że nikt w środku nie mógł pozostać żywy. Większość ciał była zniekształcona nie do rozpoznania, pocięta seriami z broni maszynowej, porozrywana pociskami z bazook lub zwęglona. Pod jedną ze ścian doktor znalazł jednak cel wyprawy – nieuszkodzoną skrzynkę z granatami i parę pistoletów maszynowych z pełnymi magazynkami. Parę granatów wsunął na dno torby lekarskiej, po czym zerknął przez jedno z potrzaskanych okien – leżący poniżej pokład pogrążony był w cieniu i zasłonięty przez załamanie ściany.

Ostrożnie spuścił tam resztę znaleźsk i zadowolony z dobrze wypełnionego obowiązku ruszył w drogę powrotną.

Kiedy dotarł do kwatery lorda Wortha, stało się dla niego jasne, że lord i Cronkite spotkali się już i że przebiegało to w atmosferze dalekiej od wzajemnego zrozumienia, życzliwości i współpracy. Lord, najprawdopodobniej nieprzytomny, leżał na plecach ze złamanym

nosem. Marina klęczała obok i usiłowała wytrzeć krew chusteczką. Cronkite nie nosił na twarzy żadnych pamiątek powitania, niemniej poobijane kostki dłoni skłoniły go na razie do zajęcia się sobą. Czekał bez wątpienia, aż jego przeciwnik odzyska przytomność, by móc powrócić do wymiany argumentów.

–Przepraszam, kochanie – wyszeptał w końcu lord Worth przez zmasakrowane wargi. – Wszystko to moja wina, koniec drogi...

–Tak – jej głos był równie cichy, ale, co dziwne, nie płakała. – Ale nie dla nas, nie dopóki Michael żyje...

Lord Worth spojrzał na Mitchella i przymknął oczy.

–Co on może zrobić w takim stanie?

–Zabić Cronkite'a i całą tę bandę – odparła cicho, ale stanowczo.

–Myślałem, że nienawidzisz zabijania – szepnął, starając się uśmiechnąć.

–Nie odnosi się to do tych, którzy robią z tobą coś takiego...

Mitchell porozmawiał cicho z doktorem Greenshawem, po czym obaj zbliżyli się do Cronkite'a i Gregsona przerywając im zaciętą argumentację.

–Zrobił pan swoją morderczą robotę aż za dobrze, Gregson. Tam trudno kogokolwiek rozpoznać, nie wspominając już o ratowaniu...

–Kto to? – zapytał Cronkite.

–Lekarz.

–A ten?

Mitchell z minuty na minutę wyglądał coraz gorzej.

–Naukowiec, postrzelony pomyłkowo.

–Ten postrzał jest bardzo bolesny – oznajmił doktor. – Nie mam tu rentgena, ale podejrzewam złamanie ręki tuż pod stawem ramieniowym.

–Za godzinę niczego nie będzie czuł...

Cronkite był prawie jowialny, zupełnie jakby jego umysł oddzielił się od

rzeczywistości.

–Nie wiem, o czym pan bredzi – stwierdził zmęczonym głosem doktor. – Chcę go mieć na powrót w szpitalu i zaaplikować mu znieczulenie.

–Oczywiście, doktorze, chcę, żebyście wszyscy byli w pełni przygotowani na to, co ma nastąpić.

–Co to ma być?

–Później, później...

Greenshaw pomógł zataczającemu się Mitchellowi dojść do ambulatorium. Przeszli przez nie najzupełniej normalnie i nie zauważeni przedostali się przez wewnętrzne drzwi i kawałek korytarza do radiostacji. Greenshaw stanął przy drzwiach, a Mitchell, ignorując związanego operatora skoczył do aparatury. W ciągu dwudziestu sekund miał na fali „Roamera”.

–Z kapitanem Conde.

–Przy mikrofonie.

–Przy następnym kursie opłynicie zbiornik, po czym ruszajcie pełną mocą maszyn. „Seawitch” została zajęta; ale nie sądzę, aby był tu ktoś, kto potrafi obsługiwać działa. Zatrzymajcie się dwadzieścia mil stąd i nadajcie generalne ostrzeżenie do wszystkich statków i samolotów, aby nie zbliżały się do nas na mniejszą odległość. Macie nasze dokładne koordynaty?

–Tak, ale po co to wszystko?

–Dlatego, że będzie tu małe bum. Na litość boską, nie sprzeczasz się ze mną, człowieku!

–Nie sprzeczać się o co? – dobiegło z tyłu.

Mitchell odwrócił się powoli. Zza pistoletu maszynowego uśmiechał się do niego jakiś człowiek, brakowało jednak temu uśmiechowi naturalnego ciepła. Greenshaw pilnował drzwi wewnętrznych, zaś przybysz wlaźł sobie spokojnie od strony pokładu. Jego broń poruszała się wolno od ich obu do związanego operatora.

–Mam wrażenie, że Gregson chciałby was zobaczyć...

Mitchell wstał powoli i zatoczył się, przygięty do ziemi. Wsunął dłoń pod temblak.

–Na Boga, człowieku, nie widzisz, że on jest ciężko ranny? – krzyknął doktor.

Mężczyzna spojrział na niego i te dziesięć sekund wystarczyło Mikowi. Kula z jego pistoletu trafiła przybysza prosto w serce. Mitchell wyrzwał na pokład – w zasięgu wzroku nikogo nie było, a skraj platformy oddalony był zaledwie o dwadzieścia metrów. Parę chwil później nieboszczyk zniknął w falach, a Mitchell i Greenshaw wrócili spokojnie do reszty towarzystwa przez ambulatorium. Cronkite i Gregson nadal zawzięcie nad czymś dyskutowali. Pod ścianą, z dala od innych, stał Lar-sen w stanie zupełnej frustracji.

–Jak się pan czuje? – spytał doktor podchodząc bliżej.

–A jak mam się czuć wiedząc, że zamierzają nas wszystkich wykończyć?

–Zaraz poprawi się panu samopoczucie. Za rogiem tej budowli, jeśli uda się tam panu dostać, znajdzie pan parę granatów, które

powinny spokojnie zmieścić się w kieszeni tego wdzianka. I jeszcze dwa schmeissery z pełnymi magazynkami. W mojej torbie mam parę granatów, a Mitchell nosi w temblaku swoją trzydziestkę ósemkę z tłumikiem, w oczach zaś nosi mord. Jednego już wykończył...

Larsen starał się nie okazywać swoich uczuć. Wyglądał równie ponuro jak zazwyczaj, ale wykrztusił z trudem:

–Chłopie, och chłopie...

Lord Worth był już na nogach, chociaż stał tylko dzięki wydatnej pomocy Mariny.

–Jak się pan czuje, sir? – spytał Mitchell podchodząc do nich.

–Wspaniale – mruknął ze zrozumiałym trudem.

–Niedługo będzie lepiej – zniżył głos i zwrócił się do Mariny. – Gdy dam ci znak, powiedz, że chcesz iść do łazienki. Udaj się do maszynowni, znajdź tam czerwoną dźwignię, oznaczoną jako „Główny bezpiecznik”, i przesunij ją w dół. Policz do dwudziestu i przestaw ją z powrotem w górę...

Cronkite i Gregson zakończyli dyskusję, a sądząc z uśmiechu na twarzy tego pierwszego, zdołał on przeforsować swoje. Lord Worth, Marina, Larsen, Greenshaw i Mitchell stali razem jak zagubiona, zbита gromadka drżąca wobec całej bandy zabijaków.

–Sprawdź! – zwrócił się Cronkite do stojącego obok mężczyzny. Ten podniósł walkie-talkie do ust, mruknął coś w mikrofon i skinął głową. – Ładunki na miejscu.

–Doskonale. Proszę im powiedzieć, żeby odpłynęli dwadzieścia mil na północ i poczekali na nas.

Nieszczęściem dla siebie Cronkite miał zasłonięty widok na wschód i „Roamer”, podążający całą mocą przed siebie, był dla niego niewidoczny.

–Cóż, Worth – uśmiechnął się Cronkite, wyciągając z kieszeni owalne pudełko. – To koniec twój i „Seawitch”. To urządzenie odpala za pomocą fal radiowych ładunki wybuchowe. Zegar da mi sześćdziesiąt minut forów, niemniej dla pewności odejmuję dziesięć. Za pięćdziesiąt zatem minut nastąpi bum i „Seawitch” z wszystkimi na pokładzie zniknie w twarzowym grzybku. Zapewniam cię, że nikt nic nie poczuje...

–To znaczy, że zamierzasz zabić także i moich niewinnych pracowników? Jesteś

obląkany, Cronkite...

–Nigdy nie czułem się lepiej! Nie mogę pozwolić sobie na to, by ktoś mnie zidentyfikował. Zniszczymy dwa helikoptery, dźwig, radiosta154 cję i odlecimy na dwóch pozostałych. Możecie oczywiście skakać do wody, ale szansę są takie, jak przy skoku z Golden Gate. Mitchell szturchnął Marinę.

–Czy mogę iść do łazienki?

–Oczywiście – Cronkite był wcieleniem łaskawości. – Ale proszę się pospieszyć.

Piętnaście sekund później zgasły wszystkie światła.

Widzący w mroku Mitchell skoczył za róg, złapał schmeissery i powrócił błyskawicznie, wciskając jeden z pistoletów w dłońe Larsena. Zajęło mu to wszystko około dziesięciu sekund, akurat dość, aby reszta zaczęła się niepokoić. W ciągu następnych ośmiu sekund obaj uzyskali godny uwagi stopień zniszczenia wnętrza za pomocą przestawionych na ogień ciągły pistoletów. Larsen strzelał na oślep, ale Mitchell starannie wybierał cele. Gregson udzielił im nieoczekiwanego wsparcia, rzucając granaty gdzie popadło. Światła zabłyśły. Siedmiu ludzi żyło nadal: Cronkite, Mulhooney, Eas-ton, Gregson i trzech jego zbirów.

–Rzucić broń! – rozkazał Mitchell.

Byli zszokowani i ogłuszeni, ale posłuchali natychmiast. Marina wróciła i zrobiło się jej niedobrze w bardzo niekobięcy sposób. Mitchell odłożył schmeissera i podszedł do Cronkite'a.

–Daj tę zabawkę.

Dłoń Cronkite'a cofnęła się w przygotowaniu do ciśnięcia pudełka w wody zatoki, ale rzut nie nastąpił. Nastąpił wrzask bólu, gdy kula strzaskała mu prawy łokieć. Mitchell podniósł owakie pudełko i zwrócił się do Larsena.

–Chyba mamy ich gdzie zamknąć?

–Są aż dwa miejsca, oba bezpieczne jak Fort Knox.

–Przeszukaj ich, i to dokładnie. Nie mogą mieć przy sobie nawet scyzoryka.

–Nie mają – zapewnił Larsen po chwili.

Obaj z Mitchellem poprowadzili ich do pomieszczenia przypominającego stalowy sześcian i wepchnęli do środka.

–Na miłość boską, nie zamykajcie nas tu! – jęknął zwijający się z bólu Cronkite.

–A ty co zamierzałeś zrobić z nami? Jak powiedziałeś, nawet nie poczujecie...

Zamknął drzwi na oba zamki, wsadził klucze do kieszeni i udał się śladem Larsena do sąsiednich drzwi. Starannie umieścił na podłodze pudełko, zamknął drzwi i oba klucze wyrzucił do morza.

–Dwadzieścia dziewięć minut – stwierdził. – Lepiej się pospieszmy.

–To szaleństwo! – głos lorda Wortha był prawie krzykiem.

–W tej chwili „Seawitch” jest zupełnie bezpieczna, dlaczego mamy ją niszczyć, na Boga!

Mitchell zignorował go.

–Wyciągnijcie ludzi z kwater, uwolnijcie związanych. Sprawdźcie wszystkie pomieszczenia, żeby nikt tu nie został! Mamy dwadzieścia pięć minut!

Wszyscy ruszyli wykonywać polecenie z wyjątkiem lorda, który stał jak wrośnięty z osłupiałym wyrazem twarzy.

–Musimy się tak spieszyć? – spytał Larsen.

–Skąd możemy wiedzieć, czy mechanizm zegarowy działa dobrze? – zapytał uprzejmie Mitchell.

Zamieszanie potęgowało się. Trzyście minut przed czasem wystartował ostatni z helikopterów. Skierował się na południe. W tym samym czasie pierwszy z nich wylądował na pokładzie „Roamera” wypuszczając Mitchella, Larsena, lorda Wortha z córką, siedmiu członków załogi i doktora. Byli o czternaście mil od „Seawitch”, bowiem tyle, jak na razie, zdołał przepłynąć „Roamer”. Conde zapewnił Mitchella, że wysłał ostrzeżenia ledwie ujrzał zbliżające się maszyny. „Seawitch” eksplodowała dokładnie o czasie i w sposób, mogący zadowolić najwybredniejszych. Był nawet miniaturowy grzybek, do którego wszyscy przywykli w związku z próbami atomowymi. Siedemnaście sekund później doszedł ich grzmot wybuchu, a potem seria słabych i zupełnie niegroźnych tsunami. Mitchell polecił Condowi anulować ostrzeżenie i podać na otwartej częstotliwości wiadomość o tym, co właśnie się stało.

Po załatwieniu owych spraw odwrócił się i ujrzał stojącą obok Marinę. Jej twarz była jak z kamienia.

–No i właśnie zniszczyłeś „Seawitch”. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z siebie.

–Jacy to jesteśmy uszczypliwi! Owszem, była to dobra robota, sam muszę to przyznać, bowiem najwyraźniej nikt nie zamierza mnie docenić...

–Ale dlaczego?

–Každy, kto zginął tam przed chwilą, był mordercą, niektórzy wielokrotnymi. Mogli uciec do krajów, z którymi nie mamy umów o ekstradycji. Nawet złapani mogliby wyjść za kaucją, bowiem sprawy ciągnęłyby się latami. A teraz mam pewność, że nie będą więcej zabijać i że nigdy nie zwrócą się przeciwko nam.

–I dlatego trzeba było niszczyć to, co tatuś tak polubił?

–Słuchaj no ofiarno, mój przyszły teść...

–To nigdy nie nastąpi!

–W porządku. Stary pirat jest prawie takim samym przestępcą, jak i tamci. Związał się z wynajętymi i znanymi kryminalistami. Jeśli „Seawitch” by przetrwała, agenci federalni byłiby tam w ciągu godziny. Dostałby co najmniej piętnaście, a może nawet dwadzieścia lat więzienia i prawdopodobnie tam by umarł – jej oczy wyrażały strach i początki zrozumienia. – Teraz nawet ostatnie okruchy dowodów znajdują się albo na dnie zatoki, albo bujają w górnych warstwach atmosfery. Nie są w stanie dowieść mu niczego.

–Dlatego zniszczyłeś „Seawitch”?

–Mrs Marina Mitchell – zastanowiła się. – Przypuszczam, że mogłabym iść przez życie z gorszym nazwiskiem...

Alistair MacLean UTWORY ZEBRANE

1. H.M.S.,„ULISSES"

2. Działa Nawarony

3. Na południe od Jawy

4. Ostatnia granica

5. Noc bez brzasku

6. Siła strachu

7. Złote rendez-vous

8. Szatański wirus

9. Mroczny Krzyżowiec

10. Stacja arktyczna „Zebra"

11. 48 godzin

12. Tylko dla orłów

13. Lalka na łańcuchu

14. Komandosi z Nawarony

15. Karawana do Vaccares

16. Wyspa Niedźwiedzia

17. Wyścig ku śmierci

18. Cyrk

19. Przełęcz Złamanego Serca

20. Złote Wrota

21. Żegnaj Kalifornio

22. Wiedźma Morska

23. Athabaska

24. Rzeka śmierci

25. Śluza

26. San Andreas

27. Samolot prezydencki

28. Samotne morze

29. Wieża zakładników

30. Kapitan Cook

31. Santoryn

32. Partyzanci

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/